



Mika

WALTARI

Błąd komisarza Palmu



Mika

WALTARI

Błąd komisarza Palmu

przełożył SEBASTIAN

MUSIELAK

Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału *Komisario*

Palmun erehdys

Text © Mika Waltari

Wydanie oryginalne © WSOY, Finlandia

Po raz pierwszy opublikowane w języku fińskim przez Werner Soderström Corporation (WSOY) w roku 1940, Helsinki, Finlandia.

Przekład polski opublikowany w porozumieniu z Werner Soderström Ltd.

© Copyright for the Polish translation

by Sebastian Musielak

Wydanie pierwsze

Przekład dofinansowany przez FILI —

Finnish Literature Exchange

FILI

ISBN 978-83-08-04785-9

I.

Jesienny poniedziałkowy poranek na komendzie policji i przemyslenia komisarza Palmu o morderstwie jako temacie literackim. • Porucznik Hagert i skutki Dni Skandynawskiej Policji. • Palmu odwołuje się do fińskiego sądownictwa i daje mi wykład z ekonomii. • Na scenę wkracza Batler.

Był jesienny poniedziałkowy poranek w tamtych czasach, kiedy jeszcze nie wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż teraz.

Był jesienny poniedziałkowy poranek. I powtarzam to z pełną świadomością.

Albowiem ze wszystkich przeklętych dni na komendzie poniedziałek jest dniem najgorszym. A jesienna szaruga na Rynku przywodzi na myśl dudniące korytarze więzienia, najtańsze szare mydło i smród pasiastych chałatów.

Komisarz Palmu miał jeszcze gorszy nastrój niż zazwyczaj w poniedziałkowy poranek. Przez zmrużone powieki patrzył gdzieś w dal nieobecny wzrokiem, kreśląc ołówkiem krzyżyki i jakieś gęby na marginesie protokołu przesłuchania, który zostawiłem mu na biurku, aby mnie zmusić do przepisania go na czysto z powodu dwóch nie-istotnych błędów. Dobrze wiedział, że tak zabazgranego raportu nie odważę się zanieść Hagertowi.

— Morderstwo... — odezwał się zamyślony. — Ze wszystkich zbrodni morderstwo jest czynem najbardziej skończonym i rozstrzygającym, gdyż nie sposób go już nigdy niczym odkupić.

Poprawił się na krześle, obrzucił krytycznym wzrokiem swoje artystyczne dokonania na marginesie protokołu, po czym znów spojrzął za okno, na jesienną szarugę Rynku.

— Skradziony przedmiot można zwrócić — podjął tym swoim zrzedliwym, poniedziałkowym tonem — fałszerstwo można wynagrodzić, ślady pobicia znikną, nawet zdrada może pójść w niepamięć... Wszystko, wszystko z czasem idzie

w

zapomnienie,

bo

ludzka

pamięć

jest

niewypowiedziane krótką. Lecz zabitemu człowiekowi już nikt nigdy życia nie przywróci.

— Pff — sapnąłem mimo woli, bo aż kipiałem z tajonej wściekłości, patrząc na czubek jego ołówka, który znów zaczął bezlitośnie kreślić siatkę na brzegu kartki.

— I dlatego — podjął po chwili Palmu, odkładając ołówek i opuszczając swoją ciężką dłoń na zbezczeszczony protokół — dlatego właśnie morderstwo jest jedynym tematem godnym powieści detektywistycznej. I dlatego oddasz panu Venho akta sprawy tego fałszerza, jeżeli nadal chcesz tu pracować jako m ó j podwładny. A potem przepiszesz na czysto ten raport! — Jego gruba dłoń znów spoczęła pieszczotliwie na pokreślonym protokole i komisarz dodał z dobroduszną ironią: — Będiesz mógł się wykazać swoim literackim talentem.

— Pięknie — powiedziałem. — Nie ma co!

I po raz kolejny zapalałem do niego zapiekłą, czarną nienawiścią, bo w głębi ducha wiedziałem, że Palmu ma 6

znowu rację. Przygnębiony, otworzyłem swoją szufladę i zacząłem zbierać materiały komisarza Venho, aby mu je odnieść. Serce mi się krajało.

Sprawy miały się tak, że gdy razem z Palmu rozwiąza-liśmy zagadkę morderstwa pani Skrof, opisałem to w li-terackiej formie. Moja powieść detektywistyczna zyskała zaskakującą popularność, choć przecież i ja uważałem, że to całkiem niezła literatura. Teraz oczywiście pałałem chęcią

kontynuowania twórczości, bo dzięki swojej książce poznałem wielu prawdziwych pisarzy i ich życzliwe uwagi pobudziły

moją

ambicję.

Brakowało

mi

jednak

odpowiedniego tematu. Miesiące mijały, a ja wciąż nie miałem nic nowego, więc komisarz Venho namówił mnie w końcu, abym opisał pewną frapującą i skomplikowaną sprawę fałszywego bankructwa, którą o n rozwiązał. To zaś oczywiście zupełnie nie pasowało komisarzowi Palmu, gdyż między oboma panami zawsze nieco iskrzyło.

I mimo że drugi mąż mojej ciotki był sekretarzem ministra, Palmu na pewno potrafiłby obrzydzić mi życie w helsińskiej komendzie miejskiej, gdybym tylko śmiał

sprzeciwić się jego woli. Dlatego uznałem, że najlepiej zebrać materiały komisarza Venho, odnieść mu je i dalej siedzieć beczynn timer i czekać na temat, który może się pojawić dopiero za dziesięć lat.

— Otóż to — rzekł Palmu, wodząc za mną przymrużonymi oczami niemal ze współczuciem. — Niejeden przed tobą zaprzepaścił wszystko, bo się zbyt timer spieszył. Jesteś jeszcze młody, ale w moim wieku będziesz już umiał czekać, siedzieć i czekać bez końca.

I na krótką chwilę Palmu pokazał swoją ludzką, serdeczną twarz, c o trochę mi wynagrodziło wycierpiane z jego powodu krzywdy:

— Pewnie, że to nic przyjemnego! Myślisz może, że to wieczne czekanie sprawia mi przyjemność? Wielkie sprawy dojrzewają powoli i młody policjant wydziału kryminalnego popełnia tyle gaf i błędów, bo trwa jeszcze w przekonaniu, że ciągle musi być w ruchu, ciągle musi coś r o b i ć. I tu właśnie popełnia kardynalny błąd, nasza praca bowiem nie polega na tym, aby coś r o b i ć — o to troszczą się zbrodniarze. Naszym zadaniem jest tylko w y j a ś n i a ć , i jest to z natury zadanie całkowicie bierne, gdyż zaplanowanej zbrodni nie można zapobiec.

Palmu przemawiał życzliwie i moje skute lodem serce zaczęło już nieco tajać, gdy znowu wszystko zepsuł tym swoim dobitnym, belferskim tonem:

— Wyjaśnianie nie ma w sobie nic romantycznego. To czysty, rzeczowy realizm. Ty lubisz się rozwodzić o teo riach zbrodni, psychologiach, intuicjach i diabeł jeden wie o czym tam jeszcze. Ja natomiast jestem prostym, starym policjantem i raz za razem wbijam ci do łba, że rzeczowe wyjaśnianie zbrodni nie ma, bo i mieć nie może, nic wspólnego z wyobraźnią, psychologią czy intuicją. Masz jedynie zgromadzić bezdyskusyjne fakty, właściwie je ze sobą połączyć, a potem wyciągnąć oczywiste wnioski. I to wszystko! Cała reszta będzie ci tylko gmatwać, przeszkadzać i zwodzić cię na manowce.

Mówił to już chyba ze sto razy, więc i teraz zacząłem się w duszy buntować na te słowa, wkrótce jednak Palmu ponownie wykazał ponadczasową prawdziwość swo-

ich rozważań. Stanowiły one bowiem swoisty wstęp do późniejszych wydarzeń i dlatego uznałem, że warto je przytoczyć. Szkoda tylko, że nie zakarbowałem ich sobie w pamięci, bo może nie zbłądziłbym się znów tak bardzo w ciągu dwóch następnych dni. Wyobraźnia jednak ponownie wywiodła mnie na manowce.

Czytelnik jest zatem w lepszym położeniu. Kiedy bowiem pod koniec mojej opowieści zastanowi się głębiej nad przebiegiem zdarzeń, finał tej historii wcale go nie zaskoczy

— jeżeli tylko przyswoił sobie pierwszą i najważniejszą zasadę komisarza Palmu: zgromadzić fakty, właściwie je ze sobą połączyć, a potem wyciągnąć oczywiste wnioski.

A ja co? A ja dostałem kulą w bark, o mały włos nie zginąłem pod upadającym Kokkim, no i w ogóle zachowywałem się jak ostatni bałwan.

* * *

Tak, było coś proroczego w tym zwięzłym wyznaniu wiary i metody komisarza Palmu, kiedy bowiem zebrałem już wszystkie materiały komisarza Venho i wychodziłem z pokoju, aby mu je odnieść, do środka wkroczył porucznik Hagert i od razu zaklął:

— Diabli, cholera, diabli nadali!

Z twarzy porucznika można było bez trudu wyczytać, że jest poniedziałkowy poranek, czyli że wczoraj była niedziela i porucznik do późna bawił się z duńskimi gośćmi na Dniach Skandynawskiej Policji.

— Palmu, znasz Brunona Rygsecka? — bardziej stwierdził, niż zapytał.

9

Komisarz nic nie odpowiedział, uniósł tylko głowę i nadstawił ucha.

— No właśnie — skwitował Hagert, po czym machnął

ręką i zrobił taką minę, jakby połknął piołun. — To on przyprawił sobie kiedyś po pijaku krowie rogi do kapelu sza i kierował ruchem w samym centrum miasta. Miał też raz sprawę, bo potracił autem i okulił jakąś starowinę.

Palmu nadal nic nie mówił, a mnie już język świerzbiał, żeby o coś zapytać. Hagert jednak sam uznał, że już wystarczająco pobudził jego ciekawość.

— No dobra — rzekł i znów machnął ręką. — Brunona już nie ma. Spotkał go, że tak powiem, zasłużony koniec.

Dziś rano Rygseck poślizgnął się, wyrznął głową o dno i utonął — we własnej łazience!

Hagert teatralnie zawiesił głos i spojrzał pytająco na Palmu.

— *Sic transit gloria mundi!* — wyrzekł komisarz, który lubił się trochę popisywać samodzielnie poszerzoną edukacją.

— Że jak? — Hagert nabrał podejrzeń i spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem.

— To po łacinie — powiedziałem cicho.

— Esz — zachnął się Hagert i potarł skronie. — I bez tego głowa mi pęka. Ci Duńczycy... — Na twarzy porucznika zapełgał nikły uśmiech. — Ci Duńczycy... — powtó-

rzył, ale zaraz zmiarkował, że zbacza z tematu, i szybko odzyskał urzędową powagę. Palmu nadal patrzył na niego wyczekująco.

— Czyli sprawa nie jest jakąś wielką zagadką — rzekł

Hagert. — Można z niej co najwyżej wyciągnąć pewien 10

morał. Groteskowy koniec groteskowego żywota. Sami po-myślcie, facet się poślizgnął na własnym mydle, skreślił

sobie kark i utopił się we własnej wannie. Musieli wyważyć drzwi, żeby go wyciągnąć. Ale wiadomo, trzeba przesłuchać osoby przebywające w jego domu, a tak się składa, że tylko ty jesteś teraz wolny. No, ale takie drobne wypadki to twoja specjalność, co, Palmu? Ha, ha! — Ha-gert się zaśmiał, jak gdyby sobie przypomniął coś bardzo zabawnego. — Jak choćby ta sprawa z panią Skrofi!

Znów zaniósł się śmiechem, ale jego wesołość jakoś się nam z komisarzem nie udzieliła. Za nic nie mogę pojąć, dlaczego Hagert ciągle sobie drwi z mojej powieści. Przecież chwalili ją nawet krytycy.

Palmu podniósł się sztywno i bez słowa zdjął kapelusz z wieszaka. Hagert zauważył jego minę, dodał więc pospiesznie:

— Tylko na Boga, Palmu, nie urządź tam od razu wielkiego dochodzenia! Akurat ta sprawa jest najzupełniej jasna. Tak mniej więcej zawsze sobie wyobrażałem koniec tego człowieka. Poza tym trzeba wziąć poprawkę na prezesa Rygsecka. Postaraj się załatwić wszystko możliwie najdelikatniej, Palmu. Nie dręcz rodziny i tak dalej. Ufam w twój takt. Stary Rygseck jest nazbyt ważną figurą, nie możemy mu się naprzykrzać bez wyraźnej potrzeby.

— Możemy wziąć auto, panie poruczniku? — spytał

Palmu z niewzruszonym spokojem. — Dom jest na Kaivo-puisto*.

* Ekskluzywna parkowa dzielnica w południowej części Helsinek, nad samym morzem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

11

Hagertowi nie spodobała się mina komisarza.

— A bierz! — odrzekł zgryźliwie. — Weź od razu Kokkiego, niech zdejmie odciski palców! Weź karetkę więzienną! A może chcesz radio, będziesz miał stałą łączność ze sztabem? Albo ten nowy wóz pancerny, gdyby się was ktoś po drodze czepiał? Ha, ha!

Palmu już wyszedł, ruszyłem za nim. Hagert trochę się przestraszył, wytknął więc jeszcze głowę przez drzwi i zawołał:

— Pamiętaj, Palmu, tylko bez wygłupów! Stary Rygseck...

Więcej nie dosłyszałem, tak zwinnie Palmu pokonał

schody. Wypadałoby może wysłuchać Hagerta do końca, gdyż jego rewerencja dla prezesa koncernu Rykamó kosztowała życie człowieka... Lecz nie będę uprzedzał biegu wydarzeń.

Kiedy Kokki uruchomił auto i zasapany Palmu wreszcie usadowił się wygodnie, odważyłem się powiedzieć cicho, lecz z naciskiem:

— Panie komisarzu, to morderstwo! Człowiek nie może utopić się we własnej wannie!

Palmu obrzucił mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

— Wyobraźnia... — sapnął tylko. — Wyobraźnia!...

Sądownictwo fińskie zna przypadek mężczyzny, który utopił

się w m i s c e. I to również był nieszczęśliwy wypadek.

— To prawda — przyznałem — lecz wzmiankowany mężczyzna był pijany w sztok i kiedy upadł, nie był w stanie kiwnąć nawet małym palcem. A my tu mamy poniedziałkowy poranek.

12

— Ludzie powiadają — odrzekł spokojnie Palmu — że po osiągnięciu wieku męskiego Bruno Rygseck nigdy nie miał kaca, bo nigdy nie trzeźwiał... Tak... — Widząc, że zamierzam mu przerwać, dopowiedział głośniej: — Nie wolno wierzyć wszystkiemu, co ludzie gadają, i była to oczywiście gruba przesada, lecz nawet w pogłoskach z a-w s z e można znaleźć ziarenko prawdy. I tak jak powiedział

Hagert, nietrudno było sobie wyobrazić, że Bruno skończy w podobny sposób. Był to w pewnym sensie najbardziej n a t u r a l n y koniec, jaki można mu było w myślach przypisać. Taka kropka nad i.

— Kim wobec tego jest, czy raczej był ów Bruno Rygseck? — spytałem.

Palmu uniósł nieco brwi, zdumiony moją niewiedzą. Jego mózg był bowiem jak gigantyczne archiwum i komisarz bezbłędnie wyszukiwał w nim właściwą szufladkę, z której wyciągał kartotekę każdej osoby choć trochę znanej w stolicy. Ja nie doszedłem do tego etapu. J e s z c z e nie.

— Bruno Rygseck — zaczął Palmu, ważąc słowa — był

bezsprzecznie najgorszym zgniłkiem w całej tej zbierani nie, którą nazywamy helsińską arystokracją finansową.

Jego zwyczaje były poniżej wszelkiej krytyki. Już dawno temu powinni go byli zamknąć w jakimś zakładzie. No, ale co zrobić, kiedy pan Bruno Rygseck był akcjonariuszem koncernu Rykamó.

Komisarz zamilkł i zapatrzył się gdzieś w dal, zupełnie jakby mi już wszystko wyjaśnił. Zagadnąłem go więc ostrożnie:

— Rykamó? Co to za koncern?

Palmu uśmiechnął się słabo i pokręcił głową.

13

— Lubisz się popisywać tym swoim wyższym wykształceniem i nie przepuszczasz żadnej okazji, aby

mnie ośmieszyć, gdy nie potrafię poprawnie wypowiedzieć ja kiegoś mądrego słowa. Kiedyś może i ty zostaniesz po ruczniem policji albo jeszcze lepiej, a wtedy będziesz wchodzić do mojego pokoju jak do siebie i bluzgać jak furman. A jednak nie masz bladego pojęcia o sprawach, które się naprawdę liczą. Koncern Rykamó... — Palmu był

już zły. — Toż to życie gospodarcze tego kraju, toż to jedna z tych sił, od których zależy jego rozwój, do diabła cięż kiego, przecież to powinien wiedzieć każdy wykształcony człowiek!

Kokki zerknął przez ramię i uśmiechnął się. Uszy zaczynały mnie piec. Palmu spojrział na mnie z politowaniem.

— Dam ci teraz mały wykład z ekonomii — zapowiedział, splótł dłonie na piersiach i w zamyśleniu uniósł wzrok.

— To pozwoli ci lepiej docenić scenę, na którą zupełnie nieoczekiwanie zaraz na chwilę wstąpisz. Mówię: na chwilę, gdyż najprawdopodobniej równie szybko cię z niej wykopią.

Zaludnia ją bowiem towarzystwo nader ekslu... esku...

— Ekskluzywne — pospieszyłem instynktownie z pomocą.

— Właśnie tak — potwierdził Palmu, kiwając głową.

— A zatem: początek koncernu Rykamó sięga dziada owego Brunona, czyli nestora Rygsecka. Nie ulega kwestii, że i w świecie finansów zdarzają się tacy sami geniusze jak w innych dziedzinach życia. Poza sprzyjającymi okolicznościami, czyli właściwym czasem, warunkiem sukcesu

— a mówię tu o sukcesie naprawdę wielkim — istnieje 14

również nienaturalna miara pewnych szczególnych cech osobowości, a są to zarówno zalety, jak i wady. Geniusz bowiem nigdy nie jest zjawiskiem czysto pozytywnym.

Nestor Rygseck był właśnie takim finansowym geniuszem końca ubiegłego wieku. Karierę rozpoczynał jako domokrażca.

— Czy nie należałoby pisać jego nazwiska: Ryggsack*?

— wtrąciłem.

Palmu potaknął łaskawie głową.

— Właśnie tak, po zbitiu pierwszej fortuny nestor oczywiście zeszwedczył swoje nazwisko, jak to wówczas było w modzie. Może ktoś doradził złośliwie byłemu do mokrażcy nazwisko Ryggsack. Ale ortografia u nestora ku lała zawsze i tak też zostało do samego końca. Najpierw zapisywał swoje nazwisko fonetycznie, Ryksek, i dopiero potem nieco je uszlachetnił, lecz bodaj nigdy nie potrafił

go zapisać w takiej postaci, w jakiej utrwaliła się pośród jego potomków. Nie miało to zresztą

żadnego znaczenia, bo dla banków jego nazwisko oznaczało miliony, i to w czasach starego pieniądza, bez względu na to, czy nie podpisywał się Rygsek, Rykseck, Ryggseck czy jeszcze inaczej — ważne, że osobiście coś tam nabazgrał. Zakła dał hurtownie, tartaki, folwarki, odlewnie, co tylko się dało. I nigdy się nie wstydził swojego pochodzenia, wręcz odwrotnie, szczycił się nim. Podobno w testamencie zna lażł się osobliwy wymóg, że po wsze czasy ku wiekuistej pamięci na ścianie w gabinecie prezesa koncernu Rykamó ma wisieć jego pierwszy handlarski sak, jeszcze z kory

* ryggsack (szw.) — plecak

15

brzozowej. No, ale na stare lata nestor w ogóle zdziwaczał i kiedy zaczął rozdawać pieniądze i robić całą masę innych głupstw, sprawy wziął w swoje ręce jego najstarszy syn, czyli obecny prezes Rygseck, i założył koncern. Nestor ostatnie dwa lata życia spędził już zupełnie w cieniu. Mówią, że trzeba go było siłą izolować od świata, choć może to być, rzecz jasna, jedynie pogłoska. Po śmierci nestora nazwie koncernu nadano fińskie brzmienie i niejako przy okazji bodajże dwóch członków rodziny stosownie zmieniło nazwisko. Obecnie, zgodnie z testamentem nestora, koncern jest spółką rodzinną i jej akcji nie wolno sprzedawać osobom spoza rodziny. Jest to w naszym kraju prawdziwa potęga gospodarcza. Koncern posiada kapitał akcyjny, kapitał

rezerwowy, fundusz podatkowy i Bóg wie co tam jeszcze.

Potomkowie nestora pozostaną milionerami jeszcze w trzecim i czwartym pokoleniu, jeśli tylko będą mieć choć odrobinę oleju w głowie. Całość do dziś dźwiga na swoich barkach syn nestora, czyli prezes Rygseck, zaś pozostali członkowie rodziny dźwigają swoje dywidendy. Każdy z nich jest w pewnym sensie mocno postrzelony, tak jak nasz Bruno, żeby daleko nie szukać.

— Przekleństwo pieniądza! — powiedziałem ze zrozumieniem.

— Dziedziczność — rzekł Palmu. — Geniusz i szaleń-

stwo idą ramię w ramię, wiadoma rzecz. Nie brakuje jednak ludzi, którzy pamiętają jeszcze nestora i jego sposób załatwiania interesów, jego hardość i bezwzględność, które wcale nie są konieczne do osiągnięcia wielkiego sukcesu, i mówią, że na pieniądzach Rygsecków ciąży straszna klątwa.

Bo i Bruno, który był posiadaczem ćwierci rodzinnego 16

majątku, używał swoich pieniędzy, tak jak używać ich nie wolno. Był w tym chyba niedoścignionym mistrzem, podobnie jak jego dziad w trochę innej dziedzinie.

— Co tu dużo gadać, gość umiał się dobrze bawić do samego końca! — podsumował Kokki, parkując auto, a w jego głosie zabrzmiała nutka lekkiej zazdrości.

Zatrzymaliśmy się przy żeliwnej bramie w wysokim murze. Złoczone, fantazyjnie pozawijane litery układały się w inicjały B.R. Mur był gęsto porośnięty pnączami, ale tu i ówdzie spod przebarwionych już przez jesień liści wystawał

chroniący przed intruzami drut kolczasty.

Brama była otwarta. Pod dom prowadził szeroki asfaltowy podjazd. Po obu jego stronach ciągnęły się rabaty dalii, nieco już nadgryzionych przez przymrozki. Trawnik był

wciąż soczyście zielony. Z boku stał garaż z szerokim wjazdem.

Prawie nowy, jednopiętrowy dom pokryto białym tynkiem. Był mniejszy, niż się spodziewałem, imponował jednak wyniosłym indywidualizmem, stał bowiem pośrodku obszernego ogrodu, a w tej części miasta każdy metr kwadratowy ziemi kosztował majątek. Szlifowane szkło ogromnych okien rzucało dumne, bezosobowe refleksy.

Szerokie kamienne schody wiodły ku lśniącym mahoniowym drzwiom.

Jestem człowiekiem wrażliwym. Ponury, szary poranek jesienny, samotny dom, tak porażająco cichy pośrodku wielkiego miasta, więdnące na rabatach kwiaty — wszystko to zbudziło we mnie złe przeczucie i po plecach przebiegł mi dreszcz. Zacząłem rozmyślać o pieniądzach, o rozkoszach i występkach, które do dziś oplatały

17

to miejsce swoją aurą, zanim nagła śmierć jak nadziemska zemsta nie położyła wszystkiemu kresu.

Moje fantazje zmaćił jednak pewien banał. W szczytowej części domu po prawej stronie dostrzegłem wejście dla służby oraz drzwi kuchenne. Obok schodów widniały żelazne drzwi do piwnicy, które teraz były otwarte. Przed nimi stała ciężarówka z koksem i umorusany mężczyzna wnosił właśnie worek do piwnicy. Drugi dopiero co wyszedł, otrzepując worek z węglowego pyłu. Widok ten całkiem zburzył podniosły nastrój moich wyobrażeń. Życie toczyło się dalej, choć dom nawiedziła śmierć.

Komisarz Palmu obrzucił jeszcze przelotnym spojrzeniem drut kolczasty okalający mur ogrodu, niskie okienka piwnicy w granitowej podmurówce i ich żelazne gięte kraty, wystające daleko poza obrys ściany.

— Ostrożnym człowiekiem był pan Bruno Rygseck! —

zauważył i uśmiechnął się pod nosem. — Trafi się potknąć i ostrożnemu — rzekł sentencjonalnie i zdecydowanym krokiem wszedł na schody.

Z szacunku trzymałem się pół kroku za nim, a za nami człapał nieco ogłupiały Kokki, wyraźnie zażenowany, co przydarzało mu się zawsze, gdy się ocierał o wyższe sfery.

Stanęliśmy przed masywnymi mahoniowymi drzwiami, a wtedy i ja poczułem, że jestem za wysoki, bary mam po chłopsku za szerokie, a buty nieproporcjonalnie wielkie. Ale komisarz Palmu nie cierpiał na kompleks niższości.

Zdecydowanie wcisnął przycisk dzwonka i długo nie odpuszczał. Mój zegarek wskazywał wtedy dokładnie dziesiątą pięćdziesiąt pięć. Był poniedziałkowy ranek.

18

Drzwi otwały się niemal natychmiast, jak gdyby śle-dzono nas przez okno. Do środka wpuścił nas sztywny mężczyzna o beznamietnej twarzy, ubrany w liberię ozdobioną lśniącymi guzikami. Miał sztywny kołnierzyk i czarny krawat oraz irytująco przylizane blond włosy z precyzyjnym przedziałkiem pośrodku głowy. Mówił ze wzrokiem wbitym w ziemię. Krótko mówiąc, powierzchowność miał kryminalną i kojarzył mi się nieodparcie z liniejącym węzem.

— Służący! — wysapał mi do ucha przejęty Kokki. —

Lokaj! W Helsinkach!

Jego pełen uwagi ton mówił więcej niż wszystkie jego słowa.

Ale Palmu widział już lokajów w Pałacu Prezydenckim, gdy pilnował płaszczy na przyjęciu z okazji Święta Nie-podległości. Nie zmieszał się więc ani trochę.

— Przyjechaliśmy z miejskiej komendy policji, aby przeprowadzić dochodzenie w sprawie nieszczęśliwego wypadku — odezwał się rzeczowo. — Czy zwłoki jeszcze tu są?

— Zwłoki? — powtórzył lokaj kwaśno, unosząc ze zgorzeniem brwi. — Właśnie przed chwilą ambulans zabrał

pana Rygsecka do szpitala.

— A zatem nie zginął? — zdumiał się Palmu i siłą rzeczy w jego głosie brzęknęła nutka rozczarowania. Mnie też zrobiło się głupio.

— Pan inżynier Vaara i ja — odrzekł lokaj ze sztywną powagą — przystąpiliśmy do sztucznego oddychania natychmiast po wydostaniu mojego pana z basenu. Pan in-

żynier był przekonany, że dostrzega oznaki życia. Zatele-19

fonowaliśmy od razu do osobistego lekarza pana Rygsecka i za jego radą zawezwaliśmy ambulans. Jest nadzieja, że zdołają go ożywić aparatem tlenowym.

— Kto zatem wpadł na ten genialny pomysł, by zaalarmować policję? — zapytał sarkastycznie Palmu.

Mina lokaja ani trochę nie zrzędła, mężczyzna nie zstąpił

z duchowych wyżyn.

— Byliśmy wszyscy przerażeni, panie... hm... komisa rzu! — odrzekł. — Wypadek wyglądał bardzo

poważnie.

Ośmieliliśmy się poradzić pana doktora. Pan inżynier chciał mieć całkowitą pewność, że niczego nie zaniedba no, że podjęliśmy wszystkie niezbędne kroki od razu po spostrzeżeniu, co się wydarzyło. — Zamilkł na chwilę, oderwał wzrok od podłogi, wzruszył nieznacznie ramio nami i przyznał: — Być może trochę się pospieszyliśmy.

Jego złowroźnie wyważone wypowiedzi zirytowały komisarza.

— No, pewnie pan inżynier Vaara wciąż tu jest, co? A tak poza tym to co to za jeden? I kim pan jest w tym domu?

— Palmu wygarnął w niego serią pytań, lecz na sztywnej, pobrużdżonej twarzy lokaja nie drgnął ani jeden mięsień.

— Pan inżynier Vaara oczekuje panów w sali — odrzekł

z nienaganną uprzejmością. — To wicedyrektor w spółce Rykamó. Ja zaś jestem... hm... lokajem pana Rygsecka.

Nazywam się Veijonen, mój pan jednak ma w zwyczaju zwracać się do mnie Batler.

— A to dlaczego? — rzucił podejrzliwie Palmu.

— Nie wiem, panie komisarzu — przyznał otwarcie lokaj.

— To po angielsku — odpowiedziałem usłużnie. —

Słowo „butler” oznacza służącego, lub właśnie lokaja.

— O nic cię nie pytałem — warknął na mnie Palmu, po czym zwrócił się ponownie do Batlera. — Ale co pan wicedyrektor Vaara robi tutaj o tak wczesnej porze? Zdaje się, że dzień pracy już dawno się zaczął?

Batler się zawahał, tym razem jednak uniósł głowę i wbił

weń nieruchome spojrzenie.

— Mam wrażenie, panie komisarzu — odrzekł, nie mrugnawszy nawet powieką — że na to pytanie pan Vaara najlepiej chyba odpowie sam.

Odstąpił nieco na bok, pokazując drogę. Palmu zamurowało i wszedł do środka bez słowa. Znaleźliśmy się w przestronnym holu, którego posadzkę pokrywał drogi dywan. Komisarz zatrzymał się i rozejrzał, zapominając rychło o słownej utarczce z lokajem.

A było na co patrzeć. Szerokie schody pod ścianą holu wiodły na piętro; po drugiej stronie dostrzegłem olbrzymi kominek. W narożniku stał sporej wielkości indyjski wazon z mosiądzu, a na podeście schodów — dziewczęca postać z czarnego granitu. Palmu postąpił krok ku widniejącym w głębi, zamkniętym drzwiom sali, lecz Batler taktownie chrząknął.

— Panie komisarzu — odezwał się. — Do moich obowiązków należy uprzedzić pana, że poza panem inżynierem Vaarą w sali czekają na panów również starsza pani Rygseck, ciotka mojego pana, a także... hm... pani Rygseckowa, czyli... hm... jego była żona.

— Była żona?

Tym razem to Palmu uniósł brwi.

Zbity z pantałyku Batler nerwowo zatarł dłonie.

— To rzeczywiście może niezbyt precyzyjne sformułowanie — przyznał. — Rozwód nie został jeszcze prawnie orzeczony, ale państwo nie mieszkają ze sobą już niemal od roku.

— Zgadza się — potwierdził Palmu. — Słyszałem, że kobieta nie wytrzymała tempa, choć intencje miała jak najlepsze.

Położył już rękę na klamce drzwi, jednak niezmordowany Batler chrząknął raz jeszcze. Komisarz odwrócił się do niego z pytającą miną i lokaj wyjaśnił przeproszającym tonem:

— Zapewne najlepiej będzie poinformować pana jesz cze, że poza wymienionymi już osobami w sali znajdują się też kuzyn i kuzynka mojego pana, to jest panicz i pan na Rykamó.

Palmu spojrzał przeciągle na Batlera. Lecz lokaj Brunona Rygsecka nie miał już zamiaru powiększać listy obecności, tylko gestem zakomunikował, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

— Arcyciekawe — odezwał się Palmu. — Nader oso bliwie wyznaczone czas i miejsce na rodzinne zebranie!

Batler usłużnie otworzył drzwi i weszliśmy do sali.

Rodzinne zebranie w domu Brunona Rygsecka.

• Palmu jawi się jagnięciem, choć to tylko skóra. • Bruno Rygseck umiera na amen i Aimo Rykamó sięga po kieliszek. • Mam wrażenie, że jestem w Pompejach. • Batler relacjonuje i komisarz wyciąga zaskakujący wniosek.

• Kokki i ja przestajemy pojmować.

Sala była jasna i przestronna. Duże okna wychodziły na ogród za domem. Także i tam posiadłość od reszty świata oddzielał mur. Widniała w nim jednak niewielka, okolona pnączami furtka, do której wiodła zwirowa ścieżka.

Wspominam o niej już teraz, gdyż w dalszym toku opowieści odegra pewną rolę.

Po wejściu do środka uwagę skupiłem oczywiście na wyglądzie samej sali i na zgromadzonych w niej osobach.

Pomieszczenie urządzone luksusowo i z arystokratyczną beztroską. Za meble służyły kuszące, wygodne fotele, sofa, kilka niskich stolików, fajczarnie, zastawione butelkami barki na kółkach i wspaniałe radioodbiornik, a na ścianach wisiało sporo barwnych obrazów. Jednakże w świetle dnia badawcze oko dostrzegłoby plamy na drogim dywanie i okrągłe ślady po kieliszkach na lśniących meblach, które świadczyły o niechlujności i złym prowadzeniu. Na blacie z drewna różanego zapomniany

kiedyś papieros wypalił czarną smugę, a jedno krzesło rozchodziło się na boki, jak gdyby ktoś nim grzmotnął

kilkakrotnie o ziemię.

Mimo że w sali przebywało kilka osób, w pomieszczeniu panowała przygniatająca cisza. Wszystkie spojrzenia, które skupiły się na komisarzu, były niechętne, powściągliwe, nieomal butne. Miałem wrażenie, że wyczuwam w tym milczeniu wyjątkowe napięcie i jakąś unoszącą się w powietrzu groźbę.

Wyliczę teraz osoby po kolei, tak jak je spostrzegalem.

Boczną ścianą sali zawładnął wielki obraz, na którym trzy kobiety zrywały jabłka z drzewa. Z niewiadomego powodu ich nagość nie była absolutnie niczym zakryta. Na brzeżku najmniej wygodnego krzesła siedziała starsza kobieta, demonstracyjnie obrócona plecami do obrazu. I tak jak on na swój sposób zawładnął całą ścianą sali, tak kobieta na swój sposób zawładnęła tą częścią pomieszczenia.

Była w płaszczu i czarnym znoszonym kapeluszu. W

kościstej dłoni ścisnęła parasol, krótki i masywny niczym maczuga, na nogach zaś miała półbuty na grubej gumowej podeszwie. Pożółkły ze starości koronkowy kołnierzyk bluzki sięgał niczym pancierz aż po kościstą, wysoko uniesioną brodę. Wystające spod kapelusza włosy były już siwe, lecz z całkiem jeszcze gładkiej twarzy wyzierały zdumiewająco duże i wylupiaście oczy o beznamiętnie błękitnej barwie. Krytyczne spojrzenie kobiety spoczęło najpierw na komisarzu, a po chwili, przelotnie, na mnie.

— Nareszcie! — wyrzekła i stuknęła gniewnie czubkiem parasola w podłogę.

Była to pani Amalia Rygseck, jedyna córka nestora Rygsecka i posiadaczka czwartej części akcji koncernu Rykamó. Bogactwo jednak nie dało jej szczęścia, co było widać już na pierwszy rzut oka.

Po tej samej stronie sali, lecz w bezpiecznej odległości od pani Amalii, siedziała na wygodnym krześle i w wygodnej pozie jeszcze dość młoda kobieta. Odziane w jedwabne pończochy nogi założyła jedna na drugą. Była uderzająco piękna i bardzo dobrze umalowana, a jej ramiona okrywała bez wątpienia kosztowna peleryna z futra srebrnych lisów.

Mimo pełnych kształtów zachowała szczupłą sylwetkę, a zaskakującą twardość spojrzenia ciemnoszarych oczu, które wbiła w komisarza, łagodziła jedynie wyczekująca, chłodna ciekawość.

Była to pani Alli Rygseck — żona Brunona, z którym żyła w separacji. Patrząc jej w oczy, instynktownie poczułem, że i ja wolałbym z nią nie mieszkać pod jednym dachem.

Kiedy tylko weszliśmy, zerwała się na równe nogi dziewczyna — Airi Rykamó — i wlepiła w nas przestraszony, nieszczęśliwy wzrok. Zaraz też z fotela podniósł się jej brat i ujął delikatnie siostrę za nadgarstek, jak gdyby chciał ją przytrzymać. Od razu było widać, że są rodzeń-

stwem — chociaż ona przywodziła na myśl, że tak powiem, wiosenną niedzielę, on zaś, przynajmniej tamtego dnia, był

doskonałym

ucieleśnieniem

poniedziałkowego

przedpołudnia. Papieros między palcami mu drżał, chłopak twarz miał bladą i plamistą, a cała jego postać świadczyła dobitnie o nieczystym sumieniu, o kacu bynajmniej nie tylko fizycznym.

Piękne to były dzieci. Kończyny długie i szczupłe, cera gładka i zadbana, brązowe oczy pod pięknie wysklepio-nymi brwiami. Dziewczyna miała na sobie skromny strój biuralistki, z białym kołnierzykiem i białymi mankietami rękawów, i zaraz poczułem, że bardzo chętnie podjąłbym pracę w tym samym biurze. Dostrzegłem w niej czujność i inteligencję, choć w tamtej chwili wydawała się strasznie nieszczęśliwa. Chłopak natomiast bynajmniej nie wyglądał

na geniusza, a już na pewno nie w stanie, w jakim się wówczas znajdował. Był to ten typ młodzieńca, którym dobry przyjaciel miałby ochotę porządnie potrząsnąć, choć z drugiej strony po prostu nie umiałby się na niego gniewać z racji jego wrodzonej dobroduszości. Dobry chłopak, który zszedł na złą drogę — w tamten jesienny poranek ta ocena wręcz sama się nasuwała.

Przy oknie, plecami do sali, stał tęgi, barczysty mąż-

czynna i patrzył na jesienną szarugę. Teraz odwrócił się powoli i ignorując zupełnie pozostałe osoby, spojrzął spokojnie na komisarza. Był prawie tak wysoki jak ja — a mierzę całkiem sporo. Twarz miał ogorzałą i szczerą, a cała jego postać emanowała poczuciem bezpieczeństwa i budziła instynktowne zaufanie. Może najtrafniej opiszę go słowami, że był to typ człowieka czynu, w którym kochają się młode dziewczęta. Ale... im dłużej się na niego patrzyło, tym większe stawało się owo „ale”... Postawa jego nazbyt była sztywna, nazbyt napuszona jak na tak młodego człowieka.

Odniosłem wrażenie, że zapłacił zbyt wysoką cenę za możliwość przecierania własnej drogi w życiu, że za wcześnie objął odpowiedzialne stanowisko, nim jeszcze zdążył

okrzepnąć i nabrać do siebie pełnego zaufania, **26**

i dlatego węszył wokół siebie krytykę i drwinę. Brakowało mu pojednawczego poczucia humoru, co na pewno utrudniało mu życie, i jeżeli jego kariera potoczy się tak dalej, stanie się z czasem człowiekiem nieznośnym.

Był to inżynier Vaara, wicedyrektor w koncernie Rykamo i zaufany człowiek prezesa Rygsecka. Oddalił się właśnie od okna i stanął pośrodku sali, rangą i prezencją przejmując pełnię władzy i panowanie nad sytuacją.

— Z komendy policji? — odezwał się nieco protekcjo nalnie, jak gdyby chciał dopomóc komisarzowi w zrobieniu pierwszego kroku.

Dobrze wiedziałem, że Palmu zdążył już sfotografować w myśli całe pomieszczenie oraz wszystkie znajdujące się w nim osoby i wyrobić sobie o nich własną opinię. Stał jednak w drzwiach sali z udawaną nieporadnością i patrzył

niepewnie po zgromadzonych, a cała jego komi-sarzowska powierzchowność ucieleśniała prośbę o wybaczenie najścia i zażenowanie z racji wstąpienia w tak wysokie progi.

— Tak... no więc... tego... — wyjąkał — jestem komi sarz Palmu... to moi pomocnicy... Znaleźliśmy

się tu z po wodu przykrego wypadku, który się zdarzył... to czysta formalność, ma się rozumieć, ale przyjdzie nam pewnie sporządzić jakiś protokół.

Inżynier Vaara spojrział na niego z niejakim politowaniem i robiąc długi wydech, rozluźnił napięte ciało. Pani Amalia Rygseck uśmiechnęła się pod nosem i usiadła nieco wygodniej. Panna Rykamo westchnęła i zrobiła taką minę, jak gdyby kamień spadł jej z serca. Brat puścił jej nadgarstek i opadł swobodnie z powrotem na fotel. Otóż **27**

to! Wszyscy spodziewali się czegoś innego. Wszyscy się bali.

Inżynier Vaara odrzekł protekcjonalnie, że oczekują na wieści ze szpitala. Zawiadomienie policji okazało się może trochę przedwczesne, niemniej chcieli mieć pewność i tak dalej.

— Przepraszam — przerwał mu speszony Palmu i zdołał

naprawdę się zaczerwienić. — Szanowny pan wybaczy, że mu przerywam, ale mamy w policji taki zwyczaj, że najpierw zapisujemy personalia wszystkich obecnych oraz czas przybycia na miejsce zdarzenia. Niewykluczone też, że zadam państwu kilka pytań, a moi pomocnicy będą zapisywać odpowiedzi.

Wyciągnąłem notes, ukloniłem się pani Amalii Rygseck i ośmieliłem usiąść za stołem, by mieć lepsze warunki do pisania. Palmu rozpoczął bardzo taktownie, dokładając wszelkich starań, by uniknąć skojarzeń z przesłuchaniem.

Imię i nazwisko, wiek, stanowisko lub wykonywany zawód, adres i tak dalej. Nie będę przepisywał bezpośrednio poczynionych wówczas notatek, wyliczę jedynie fakty, które wówczas ustaliliśmy:

Pani Amalia Rygseck zjawiła się w domu mniej więcej o godzinie dziewiątej trzydzieści pięć, razem z żoną Brunona Rygsecka. Zaraz w progu rozkazała Batlerowi natychmiast obudzić gospodarza. Lokaj próbował oponować, lecz w końcu poszedł na górę i wrócił z wiadomością, że jego pan obiecał zejść zaraz po kąpieli, gdy tylko się ubierze. Kobiety czekały na niego w sali.

Pani Alli Rygseck potwierdziła, że tak właśnie było.

Inżynier Erik Vaara przybył dokładnie o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć. „Wiedziałem, że Bruno wstaje codziennie kwadrans przed dziesiątą”, powiedział. Batler oznajmił mu, że jego pan udał się już do łazienki i lada chwila pojawi się w sali. Inżynier dołączył więc do czekających tam kobiet.

Student Aimo Rykamó zjawił się mniej więcej o dziesiątej. „Było może trochę po, skąd mam to wiedzieć, do jasnej ciasnej?” Lokaj zaproponował mu coś do picia i kolejny gość przeszedł do sali.

Biuralistka Airi Rykamó przyszła dopiero około dziesiątej dwadzieścia. Wtedy nieszczęście już spostrzeżono i dziewczyna długo musiała stać pod drzwiami, zanim ją wpuszczono. Otworzył jej nareszcie inżynier Vaara, który z łazienki przeszedł do holu, by skorzystać ze znajdującego się tam telefonu, i w dwóch słowach wyjaśnił jej, co zaszło.

Lokaj Veijonen, zwany Batlerem, dawniej kelner, pełnił

służbę w domu trzeci rok. Wstał rano, by posprzątać w sali, gdyż poprzedniego dnia do późna bawili tam goście. Na wyraźne żądanie pani Amalii Rygseck obudził gospodarza, a potem wpuścił do domu inżyniera Vaarę i młodego Rykamó.

W końcu starsza pani Rygseck straciła cierpliwość. Na jej żądanie około dziesiątej piętnaście Batler poszedł na górę, lecz Bruno Rygseck jeszcze nie wrócił z kąpieli. Trochę tym zaniepokojony, zszedł na dół i zapukał do drzwi łazienki.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte od środka. Wtedy przestraszył się nie na żarty i szybko wrócił do sali. W trójkę z inżynierem Vaarą i Aimem Rykamó zeszli na sam dół, wyważyli drzwi i stwierdzili,

29

że Bruno Rygseck leży w basenie w płaszczu kąpielowym, twarzą do dołu. Wspólnymi siłami wyciągnęli go z wody i natychmiast przystąpili do sztucznego oddychania pod okiem inżyniera Vaary, który udzielił im niezbędnych instrukcji i poszedł do holu zatelefonować po lekarza. Ambulans przyjechał około dziesiątej czterdzieści.

Inżynier Vaara potwierdził zeznanie lokaja. Dodał

jeszcze, że najpierw zatelefonował do lekarza rodzinnego Rygsecków i to za jego namową wezwał pogotowie, a potem, naradziwszy się z Batlerem, powtórnie poszedł do telefonu i zawiadomił o zajściu policję. Jego zdaniem przedsięwzięto wszystkie niezbędne kroki, by jak najszybciej udzielić pomocy poszkodowanemu. Inżynier nauczył się zasad sztucznego oddychania jeszcze w szkole.

Student Aimo Rykamó potwierdził powyższe zeznania.

Czyż to nie dziwne, że osobliwym zrządzeniem losu wszyscy zjawili się w domu Brunona Rygsecka

akurat tego dnia rano? Po co przyszli? Pani Amalia Rygseck zarea-gowała ostro:

— Nie rozumiem, co to ma z tym wszystkim wspólnego!

Miałam prywatną sprawę do Brunona i policji nic do tego!

W jej głosie nie wyczuwało się nawet złości. Było to raczej lodowate stwierdzenie i zarazem przygana dla wścib-skiego komisarza, po której wszyscy zaczęli się nagle zajmować sobą, nawet Aimó. Chłopak miał już na końcu języka jakieś szczere wyznanie, zerknął jednak przelotnie na ciotkę i zaraz zamilkł.

Tak oto rozmowa stanęła na martwym punkcie. Zapanowała przygniatająca cisza. Naturalny, monotony już **30**

niemal nastrój niewymuszonej wymiany pytań i odpowiedzi nagle prysł. Milczenie trwało tylko chwilę, znów jednak wzmogło we mnie odczucie, że dom Brunona Rygsecka kryje w sobie więcej tajemnic, niż można było z pozorów sądzić.

Ciszę przerwał telefon w holu, a dzwonek był tak na-tarczywy, że wszyscy się wzdrygnęli. Patrzyłem akurat wtedy na Airi Rykamó — dziewczyna pobladła i ręce gwałtownie jej zadrżały.

Batler z niemą powściągliwością ruszył ku drzwiom, lecz inżynier Vaara odsunął go na bok i dwoma wielkimi susami dopadł telefonu. Rozmowa była bardzo krótka. Inżynier wrócił do sali powoli, ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko. Napięcie było już tak nieznośne, że ciarki chodziły mi po plecach.

— Telefonowano ze szpitala — odezwał się pan Vaara, siląc się na beznamiętny ton. — No więc... nie ma już na dziei. Bruno zmarł... Prawdopodobnie nie żył już wtedy, gdy wyciągaliśmy go z wody.

Poruszeni powagą chwili wszyscy bezwiednie wstali. A wtedy Amalia Rygseck, złożwszy dłonie na rękojeści parasola, wyrzekła dobitnie osobliwe słowa:

— Bruno uniknął kary na tej ziemi, ale kary nie bios uniknąć nie zdoła. — Powoli powiodła spojrzeniem po wszystkich obecnych i dodała patetycznie: —

Ja w każdym razie powiadam: pokój jego nieszczęśliwej duszy!

Ton jej głosu mówił jednak wyraźnie, że dobre słowo na niewiele się zda i od tej pory duszę Brunona należy uważać za wiecznie potępioną.

31

Oczy AM Rykamó zrobiły się zupełnie czarne ze strachu.

Dziewczyna uniosła dłonie do piersi i wyszeptała ze zgrozą:

— Och, ciociu!...

Prawie rozwiedziona pani Rygseck uniosła wymalowaną piękną twarz i wyszeptała do siebie:

— Czy to się dzieje naprawdę?

W jej oczach pojawiły się już obrazy nowej, pięknej przyszłości, a w jej głosie zabrzmiały jednocześnie ulga i zdumienie.

Aimo Rykamó wykorzystał to, że uwaga obecnych skupiła się teraz niepodzielnie na inżynierze i ciotce Amalii, ukradkiem napełnił kieliszek stojący na barku i niepostrzeżenie wychylił go jednym haustem. Chłopak był nienaturalnie blady i niemiłosiernie drżały mu ręce.

Palmu zdał sobie sprawę, że nikt nie powie mu już nic więcej, i przejął inicjatywę. Wyprostował się, spojrział nagle ostro i odezwał się głosem wyraźnie zmienionym:

— Kokki, dopilnujesz, żeby zwłoki zabrali do prosek torium. Ja w tym czasie zapoznam się z miejscem zda rzenia. Państwa zaś uprzedzam, że na razie nikomu nie wolno wyjść z tego domu bez mojego pozwolenia.

Rozległy się zdumione szmery sprzeciwu, ale Palmu uciął je ostrą komendą:

— Batler! Idziemy!

I wyszedł z sali, popychając przed sobą lokaja. Wszyscy byli całkowicie zbici z tropu nagłą przemianą komisarza.

Zamknąłem za nami delikatnie drzwi, aby mogli w spokoju oswoić się z myślą, że oto wilk zrzucił nagle z ramion jagnięcą skórę.

W holu Kokki podszedł do telefonu, Batler zaś poprowadził komisarza i mnie do bocznych drzwi przy kominku, skąd schodami zeszliśmy do piwnicy. Znaleźliśmy się w niewielkiej sieni oświetlanej światłem padającym ze znajdującego się na poziomie gruntu, zabezpieczonego kratą okienka. Prowadziły z niej drugie schody na piętro.

Z sieni odchodził wąski korytarzyk, który kończył się tylnymi drzwiami, prowadzącymi na tył domu. Dokładnie naprzeciw schodów z piętra, we wgłębieniu ściany widniały drzwi łazienki.

Drzwi były teraz rozwarte i zdemolowane, deski popę-

kały przy zawiasach i klamce, a na podłodze dostrzegłem białe odpryski farby.

Włącznik światła znajdował się na zewnątrz, przy framudze. Batler przekręcił go, popchnął drzwi i odstąpił na bok, stwierdzając lakonicznie:

— Łazienka!

Weszliśmy do środka i pierwszym moim skojarzeniem były Pompeje.

Skromne słowo „łazienka” okazało się w istocie bardzo mylące. Należałoby raczej powiedzieć, że znaleźliśmy się w niewielkiej luksusowej pływalni. Ściany, posadzkę i sufit pokrywały lśniące kafelki. Dzięki przeszklonym re-flektorom, otaczającym pomieszczenie pod linią sufitu, wnętrze łazienki skąpane było w świetle. Wpuszczony w podłogę basen miał może dwa na trzy metry. Do jego ściany przymocowano metalową lśniącą drabinkę, która sięgała samego dna. W basenie nie było wody.

Obok drzwi łazienki znajdowała się umywalka z kranami, a obok niej sięgające aż do sufitu ogromne lustro.

Na szklanych półkach przy bocznej ścianie zobaczyłem srebrne szczotki i grzebienie, metalowe pudełka i przeróżne flakoniki, a na wieszakach grube i ciepłe, szorstkie i cienkie ręczniki. Na jednym wisiał całkiem mokry, ciemnoczerwony płaszcz kąpielowy, z którego na posadzkę wciąż kapała woda. Jeżeli nie liczyć tej niewielkiej kałuży, pomieszczenie było suche i czyste.

Po drugiej stronie basenu dostrzegłem miękką sofę. Le-

żało na niej kilka złożonych pokrowców, a tuż obok stała duża kwarcówka.

— Zobacz te przybory do golenia! — szepnął Kokki na-bożnie i instynktownie wyciągnął rękę, aby ich dotknąć.

Szybko załatwiwszy sprawy przez telefon, zakradł się za nami do łazienki.

— Łapska przy sobie! — warknął Palmu, nie obracając głowy, bo wpatrywał się wciąż jak zahipnotyzowany w wi-szący na wieszaku, mokry płaszcz kąpielowy. — Batler! —

przywołał go po chwili z osobliwym przygnębieniem w głosie, nadal nie odrywając oczu od szlafroka. — Kto jeszcze wchodził do tego pomieszczenia po tym, jak spostrzeżliście, że doszło do wypadku?

Milczący lokaj usłużnie zbliżył się do niego.

— Wszyscy, panie komisarzu! — odpowiedział szczerze i zwięźle. — Wszyscy bez wyjątku.

— Kobiety również?

— Kobiety również — potwierdził Batler.

Widząc skamieniałego komisarza, poczuł zapewne, że coś jest nie tak, więc po chwili wahania dopowiedział:

— No bo wszyscy chcieli zobaczyć, co się stało, i każ dy chciał jakoś pomóc.

Palmu porzucił wreszcie szlafrok i spojrzął na lokaja.

Ręce trzymał za plecami, przypuszczalnie żeby go od razu nie udusić.

— Bardzo tu czysto — zauważył niewinnie komisarz, co nie wróżyło niczego dobrego.

— Tak — przyznał lokaj skromnie, jak gdyby był od-porny na wszelką ironię. — Po odjeździe ambulansu spu-

ściłem wodę z basenu, zawiesiłem płaszcz kąpielowy na wieszaku i wytarłem podłogę i ściany.

— Ro-zu-miem — przesyłabizował Palmu, wciąż jeszcze bardzo życzliwie. — A co panu strzeliło do głowy, żeby tak nagle wszystko wysprzątać?

— Ależ panie komisarzu! — odrzekł Batler nieomal z przyganą, jakby w ogóle nie pojmował, do czego Palmu pije.

— Podłoga była tak śliska od wody i mydła, że można się było zabić. Starsza pani Rygseck, kiedy tu weszła, prawie od razu się poślizgnęła i o mały włos nie skręciła karku. Kazała mi natychmiast zebrać mydło z posadzki, bo nie daj Boże dojdzie jeszcze do kolejnego nieszczęścia.

— Mydło? — Palmu uniósł pytająco brwi.

— Tak, bo mój pan najwyraźniej poślizgnął się na mydle

— wyjaśnił Batler nieco zdziwiony powolnością toku myśli komisarza. — Nadepnął na mydło, tak że zupełnie się spłaszczyło, wystrzeliło mu spod nogi, robiąc długą smugę na podłodze, i odbiło się od ściany. Mój pan upadł na plecy i uderzył głową o krawędź basenu, na potylicy miał duży guz.

No i utonął.

— I mydło na pewno już pan zdążył wyrzucić? — spytał

dobrodusznie Palmu.

— Ależ skąd! — odparł Batler z oburzeniem. — Do skonałe rozumiem, że nie wolno go było wyrzucać. Jest tutaj.

Podszedł do wanny, wyjął z koszyczka czerwonawe, prawie już suche mydło i podał komisarzowi. Palmu jednak nie wziął go do ręki, tylko obejrzał chwilę z pogardliwym uśmieszkiem na ustach.

Po raz pierwszy spostrzegłem u Batlera objawy zde-nerwowania i niepewności. Lokaj trochę się zaczerwienił, uniósł jednak głowę i spojrzał komisarzowi prosto w oczy.

— Teraz rozumiem, panie komisarzu! — odezwał

się. — Pewnie nie powinienem go dotykać. Ale... jestem już dwa lata na służbie u pana Brunona... i... i... zupeł

nie machinalnie, bezmyślnie... jak podniosłem to mydło z posadzki, to zacząłem je ugniatać, żeby mu przywrócić dawny kształt.

Palmu nic nie powiedział, tylko świdrował go wzrokiem.

Batler jeszcze bardziej się zaczerwienił.

— Oczywiście, wiem, nie powinienem był go ruszać.

Może był na nim odcisk jego pięty... albo... albo... — Lokaj uspokoił się i trochę zawstydził. Po chwili podjął ciszej, jak gdyby mówił już tylko do siebie: — Ale przecież musieliśmy dostać się do środka. Drzwi były zamknięte od wewnątrz. I on się naprawdę poślizgnął. To mydło nic nie znaczy.

— Nie, to mydło rzeczywiście nic tu chyba nie znaczy —

przyznał Palmu, lecz po jego minie poznałem, że myśli już o czym innym.

Komisarz powoli podszedł do drzwi i pochylił się nad uchwytem. Po krótkiej inspekcji, podczas której nicze-36

go nie dotykał, odstąpił nieco na bok, odsłaniając widok Kokkiemu i mnie.

— Jak sami widzicie, cała konstrukcja jest dziecinnie prosta — zaczął tonem spokojnego wykładu. — Zamka w zasadzie nie ma, a jego rolę odgrywa zaokrąglona za padka na sprężynie, tak że drzwi otwiera się, pociągając za uchwyt lub go popychając, i tak samo się je zamyka. Od środka zamontowano najzwyklejszą zasuwkę, którą moż na zaryglować drzwi, gdy osoba przebywająca w łazience nie chce, by jej przeszkadzano. Zazwyczaj bolec zasuwki przesuwają się w tulei swobodnie, jednak jego czubek, który wchodzi w otwór w ościeżnicy, został wygięty podczas wyważania drzwi, wtedy też odkształcił się brzeg tulei.

Takie zasuwki montuje się często w hotelach, by gość mógł spać bez obawy, że w nocy wejdzie mu

do pokoju na przykład sprzątaczką, która ma przecież zapasowy klucz.

Kokki wyraźnie się ożywił.

— Raz w restauracji poszedłem do toalety... — zaczął, lecz wzrok komisarza uciął to pączkujące wspomnienie.

— Patrzcie teraz uważnie, żebyście dobrze zrozumieli

— rozkazał Pałmu, podnosząc nieco głos. — Wyobraźcie sobie, że wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi, żebym się mógł w spokoju wykapać.

— Wykapać? — powtórzył Kokki, który obraził się na komisarza, bo mu przed chwilą nie pozwolił dokończyć.

— Po co miałby się pan kąpać?

Pałmu uznał, że na podobne pytania nie warto nawet odpowiadać. Z godnością obrócił się do mnie i rzekł:

— Unoszę gałkę na bolcu i przesuwam zasuwkę, tak że jej końcówka trafia w otwór, który znajduje się w futrynie.

Następnie puszczam gałkę, która pod własnym ciężarem wpada do tego tutaj półokrągłego wycięcia.

Zerknął na mnie, ale pewnie nie spodobała mu się moja mina, bo tonem cierpliwego belfra podjął wykład:

— Jeżeli będę chciał otworzyć drzwi, po prostu uniosę gałkę i przesunę ją razem z zasuwką do położenia początkowego, gdzie znów opadnie do identycznego wycięcia, o, tutaj. Pojmujesz?

— Panie komisarzu — odrzekłem mu na to — przecież mam oczy!

— Niby tak, ale często się zastanawiam, po co ci one —

odpowiedział zagadkowo Palmu.

Kokki nagle się zaciekawił i pochylił nad zasuwką, by po chwili pokiwać powoli głową, jak gdyby w pełni potwierdzał

spostrzeżenia komisarza.

Palmu jednak odwrócił się już do Batlera.

— Czy pana pracodawca miał zwyczaj ryglować drzwi podczas kąpieli? — zapytał.

Lokaj spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Skąd mam to wiedzieć? Pan mi przykazał, abym był

niewidoczny, kiedy nie jestem potrzebny. Jeżeli potrzebo wał mojej pomocy, dzwonił. Wtedy drzwi łazienki nigdy nie były zamknięte. Gdybym przyszedł, kiedy mnie nie wołał, od razu by mnie zwolnił.

Batler wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

— A zatem możemy założyć, że Bruno Rygseck nie miał

w zwyczaju ryglować drzwi podczas kąpieli — stwierdził

Palmu i spojrział badawczo na lokaja.

Batler już miał gotową odpowiedź.

— Ależ nie! Raczej... hmm... jak by to panu wyjaśnić...

Bo to jest tak, że goście schodzili tu i oglądali łazienkę.

Mój pan zazwyczaj wszystkim ją pokazywał. Był z niej bardzo dumny. Zdarzało się... hm... czasem, to jest wieczorem, podczas jakiegoś przyjęcia, wszyscy goście zakładali stroje kąpielowe i razem szli się kąpać, a wtedy ja...

hm... ja tu usługiwałem. A gdy mój pan rano wstawał, a jakiś wczesny gość już na niego czekał, to zdarzało się, że zapraszał go do wspólnej kąpieli... jeżeli gość był osobą dobrze mu znaną, ma się rozumieć.

Zażenowany Batler najwyraźniej mówił między wierszami, starając się wyrażać możliwie najdelikatniej. Pal-mu patrzył na niego ostro, lecz lokaj wciąż nie odrywał wzroku od ziemi.

— Jeżeli dobrze odczytuję pańską aluzję — odezwał się komisarz — chce mi pan powiedzieć, że tego ranka pan Rygseck miał powody, by zamknąć drzwi od środka.

Oczekujący na niego goście byli osobami dobrze mu znanymi i w każdej chwili którejś z nich mogło strzelić do głowy, by spotkać się z nim w łazience. A pańskim zdaniem owe wcześniej wspomniane... hm... sprawy osobiste były na tyle nieprzyjemne dla pana Brunona, że wolał się najpierw ubrać, a dopiero potem przystąpić do negocjacji.

— Panie komisarzu! — rzekł Batler, unosząc obronnie dłoń. — Niczego takiego nie p o w i e d z i a ł e m !

— Racja, racja — machnął ręką Palmu. — Podczas przesłuchania ustaliliśmy, że wszyscy wiedzieli, iż pan Bruno wstawał zazwyczaj za kwadrans dziesiąta. Czy rzeczywiście trzymał się tego zwyczaju aż tak zasadniczo?

— Tak jest, w tej kwestii był bardzo zasadniczy — zapewnił go Batler. — Miał w pokoju budzik, bardzo precyzyjne urządzenie, i budził go dokładnie za kwadrans dziesiąta pewien... hm... kurant.

— Jaki kurant? — zaciekał się Palmu.

Batler trochę się usztywnił.

— Mam powody przypuszczać — odrzekł wymijająco —

że była to melodia pieśni religijnej *W górę, duszo moja*.

— Przecież... przecież to... — zaczął jąkać oburzony Kokki, lecz Palmu uciszył go nerwowym machnięciem.

— To sprawa bez znaczenia. Batler, niechże pan mówi dalej!

— Mój pan wstawał od razu po wysłuchaniu melodii do końca, zarzucał na ramiona szlafrok i schodkami obok sypialni schodził tutaj. W basenie czekała już na niego letnia woda. W tym czasie, kiedy się kąpał, ja byłem w kuchni i stawiałem dla niego na tacy poranną herbatę, bagietkę, masło i marmoladę oraz pół szklanki świeżego soku pomarańczowego. Zazwyczaj po jakichś dwudziestu minutach dzwonił z gabinetu, który znajduje się obok sypialni.

— Gabinetu? — zdumiał się Palmu. — Nie wiedziałem, że Bruno Rygseck miał w zwyczaju pracować.

— Tak to pomieszczenie nazywał — odparł dyplomatycznie Batler. — Tak czy owak nigdy nie przebywał w łazience dłużej niż pół godziny.

— No tak, jest jednak małe ale... — Palmu zamyślił się na chwilę. — Taka stałość nawyków zupełnie mi nie pasuje do obrazu pańskiego pracodawcy, który sobie wyrobiłem na podstawie opinii, jakie o nim słyszałem.

— Bo też, panie komisarzu, o żadnej stałości nawyków mowy być nie mogło — przyznał skwapliwie wierny sługa Brunona Rygsecka. — Mój pan miał w zwyczaju... hm...

żartować, że nawyk wstawania o stałej porze to je-40

dyna więź łącząca go jeszcze z praworządnym społeczeń-

stwem i siłami, które je podtrzymują. Z tego też powodu nie chciał się tego nawyku wyzbywać. Był to, że się tak wyrażę, jedynie kaprys, zdarzało się bowiem, że gdy poprzedniego dnia zasiedział się do nocy, po kąpieli i herbacie wracał do łóżka i spał do popołudnia.

— Zakładam, że wszyscy jego znajomi wiedzieli o tej jego słabości? — spytał Palmu.

— Wiedzieli o niej wszyscy jego znajomi — potwierdził

Batler poważnym tonem.

Komisarz zadumał się na chwilę. Potem skinął na nas i wyszedł z pomieszczenia. Gdy byliśmy już wszyscy w sieni, zamknął drzwi i zgasił światło w łazience.

— Dobrze! — powiedział. — A teraz proszę mi pokażać, jak pan się włamał do środka!

Batler aż podskoczył.

— To nie ja włamałem się do środka, tylko inżynier Vaara.

— Nieważne. Proszę mi zatem pokazać, gdzie stał pan, a gdzie pozostałe osoby i jak to się wszystko odbyło —

poinstruował Palmu. — Nie wolno panu o niczym zapomnieć, proszę jednak za bardzo się nie rozwodzić.

Obawiam się, że goście w sali za chwilę stracą nerwy.

— Wszystko odbyło się bardzo prosto — zaczął Batler.

— Nie trwało to nawet minuty. Kiedy stwierdziłem, że drzwi łazienki zamknięte są od środka i mój pan nie odpowiada na pukanie, poszedłem do sali po pana inżyniera Vaarę i panicza Aima. Zeszliśmy tymi tu schodami z holu, pan inżynier pierwszy, ja ostatni. Pan Vaara podszedł od razu do drzwi i głośno zapukał. Chwilę nasłuchiwaaliśmy.

41

Panicz też zapukał, ale pan inżynier odsunął go na bok.

Najpierw szarpnął za uchwyt drzwi, potem próbował je otworzyć, uderzając w nie barkiem, ale gdy i to nie pomogło, wziął dwa kroki rozpędu i kopnął, aż trzasnęło. Przekręciłem włącznik i wpadliśmy wszyscy do środka, ja ostatni.

Kopnięcie było tak mocne, że zasuwka się wyłamała, a drzwi pękły przy zawiasach.

— I wtedy od razu spostrzeżliście, co się stało? —

stwierdził raczej, niż zapytał Palmu. — Niech pan spróbuje dokładnie sobie przypomnieć, co robiliście i co każdy z was powiedział.

Lokaj wyteżył pamięć i zaczął mówić, ważąc każde słowo:

— Najpierw chyba pan inżynier wskazał na basen i powiedział: patrzcie. Zamarliśmy wszyscy na sekundę i niemal w tym samym momencie panicz Aimo wskazał na mydło i powiedział: mydło. Zdaje się, że wszyscy od razu pojęliśmy, jak doszło do tego nieszczęścia.

— Mydło było pod ścianą, a na posadzce widniała długa smuga — przypomniał Palmu. — No tak, nietrudno się było domyślić. Co dalej?

— Wydostaliśmy mojego pana z basenu i złożyliśmy na kozetce pod kwarcówką. Odstawiłem lampę na bok, a pan inżynier natychmiast przystąpił do sztucznego oddychania.

To znaczy najpierw zdjęliśmy płaszcz kąpielowy, a pan Vaara chwycił mojego pana w pasie i uniósł, aby głowa znalazła się niżej i woda wypłynęła przez usta.

— Jasne — skwitował szybko Palmu. — W jaki sposób wydostaliście go z wody? Chyba nie chce pan powiedzieć, że pan po niego nurkował?

— Oczywiście, że nie! — Batler natychmiast oddalił

podejrzanie. — Zszedłem po drabince, tak że głowę miałem tuż nad powierzchnią wody, i wtedy zdołałem go jakoś uchwycić za poły szlafroka. Potem już bez trudu przyciągnąłem go do drabinki. W wodzie ciało przemieszcza się z łatwością, bo masa właściwa człowieka...

— Dajmy sobie spokój z masą właściwą! — zniecierpliwił się Palmu. — Stosunkowo łatwo wy dostał go pan z basenu, ciągnąc za poły szlafroka. Co dalej?

— Pan inżynier przystąpił do sztucznego oddychania.

Poinstruował nas, jak to robić, sam zaś poszedł zatelefonować do lekarza. Ja wykonywałem to sztuczne oddychanie, a panicz Aimo rozcierał leżącemu nogi. Przy tej okazji spostrzegłem, że mój pan ma guza na potylicy, i powiedziałem o tym także paniczowi. Wyszliśmy wniosek, że poślizgnął się, uderzył w coś głową i stracił przytomność. Za panem inżynierem do łazienki przysła panienka Air i.

— Co powiedziała? — przerwał mu Palmu.

— Wepchnęła się do środka na siłę, choć pan inżynier próbował ją powstrzymać. Była potwornie wstrząśnięta, tak, myślę, że właśnie ona była najbardziej tym wszystkim przerażona. To nieprawda, to nie może być prawda, krzyczała. Pan inżynier Vaara... tak, chyba o mały włos nie uderzył jej w twarz, aby ją uspokoić. Wtedy weszły pozostałe panie i starsza pani Rygseck od razu się poślizgnęła. Z wrzaskiem ucze piła się pana inżyniera, żeby nie upaść, i zaraz kazała mi wytrzeć podłogę, a pani Rygseckowa... chyba wpadła w histerię, bo zaczęła się śmiać!

— Śmiać? — powtórzył zdziwiony Palmu, a Kokki aż się wzdrygnął na tę kobiecą nieczułość.

— Tak, w istocie, zaczęła się śmiać — potwierdził

Bat-ler. — Starsza pani Rygseck wyglądała... no... trochę zabawnie, kiedy się poślizgnęła i zawisła panu inżynierowi na szyi. Ale tak ją to zdenerwowało, że aż trzęsła się ze złości.

— Co potem? — popędzał go Palmu.

— Potem było trochę zamieszania, ale panie w końcu wróciły do sali, kiedy pan inżynier im wyjaśnił, jak doszło do nieszczęścia. Potem przystąpił znów do sztucznego oddychania, a ja przeszedłem do holu, by po przyjeździe ambulansu bezzwłocznie zaprowadzić sanitariuszy z noszami do łazienki. Kiedy zabrali mojego pana, również mężczyźni wrócili do sali i tam już wszyscy czekali na przyjazd pana komisarza. Ja zaś wysprzątałem łazienkę, jak już wcześniej wyjaśniłem, po czym poszedłem do swojego pokoju i przebywałem tam do pańskiego przyjazdu.

— Dlaczego? — zaciekał się Palmu.

— Musiałem zmienić spodnie — padła prosta odpowiedź. — Byłem kompletnie przemoczony, bo cała mokra robota, że tak się wyrażę, spadła na moje barki.

Batler zamilkł i zapadła cisza. Zamyślony komisarz patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem, aż wreszcie skonstatował:

— A zatem to wszystko.

— To wszystko — przyznał Batler.

— I wyjaśnił mi pan okoliczności odnalezienia ciała i wszystkie wydarzenia, które po tym nastąpiły, niczego nie dodając i niczego nie tając? — indagował Palmu, spo-44

glądając na lokaja wzrokiem roztargnionym, nieledwie sennym.

Batler spokojnie odwzajemnił spojrzenie i patrząc komisarzowi niewzruszenie w oczy, przyznał uprzejmie:

— Właśnie tak, panie komisarzu!

— Wobec tego sprawa jest jasna — orzekł Palmu i westchnął.

Ogarnęło mnie dziwne przygnębienie. Jednak chwilę później aż podskoczyłem ze zdumienia, Palmu bowiem tym samym jednostajnym tonem wyjaśnił:

— Ten przypadek potwierdza znany fakt, że każdy morderca popełnia jakiś błąd. Może to być błahostka, rzecz pozornie bez znaczenia, która potrafi pokrzyżować wszystkie pozostałe, bezbłędne

nawet rachuby.

Kiedy Batler pojął znaczenie tych słów, cofnął się o krok, a jego dłoń uniosła się powoli do gardła. Twarz mu poszarzała, wziął się jednak trochę w garść, uśmiechnął

bezradnie i powiedział:

— Pan komisarz raczy żartować. Przecież to był nieszczęśliwy wypadek. Moja relacja jest chyba tego najlepszym dowodem.

— Czy pan naprawdę nie rozumie, Batler, że jeśli wszystko, co pan nam powiedział, jest prawdą, to wniosek może być już tylko jeden? — rzekł Palmu bardzo spokojnie.

— Że to był nieszczęśliwy wypadek! — odpowiedział

uparty lokaj.

— Przeciwnie, mój dobry człowieku, wprost przeciwnie!

Na podstawie pańskiego zeznania stwierdzam oczywisty fakt: to było m o r d e r s t w o !

Spojrzeliśmy po sobie i wszyscy mieliśmy jednakowo głupie miny.

— To nie... nie... pojęte — wyjąkał Batler.

I tu przyznałem mu całkowitą rację, bo i ja nie mogłem tego absolutnie pojąć. Ani Kokki. Jego mina zdradzała, że on także przestał cokolwiek rozumieć. I tylko to mnie jeszcze trochę pocieszało.

Dlaczego drzwi piwnicy nie są zamknięte na klucz?

• Pisarz Laihonen szuka swojego rękopisu, a panna Vanne ma zamek w Hiszpanii. • Pan Laihonen nie zna panny Vanne, ale jej wybacza. • Komisarz Palmu bierze koniec za początek, pisarz zaś przywołuje niebiosa. • Batler mówi jak Dickens, a Palmu tłumaczy, że mózg mu wolno pracuje. • Inżynier Yaara zaprzecza, jakoby był komediantem.

Palmu powiódł spojrzeniem po całej naszej trójce.

— Pojęte czy niepojęte... — powiedział i pokręcił głową. — Toż to jedyny logiczny wniosek, który będziemy musieli w wolnej chwili jeszcze raz zweryfikować. Tym czasem jednak założmy, że tak sobie tylko żartowałem.

Co to za drzwi?

I nie czekając na odpowiedź, Palmu przeszedł koryta-rzykiem i otworzył tylne drzwi domu. Kokki, Batler i ja, wciąż jeszcze oszołomieni, podążyliśmy za nim. Drzwi miały zwykły zamek patentowy i łańcuch, który nie był

jednak założony, i komisarz nie musiał go zdejmować. Od tylnego wejścia odchodziła żwirowa alejka. Wiodła do ma-

łej, oplecionej pnączami furtki w murowanym ogrodzeniu posesji.

— Kto używa tych drzwi? — zapytał Palmu.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — padła zaskakująca odpowiedź Batlera.

Mina komisarza zmusiła go do dalszych wyjaśnień:

— Chciałem powiedzieć, że to prywatne wejście mojego pana i nigdy nie widziałem, by ktokolwiek z niego korzystał.

Wiem jednak, że czasem do domu przychodzili goście, których wizytę mój pan pragnął zachować w tajemnicy.

Wtedy prosił ich o korzystanie z tylnego wejścia i jak sam pan widział, panie komisarzu, w sieni przy łożnicy są schody, które prowadzą prosto na piętro. Takich gości mój pan wpuszczał do domu osobiście. W grę wchodziły wyłącznie... hm... późne odwiedziny, by w ciemności nie można było rozpoznać przybysza, choćby nawet ktoś pró-

bował dostrzec go z okna.

— Bardzo taktownie urządzone — stwierdził komisarz bezosobowym tonem.

Batler łypnął na niego podejrzliwie.

— Mam powody przypuszczać, że niektórym z takich zaufanych... hm... gości mój pan niekiedy dawał nawet klucz. Pasuje on zarówno do tych drzwi, jak i do furtki w ogrodzeniu na tyłach domu. Dzięki temu nie musiał

oczekiwać swoich gości na dworze. O ile mi wiadomo, drugiego klucza do tych drzwi w ogóle nie ma.

— I jeśli wizyty takiego hm... gościa zaczynały gospodarza już nużyć, wystarczyło założyć od środka łańcuch, by nie dopuścić do przykrej niespodzianki, czyż nie? —

dopowiedział Palmu. — Czy dziś rano łańcuch był założony?

— Sądziłbym, że nie — wyraził pogląd Batler. — Zazwyczaj nie był używany. Jednak z całą pewnością nie mogę powiedzieć.

— No, a czy często tacy hm... goście bywali w domu? —

spytał komisarz, nie starając się już nawet ukryć sarkazmu.

— W tej kwestii nie mam wyrobionej opinii — odparł

szttywno lokaj.

Palmu zatrzasnął drzwi z powrotem i wróciliśmy do sieni.

— Niech się pan raz jeszcze dobrze zastanowi nad wydarzeniami dzisiejszego dnia — rzekł komisarz, akcentu jąc każde słowo. — Czy nie przypomina pan sobie cze goś szczególnego, o czym zapomniał pan nam być może wcześniej powiedzieć, a co teraz budzi pańskie zdziwienie? Proszę się dobrze zastanowić!

Batler zastanowił się dobrze. Po chwili zrezygnowany wzruszył ramionami.

— Nie, panie komisarzu! — odrzekł. — Dziś rano nie wydarzyło się nic takiego, co budziłoby teraz moje zdziwienie.

Palmu gniewnie machnął ręką, więc lokaj dodał pospiesznie:

— Przecież pracuję u pana Rygsecka już od dwóch lat!

Ton jego głosu mówił aż nadto jasno, że czas ten w zupełności wystarczył, by zatracić wszelką zdolność dziwienia się czemukolwiek.

— A te drzwi? — Palmu zaczął z innej beczki, wska zując na żelazne drzwi w zagłębieniu ściany korytarzyka.

Znajdowały się na przeciwległej ścianie względem łazienki, prawie przy tylnym wejściu do domu. Ich umiejscowienie wskazywało, że mogą prowadzić do piwnicy.

Batler potwierdził domniemanie komisarza.

— Prowadzą do kotłowni, pralni i komórek z opałem

— wyjaśnił. — Są zawsze zamknięte na klucz.

Komisarz, chcąc zapewne potwierdzić prawdziwość słów lokaja, mimowolnie położył rękę na klamce — i wtem dobrze naoliwione drzwi otwały się lekko i bezgłośnie. Nie były wcale zamknięte na klucz!

Palmu nie przekroczył progu, tylko spojrział na Batlera z niemym wyrzutem. Lokaj całkiem się zmieszał.

— Och, przepraszam, panie komisarzu! — wykrzyknął i klepnął się dłonią w czoło. — Na śmierć zapomniałem!

Przecież dziś rano przyjechała dostawa koksu.

— Dostawa koksu?

— Tak, dwie pełne ciężarówki. Przyjechali, gdy sprzą-

tałem salę. Musiałem pójść im pokazać, w jakiej kolejności zapełniać komórki. Napuszczałem już wtedy wodę do basenu w łazience. Zszedłem do piwnicy schodami z kuchni, a kiedy już im pokazałem co i jak, przeszedłem tymi właśnie drzwiami w korytarzyku prosto do łazienki, bo się bałem, że jak pójde naokoło, przez kuchnię i hol, to mi się woda przeleje. I dlatego drzwi nie są teraz zamknięte na klucz.

Zamknąłbym je, gdybym wrócił do piwnicy tą samą drogą, ale usłyszałem dzwonek do drzwi, więc z łazienki poszedłem prosto do holu i wpuściłem do środka obie panie Rygseck.

Wtedy też wszystko się zaczęło.

— Skomplikowane wyjaśnienie! — ocenił cierpko Palmu. Ja też uważałem, że Batler coś za nerwowo reaguje na drobiazgi.

W tej samej chwili komisarz uniesieniem dłoni kazał nam zachować ciszę i nadstawiając uszu, pochylił się w otwartych drzwiach.

— Sza! — powiedział. Wreszcie i na jego twarzy choć raz pojawił się wyraz kompletnej dezorientacji. Lokaj rów nież uniósł brwi i wybałuszył oczy ze zdumienia.

Z piwnicy bowiem dobiegły nas wyraźnie odgłosy oży-wionej, wesołej rozmowy!

Zeszliśmy na palcach za komisarzem dwa stopnie i znaleźliśmy się w zakurzonej, pogrążonej w półmroku piwnicy. Poczulem zapach suchych murowanych ścian, a nieco dalej w głębi dostrzegłem zarysy kopuły kotła. Z boku zamajaczyła pozbawiona drzwi komórka, gdzie za przegrodą piętrzył się zwal koks. Po drugiej stronie piwnicy mieściła się druga, identyczna komórka, z której przez małe zakratowane okienko pod sufitem sączyło się do środka zapyłone światło.

A w niej, na skrzynce odwróconej do góry dnem, siedzieli obok siebie dwoje ludzi całkowicie pochłoniętych ożywioną rozmową. Drobego mężczyznę poznałem natychmiast, bo widziałem jego zdjęcia, choć zrazu nie mog-

łem uwierzyć własnym oczom, tak niemożliwe wydało mi się połączenie jego osoby z mroczną piwnicą Brunona Rygsecka. A dziewczyna, która wprost pożerała go wzrokiem, jego roztargnioną twarz uczonego i okulary w złotej oprawce, była bodaj najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

— Kolejni goście! — stwierdził cierpko Palmu. — Za chwilę będzie tu więcej ludzi niż pszczół na wyroju!

Mężczyzna aż podskoczył i zwrócił na komisarza zdumione oczy krótkowidza. Dziewczyna poderwała się na równe nogi. Palmu nie wytrzymał.

51

— A państwo k i m są?! I co tu robią?! — wypalił ob cesowo.

Pociągnąłem go ostrzegawczo za rękaw.

— Cii! — odezwałem się cicho. — Nie poznaje pan, komisarzu? Przecież to pan Laihonen, pisarz i krytyk lite racki!

Palmu się wzdrygnął, wejrzał uważniej w szczupłą, inteligentną twarz myśliciela i chrząknął przepaszająco. Ale dziewczyna już była zła. Postąpiła obronnie krok naprzód i z błyskiem nietajonej wściekłości w oczach prychnęła:

— Co się pan tak drze, głupi czy co?! Nastraszył go pan! A tak w ogóle to co pan tutaj robi?

Kokki aż sapnął z przejęcia, bo w jego obecności jeszcze nikt nie odważył się tak odezwać do komisarza. Palmu poczerwieniał na twarzy, ale jakoś przełknął złe słowo, choć miał już je na końcu języka. Zignorował dziewczynę i zwrócił się do mężczyzny, który wzorem jąkały rozwarł

szeroko usta i ręką czochrał sobie włosy. Na policzku miał

plamę po sadzy.

— Pan Laihonen, pisarz i krytyk literacki, tak, teraz pana rozpoznaję, widziałem pańskie zdjęcia — odezwał

się komisarz z uprzedzającą grzecznością. — Ale czegoż pan tutaj szuka, na Boga?

Pisarz Laihonen zrozumiał pytanie dosłownie.

— Szukam swojego rękopisu! — odpowiedział, dumnie unosząc czoło.

— Że co? — Palmu zadrżał i cofnął się o krok.

Wiedziałem, co mu zaraz przyszło do głowy, bo nieraz mi mówił, że jego zdaniem wszyscy pisarze mają nierów-52

no pod sufitem, mniej lub bardziej, ale mają. Nie można mu się zresztą dziwić: tak samo myśli bardzo wielu wydawców.

— Tak, przyszedłem tutaj po swój rękopis! — powtórzył

pisarz i teraz to on spojrzał ze zdumieniem na komisarza przez swoje grube szkła. — Tytuł brzmi: *Zamek w Hiszpanii*

— dodał jeszcze, gdyż najwyraźniej uznał, że nie obędzie się bez dokładniejszych wyjaśnień.

— Zaraz, zaraz, po kolei! — rzekł Palmu pojednawczo.

— Chyba nie za bardzo rozumiem, o co tu chodzi. Co ma wspólnego Hiszpania z piwnicą i koksem?

Pisarz Laihonen nieco się zaperzył.

— A kto panu powiedział, że w książce musi być od razu wiadomo, o co chodzi? — zapytał przekornie. — Tytuł jest wszakże wyłącznie metaforą. Zamki w Hiszpanii, słyszał

pan chyba i wie, co to znaczy?

— Nie, nie wiem — odrzekł Palmu z głupią miną.

— To takie powiedzenie — wyjaśnił pisarz. — Każdy ma przecież swój „zamek w Hiszpanii”.

Pociągnąłem komisarza za rękaw, nim zdążył zauważyć, że będąc niezamownym urzędnikiem państwowym, zamku nie posiada.

— To coś takiego, czego w rzeczywistości nie było i nie ma.

— No właśnie, czyż to nie piękna myśl? — wtrąciła dziewczyna z bezgranicznym podziwem. — Zamek w Hiszpanii to najgłębsze, najskrytsze marzenie, sen o krainie, która nie istnieje.

— To prawda — przyznałem cicho i znowu pociągnąłem komisarza za rękaw, ale zaraz mi się wyrwał.

— Dajmy już temu spokój! — sapnął poirytowany. Oczy miał lekko wybałuszone, a ton jego głosu mówił raczej o ta jonym rozdrażnieniu. — Więc dobrze, przyszedł pan tu za tem po swój rękopis, który, jak mniemam, jednak i s t n i e -

j e. Dlaczego pan uważa, że znajdzie go właśnie t u t a j ?

Palec wskazujący komisarza zatoczył szeroki okrąg, który objął piwnicę ze stertami koksu. Tym razem zmieszała się dziewczyna, która widząc swoje czarne od sadzy dłonie, splonęła szybko rumieńcem.

— Ja... — zaczęła.

— My... — zaczął pisarz.

Oboje zamilkli jednocześnie, spojrzeli na siebie i roze-

śmiali się wesoło. Palmu im nie przerywał, ale pod jego posępnym spojrzeniem ich śmiech nagle stał się wymuszony. Dziewczyna szybko spoważniała i Laihonen uznał, że winien jest komisarzowi jakieś usprawiedliwienie:

— Nie szukam swojego rękopisu właśnie t u t a j . Ale panna Vanne miała do mnie ważną sprawę, a że nie znaleźliśmy żadnego innego miejsca, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać, weszliśmy do piwnicy.

— Od jak dawna państwo tu siedzą? — zapytał Palmu, siląc się na spokój.

Jednak ton jego głosu nie spodobał się dziewczynie.

— A co to pana w ogóle obchodzi? — zapytała gru-biańsko i zwróciła się do lokaja, który stał nieco w głębi.

— Batler, co ci panowie tu w ogóle robią?

Lokaj już otworzył usta, lecz Palmu uciszył go ruchem dłoni. Z ponurą powagą spojrział na pisarza i dziewczynę.

— Państwo naprawdę nie wiedzą, co się wydarzyło w tym domu? — zapytał z niedowierzaniem.

Teraz nawet pan Laihonen spoważniał i ze zdziwieniem pokręcił głową. Piękne oczy dziewczyny nieco się rozszerzyły.

— A co się wydarzyło? — spytała, tknięta złym prze czuciem, bo w jej głosie zabrzmiał mimowolny lęk.

Palmu zerknął na zegarek.

— Już za chwilę się państwo dowiedzą — zapewnił

ich — ale czas ucieka, a ja muszę jeszcze zadać państwu dwa pytania. Jestem komisarz Palmu z wydziału kryminalnego i...

Palmu urwał w pół słowa, dziewczyna bowiem zbladła jak płótno i wczepiła się w pisarza Laihონena, jakby szukała w nim oparcia. Rozwarła szeroko oczy, wzrok jej znieruchomiał.

— Nie... nie rozumiem — wymamrotała słabym głosem.

— Chyba nie mają państwo nic do ukrycia? — spytał

chytrze Palmu. I zdobył tym manewrem przewagę, bo dziewczyna się zmieszała i powoli oblała pąsem.

— Nie, nie mamy nic do ukrycia — odrzekła, siląc się na przekonujący ton i patrząc komisarzowi prosto w oczy.

— Dobrze więc! Panie Laihonen! Jak się pan tu dostał?

— Przyszedłem po swój rękopis — powtórzył uparcie pisarz. Palmu się zdenerwował:

— Chyba już mówiłem, żebyśmy dali sobie wreszcie spokój z tym przeklętym rękopisem! Pytam, jak to możliwe, że znalazł się pan w tym domu i czuje się tutaj jak u siebie.

Jest pan przyjacielem pana Brunona Rygsecka?

— Jestem w tym domu po raz pierwszy — oświadczył

oficjalnie Laihonen urażonym tonem. — I na razie zdąży-

łem poznać jedynie piwnicę. Przyjacielem pana Rygsecka nie jestem i nie chcę być po tym, czego się dzisiaj o nim dowiedziałem. Poza tym nawet go nie znam. — Laihonen zawahał się i nieco zdenerwował. — To znaczy nie w y-k 1

u c z a m, że kiedyś go już spotkałem, zazwyczaj jednak nie rozpoznaję przygodnych znajomych. Mam bardzo słabą pamięć do twarzy.

—
A pani... hm...? — Palmu zwrócił się do dziewczyny.

Wtedy do rozmowy wmieszał się Batler, uznając za pewne, że powinien dokonać przedstawienia.

— Panna Vanne, częsty gość domu. Córka pana radcy górniczego Vannego. — Ostatnie zdanie lokaj wypowie dział takim tonem, jak gdyby tłumaczyło ono wszystko i gwarantowało dziewczynie osobowość.

Palmu skłonił się niezdarnie, patrząc wyczekująco na dziewczynę.

— Ja... ja rzeczywiście b y ł a m przyjaciółką Bruno na... — zaczęła.

Wzdrygnęliśmy się wszyscy.

— A zatem pani wie... — wtrącił szybko Palmu.

Ta uwaga jeszcze bardziej zbiła dziewczynę z tropu.

Zbladła zupełnie i powiodła po nas błagalnym wzrokiem.

— Dlaczego panowie patrzą na mnie tak dziwnie? —

wyrzuciła w końcu z siebie. — Chciałam powiedzieć, że byłam przyjaciółką Brunona do wczorajszego wieczoru.

Ale po tym, co wczoraj zaszło, już dłużej nie chcę. Dla tego też spotkałam się z panem Laihonenem właśnie tu tutaj. Najpierw jednak musiałam mu wyjaśnić całą sytuację i dlatego przyprowadziłam go do piwnicy. I pan Laihonen mi wybaczył.

— Tak jest, oczywiście, że pani wybaczyłem — zapew nił ją życzliwie pisarz i skinął głową, co upodobniło go do sympatycznej sowy.

Palmu rozłożył ręce, spojrział na mnie bezradnie i po-kręcił głową.

— Dobrze, rozumiem — powiedział. — Państwo znają się już od dawna?

— Bynajmniej! — odparł zaskoczony pisarz. — Skąd to panu przyszło do głowy? Wręcz przeciwnie, spotykam się z panną Vanne w zasadzie po raz pierwszy. To znaczy w istocie poznaliśmy się już w sobotę, wtedy jednak nie mogłem nawet wiedzieć, że to panna Vanne. Chciałem powiedzieć, że faktycznie...

Nie zdążył już jednak wyjaśnić, co chciał faktycznie przez to powiedzieć, gdyż Palmu ruchem głowy uciął ten bezowocny dialog.

— Zostawmy i to na później — rzekł zrezygnowanym tonem. — Zasadnicze pytanie brzmi teraz, od jak dawna państwo tu siedzą. Na początek to mi wystarczy.

Pisarz spojrział na zegarek i wyraźnie się zdumiał.

— Niesłychane, jak ten czas przeleciał! — wykrzyknął.

— Proszę sobie wyobrazić, panno Vanne, dochodzi już południe. To znaczy mój zegarek wskazuje dwunastą, ale spiesz się kwadrans, bo inaczej zawsze bym się spóźniał.

Panna Vanne dostrzegła poirytowaną minę komisarza, pospieszyła więc z wyjaśnieniem:

— Ustaliliśmy, że spotkamy się o dziesiątej na ulicy przed domem. Ale pan Laihonon przyszedł wcześniej.

— Byłem tak zdenerwowany z powodu tego ręko... —

zaczął zgnębiony pisarz, ale napotkawszy morderczy 57

wzrok komisarza, zamilkł w pół słowa i zaczął lękliwie poprawiać okulary.

— Zobaczyłam, że rozmawia przy wejściu do piwnicy z kierowcą ciężarówki — podjęła panna Vanne. — Żelazne drzwi były otwarte i ze środka wyszło akurat dwóch mężczyzn po nowy ładunek. Wślizgnęliśmy się tutaj z panem Laihononem i wszystko mu wyjaśniłam, czas płynął

niepostrzeżenie, węglarze wrócili z nowym ładunkiem, a ponieważ nie chcieliśmy się przed nimi afiszować, nie wyszliśmy, tylko zostaliśmy tutaj i dalej rozmawialiśmy.

Węglarze wchodzili z koksem, ale nas nie widzieli, a potem to już pewnie pojechali. No i tak miło sobie gawędziliśmy, dopóki panowie nas nie zaskoczyli, pojawiając się niespodziewanie.

— Odbyliśmy rzeczywiście nadzwyczaj interesującą rozmowę — potwierdził zachwycony pisarz.

Spojrzałem na zgrabną, wysoką dziewczynę, na jej ciemne, promienne oczy i miękką, owalną twarz, na usta, które były jak czerwony kwiat, i na kształtne łydki w je-dwabnych pończochach. A potem spojrzałem na niskiego pisarza, na jego zamyśloną twarz i mądre oczy sowy, na pogniecioną marynarkę i krawat przekrzywiony tak bardzo, że odsłonił guzik kołnierzyka. I choćby mnie żywcem krajali, to nie umiałbym powiedzieć, jakiego rodzaju du-chowe pokrewieństwo mogło łączyć tych dwoje ludzi. No, ale w końcu nie moja to rzecz.

— Przecież mogli państwo wejść do domu tymi tutaj drzwiami! — Palmu pokazał otwarte drzwi za nami, prowadzące do sieni i korytarzyka przy łazience.

— Ale... one były chyba zamknięte na klucz — odparła z wahaniem panna Vanne.

— Otóż nie były — sprostował usłużnie pisarz Laihonen. — Kiedy tu weszliśmy, mimochodem je uchyliłem, szukając spokojnego miejsca, gdzie moglibyśmy porozmawiać. Od razu się jednak zorientowałem, że prowadzą do części mieszkalnej, bo dalej jest korytarzyk z dywanem i jakieś schody, a nawet mi do głowy nie przyszło, by za kradać się do cudzego domu, jak... jak włamywacz. Po mimo że zachowanie pana Rygsecka całkowicie by mnie usprawiedliwiało.

Panna Vanne spłoszyła.

— W każdym razie ja byłem przekonana, że są zamknięte na klucz — powtórzyła z podejrzanym uporem.

— A zatem pani wie, dokąd te drzwi prowadzą? —

spytał Palmu bez ogródek.

Z niewiadomego powodu dziewczyna już całkiem się speszyła.

— Tak... wiem — bąknęła. — Za nimi jest korytarzyk, który kończy się drzwiami wychodzącymi na tyły domu, a... a... z drugiej strony łazienka Brunona, schody na piętro i drugie do holu. Ale...

Komisarz jak gdyby nie zwrócił najmniejszej uwagi na to wyznanie, choć wynikało z niego bezsprzecznie, że dziewczyna doskonale się orientuje w rozkładzie domu.

— Dobrze już, dobrze — przerwał jej łagodnie —

chciałem jedynie wiedzieć, czy ktoś korzystał z tych drzwi w tym czasie, kiedy tu państwo siedzieli. A dokładnie niej: czy ktoś wchodził przez nie tutaj... czy może ktoś, na przykład któryś z węglarzy, przedostał się przez nie do domu?

Laihonen i dziewczyna spojrzeli po sobie niepewnie.

— Taak... bynajmniej nie... jestem niemal przekonany, że nie... — odrzekł pisarz tonem absolutnie niepewnym czegokolwiek.

— Moim zdaniem ktoś mógłby zupełnie bez trudu przekraść się obok nas — dziewczyna nagle się ożywiła. —

Przecież tak bardzo byliśmy zatopieni w rozmowie, że spostrzegliśmy przyjście panów dopiero wtedy, gdy się odezwaliście. A w końcu jest was czterech.

Palmu skinął potakująco głową, bo dziewczyna miała słuszość, a potem skinął raz jeszcze, jakby do siebie, i pogрузił się w myślach. Nastala dławiąca cisza. Panna Vanne nie odrywała wzroku od komisarza i już otworzyła usta, aby coś powiedzieć, nie odważyła się jednak. Pisarz Laihonen chrząknął przepaszajaco.

— Jeśli mógłbym jeszcze wrócić do poprzedniej kwe stii — zaczął nieśmiało. — Powiedział pan, że jest komi sarzem z wydziału kryminalnego. To bardzo dziwny... to jest, chciałem powiedzieć, bardzo ciekawy zbieg okolicz ności, tak się bowiem składa, że panna Vanne i ja rozpra wialiśmy tu właśnie o zbrodni!

Aż podskoczyłem. Lecz zadumany pisarz potarł podbródek i podjął poprzednią myśl, jak gdyby mówił już tylko do siebie:

— Pytanie tylko, kto zawezwał policję? Tego nie poj muję. Przecież zbrodnia miała być tak obmyślona, by ofia ra nie mogła zawiadomić policji.

Byłem tak oszołomiony tym, co usłyszałem, że przewróciłbym się od uderzenia słomką. Palmu również wydawał się zaskoczony.

— Ofiara? — powtórzył ze zdziwieniem. — Ofiara istotnie nie zawiadomi policji, ponieważ leży w kostnicy.

— W ko-kostnicy! — zająknęła się panna Vanne.

Uniosła dłonie do twarzy, krzywiąc się brzydko ze strachu i chwiejnie cofając o krok. Pisarz Laihonen otoczył ją ramieniem, spojrzał ze złością na komisarza i zapytał:

— Cóż pan tu sobie... żarty urządza?

Palmu się zdenerwował.

— Bruno Rygseck nie żyje! — wypalił obcesowo. —

Leży teraz w kostnicy! Utopił się we własnym basenie, kiedy państwo tu sobie gawędziliście w najlepsze!

Dziewczyna zaczęła dukać:

— A-a więc Bru-Bruno jednak nie-nie wygrał. Czyli...

— Zgoła niesamowity koniec bezsensownego festiwalu zbrodni! — skwitował zdumiony pisarz.

— Koniec? — powtórzył nie mniej zdziwiony Palmu.

— Moim zdaniem jesteśmy dopiero na samym początku!

Jednak jego złośliwość nie została doceniona, ponie waż pan Laihonen tak głęboko się zamyślił, że nie usłyszał jego słów.

— Nie potrafię oprzeć się wrażeniu — odezwał się bardzo poważnym tonem — że to kara niebios za igranie ze złymi mocami duszy ludzkiej!

— Ka-kara niebios! — wymknęło mi się mimowolnie, bo to samo przecież rzekła starsza pani Rygseck na wieść o zejściu Brunona Rygsecka.

Komisarz jednak szybko wrócił do sprawy.

— A zatem chcą mi państwo powiedzieć, że niby o niczym nie wiedzieli? — spytał z niedowierzaniem.

— I przez cały ten czas wasze oczy nie widziały ani uszy nie słyszały niczego dziwnego?

— To okropne, przerażające! — biadała dziewczyna.

— Siedzieliśmy przecież tuż obok.

— I tuż obok zamordowano człowieka i uprzątnięto jego zwłoki, a myśmy niczego nie słyszeli, myśmy sobie tylko przyjemnie gawędzili — skonstatował przerażony pisarz. —

Toż to... niewybaczalne!

— Zamordowano? — zainteresował się Palmu.

— Zamordowano? — zdziwił się z kolei pisarz. — Ależ to oczywiste! Sam pan to przecież przed momentem powiedział. Wszak to jedyny logiczny finał wymyślonej przez niego potwornej zabawy. Ktoś się okazał sprytniejszy od niego.

— Wcale nie powiedziałem, że Bruno Rygseck został

zamordowany — sprzeciwił się Palmu. — Powiedziałem tylko, że się utopił we własnym basenie.

Batler chrząknął taktownie i skłoniwszy się lekko, po-stąpił krok w przód.

— Wczoraj wieczorem mój pan spożył... hm... znaczną ilość alkoholu, o czym panna Vanne z pewnością wie.

Można zatem przypuszczać, że dziś rano jego krok nie był

jeszcze zbyt pewny. W łazience poślizgnął się na mydle i wpadł do basenu, uderzając się w głowę tak mocno, że stracił przytomność i utonął, zanim spostrzeżono nieszczęście i udzielono mu pomocy.

— A więc to tak! — Twarz dziewczyny rozpromieniła się i znów była piękna. Niewątpliwie kamień spadł jej z serca. — Byłam... byłam taka głupia, że się przestraszyłam!

— Batler mówi jak Dickens — zauważył Palmu, patrząc badawczo na dziewczynę.

Pisarz Laihonen zatrzymał wzrok na pajęczynie w rogu pomieszczenia.

— Nader osobliwe — rzekł nieobecny głosem. — Akurat po wczorajszym wieczorze. Kara niebios, tak właśnie!

— Ten wczorajszy wieczór musiał być rzeczywiście wieczorem nad wieczorami — ocenił zgryźliwie komisarz.

— Coś tak mi się zdaje, że będę musiał zebrać na jego temat nieco więcej informacji. Wiem, że gospodarz do późna podejmował gości, że nie wylewano za kołnierz, tudzież, jak trafnie zauważył pan Laihonen, igrano ze złymi mocami duszy ludzkiej. Kto jeszcze był obecny na tym... hm...

wieczorku?

Batler chrząknął taktownie.

— Wszyscy poza żoną pana Rygsecka — padła zaskakująca odpowiedź.

— Wszyscy? — Palmu cofnął się o krok.

— Tak jest — potwierdził lokaj bez chwili wahania.

— Co prawda starsza pani Rygseck zjawiała się najpóź

niej i zabawiła dość krótko, osobiście uznałbym jednak, że mimo to jej udział w tym spotkaniu był... hm... dość znaczący.

Panna Vanne parsknęła cicho, jak gdyby przypomniała sobie coś śmiesznego, ale zaraz spoważniała.

— Pan Laihonen oświadczył niedawno, że nigdy wcześ niej tu nie był! — rzekł komisarz, miażdżąc wzrokiem drobnego pisarza.

Batler znów taktownie chrząknął, zanim mężczyzna zdążył sam się obronić.

— Mam powody przypuszczać — odezwał się lokaj

— że pan Laihonen był na spotkaniu obecny duchem, że tak się wyrażę. Jego rękopis odegrał mianowicie pewną rolę w... hm... programie wieczoru.

Palmu potrząsnął głową jak rozjuszony byk.

— A zatem wczoraj wieczorem w tym domu bawili — tu komisarz zaczął liczyć na palcach — starsza pani Ryg-seck, inżynier Vaara, panna Rykamó, jej brat oraz panna Vanne.

— Tak jest — potwierdził Batler. — Te wszystkie osoby były obecne ciałem.

— I nikogo innego tutaj nie było?

— Nie, nie było.

Mina lokaja mówiła wyraźnie, że wspomniani wyżej goście w zupełności mu wystarczyli.

— Wczoraj wieczorem pohulanka, dziś rano sprawy osobiste — zadumał się Palmu. — Tak, panno Vanne, tak się to jakoś dziwnie złożyło, że pozostali uczestnicy wczorajszej zabawy czekają już w sali i tylko pani tam jeszcze nie ma.

Zdaje się więc, że będę musiał poprosić państwa, aby także tam poszli i poszukali sobie wygodnego siedzenia, a ja w tym czasie...

— A co z moim... — zaczął pisarz Laihonen.

Tym razem jednak przeszkodził mu Aimo Rykamó, który wbiegł do piwnicy od korytarzyka. Widok panny Vanne w najmniejszym stopniu go nie zaskoczył.

— Cześć, Irma! — powitał ją gromko i radośnie. — Da lej, chodź do sali na jednego! To jest lepsze, niż dostać pokera na rękę. Słyszałaś już pewnie, że Bruno kopnął

w kalendarz?

Zaraz jednak umilkł, bo inżynier Vaara przesunął go w bok i stanął przed komisarzem.

— Szanowny panie! — odezwał się. — Tego już jednak stanowczo za wiele! Śmierć w domu wymaga podjęcia **64**

całego szeregu kroków i panie są już bardzo zniecierpliwione. Ja również już dawno powinienem być w swoim biurze. Proszę się trochę pospieszyć!

Inżynier silił się na uprzejmy ton, ale było widać, że w środku aż kipi. Na pannę Vanne spojrzał chłodno i obojętnie, jak gdyby była dla niego powietrzem, na pisarza zaś nie raczył nawet zwrócić uwagi.

— Wiem, wiem — odrzekł pokornie Palmu. — Jestem stary niezguła i mój mózg pracuje już bardzo wolno. Gdy by jednak pan inżynier raczył łaskawie wytrzymać jeszcze kilka minut, to przeszlibyśmy może zaraz do łazienki, aby wyjaśnić sprawę do końca.

Komisarz jednak nie wszedł do środka. Gdy znaleźliśmy się w sieni, zatrzymał się pod drzwiami łazienki i rzekł do inżyniera:

— Co prawda Batler już mi wyjaśnił, w jaki sposób wyważył pan drzwi, jednak pewna kwestia nadal jest dla mnie niejasna. Może panowie zechcieliby, skoro jesteście już tutaj wszyscy w trójkę, ustawić się dokładnie w tych samych pozycjach i zrobić dokładnie to samo, co zrobiliście rano? Prosiłbym panów, byście spróbowali odtworzyć swoje zachowanie możliwie najdokładniej i zrobić wszystko tak samo jak wtedy.

— I co nam z tego przyjdzie? — prychnął inżynier, wsuwając demonstracyjnie ręce do kieszeni spodni. —

Głupota! Nie jestem komediantem!

W sukurs przyszedł nam jednak młody Rykamó, dla którego to wszystko było najwyraźniej świetną, wciągającą zabawą, co wzbudziło we mnie podejrzenie, że zdążył już wychylić drugi kieliszek.

— Co się tak stawiasz, Erik? — rzucił i z entuzjazmem pociągnął inżyniera za rękaw. — Wszystko jest zupełnie oolrajt! Tak się robi we wszystkich powieściach detekty wistycznych, normalna rzecz. To jest alibi, tak to się tam nazywa!

Komisarz się uśmiechnął. Zdążył już sobie wyrobić opinię o lotności umysłu młodego Rykamo, bo i nie można się było w tym względzie bardzo pomylić. Palmu odsunął

pisarza i jego towarzyszkę pod ścianę, jednak — co mnie zdziwiło — nie kazał im wrócić do sali. Sam zaś stanął z boku i tak oto scena pod drzwiami łazienki była gotowa do przedstawienia.

— Głupota! — powtórzył inżynier, ale po chwili wahania wszedł na schody do holu za Batlerem i Aimem Rykamo. Tam panowie zamienili półgłosem kilka słów, po czym pospiesznie zeszli gęsiego do sieni i zatrzymali się pod łazienką. Inżynier Vaara zapukał do drzwi i po chylił się, by lepiej słyszeć, młody Rykamo przepchnął

się obok i już miał sam zastukać, gdy inżynier odsunął go na bok i zamarkował próbę wyważenia drzwi barkiem.

Potem zrobił dwa kroki w tył i z rozpędu mocno kopnął

w drzwi. W tej samej chwili Batler przekręcił włącznik i cała trójka zniknęła w powodzi oślepiającego światła.

Panna Vanne była bardzo blada i kurczowo trzymała się ramienia pisarza, który przyglądał się całej scenie nieobecny wzrokiem. Sytuacja rzeczywiście wcale nie była zabawna. To ciche wtargnięcie do łazienki miało w sobie coś potwornie sugestywnego i nietrudno było sobie wyobrazić, że w wodzie wciąż leży bezwładne, spowite w czerwony szlafrok ciało.

Inżynier Vaara wyszedł z łazienki ze zmarszczonym czołem i wyrazem głębokiego obrzydzenia na twardej, męskiej twarzy.

— Jest pan teraz zadowolony? — zapytał, nie kryjąc złości. — Mózg zaczął panu wreszcie szybciej pracować?

— Zaczął, zaczął — uspokoił go Palmu. — Ale czy są panowie naprawdę pewni, że wszystko odbyło się właśnie tak, jak to nam przed chwilą pokazaliście?

Inżynier skinął sztywno głową, a w ślad za nim poszli Batler i Aimo Rykamó, którzy wymienili najpierw między sobą pytające spojrzenia.

— No tak, zwróciłem już na to uwagę, kiedy Batler po raz pierwszy pokazywał, jak to się odbyło — odezwał się Palmu spokojnie, przeciągając nieznacznie słowa. — Czy nie dziwi panów w tym wszystkim pewien nader osobliwy szczegół?

Inżynier otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć.

Wtem odwrócił się w stronę łazienki i spojrzał na lokaja, a lokaj na niego. Żaden jednak nie odezwał się ani słowem.

— Ludzie, czy wy naprawdę tego nie widzicie? —

zniecierpliwiał się Palmu. — **W ł a z i e n c e p a l i s i ę ś w i a t ł o !**

4-

Batler nie ma wątpliwości, zaś inżynier Vaara narzeka na kiepską pamięć. • Amalia Rygseck uprawia krytykę literacką. • Od czego Brunona Rygsecka wybawiła śmierć. • Ciotka Amalia ściska dłoń inżyniera i komisarz pyta o kawałek sznurka.

• Aimo Rykamó rzuca bubkami na prawo i lewo, a pani Rygseck przyznaje, że jest bezdzietna.

• Batler zostaje nakryty na kopaniu grobu.

Na chwilę zapadła pełna zdumienia cisza. Przerwał ją Aimo Rykamó.

— Pali się światło, pali się światło! — powtórzył. —

Oczywiście, że w łazience pali się światło. Przecież Bruno nie kąpał się po ciemku.

— I tu jest pies pogrzebany — wyjaśnił łagodnie Palmu.

— Batler przekreślił włącznik, a **m i m o t o** w łazience pali się światło.

— Dobry człowieku, nie bądź pan takim bubkiem!

— rzekł dobrodusznie młody Rykamó i pokręcił głową.

— To chyba jasne, że w łazience pali się światło, bo Batler przekręcił włącznik. Na tym polega cały wic z tą elek-trycznością! Przekręcasz pan kontakt i światło się zapala, ha, ha, ha!

Ale inżynier się nie roześmiał. Na czole pana Vaary pojawiły się głębokie bruzdy, a jego twarz jakby się nagle skurczyła. Nawet lokaj uniósł czujne spojrzenie.

— Właśnie, Batler — odezwał się życzliwie Palmu.

— Przekręcił pan instynktownie włącznik, jak co dzień rano, wchodząc do łazienki i z niej wychodząc. Robi tak machinalnie każdy, kto przywykł do tego, że włącznik światła znajduje się na zewnątrz, przy drzwiach. A jednak mimo to, gdy jak jeden mąż rzuciliście się wszyscy do łazienki, w środku paliło się światło.

Inżynierowi Vaarze puściły nerwy.

— Głupie gadanie! — wybuchnął. — Ja na przykład nie pamiętam, żeby Batler przekręcał kontakt!

— No nie, Batler przekręcił włącznik! — zaproponował

żywo Aimu Rykamó. — Z całą pewnością go przekręcił, i to właśnie wtedy, gdy ty kopnąłeś w drzwi. Przypominam to sobie bardzo wyraźnie, gdy cofam się myślą do tamtej chwili.

Żyły na skroniach inżyniera nabrzmiały. Pan Vaara przystąpił do chłopaka, spojrzał mu ciężko w oczy i powiedział z naciskiem:

— Aimo, nie bądź cholernym idiotą i przestań bredzić!

Przecież było tu wtedy jedno wielkie zamieszanie. Nie w i d z i a ł e ś , jak Batler przekręcał włącznik!

— Ależ widziałem, i to bardzo dobrze — nadał się młody Rykamó. — Chyba najlepiej wiem, co widziałem, a czego nie widziałem.

— Batler! — rzucił ostro Palmu. — Pojmuje pan zapewne, o jaką stawkę idzie ta gra. Czy przekręcił pan włącznik, kiedy inżynier Vaara kopnął w drzwi, czy też nie?

Proszę się nad tym dobrze zastanowić.

Lokaj wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

Twarz miał bładoszara.

— Panie komisarzu — odrzekł niskim, napiętym głosem.

— Z przyzwyczajenia przekręciłem kontakt, zrobiłem to machinalnie. Wtedy przez myśl mi nawet nie przeszło, co to może oznaczać.

— A co to niby oznacza? — zaperzył się Aimu Rykamó.

— Błędęgo pojęcia nie mam, czemu w kółko o tym gładzi-cie. Włacznik tak, włacznik siak, jak gdyby świat się miał od tego zaraz zawalić.

Nikt nie zwrócił uwagi na te słowa, bo inżynier podszedł

do lokaja i położył mu rękę na ramieniu.

— Mój drogi Batlerze! — zaapelował do lokaja. — By liśmy wszyscy bardzo spięci i zdenerwowani, a dokoła panował istny chaos, więc to niemożliwe, by zapamiętał

pan dokładnie tak banalny szczegół. Skutkiem pańskiego uporu będą wyłącznie kolejne różnice zdań, a co za tym idzie, nie kończące się przesłuchania i przykrości dla nas wszystkich, które, mój drogi Batlerze, pana również nie ominą. Czy naprawdę jest pan gotów przysiąc, że prze kręcił ten włacznik?

Batler spojrział najpierw na niego, potem na komisarza.

— Tak, panie inżynierze — powiedział z niezachwianą uprzejmością — jestem gotów przysiąc, że przekręciłem włacznik.

Inżynier ściągnął gwałtownie dłoń z ramienia lokaja.

— Aha, więc taki pan jesteś, panie Batler! — rzekł, akcentując nieprzyjemnie słowa. — A więc dobrze! Oba wiam się jednak, że to pan najbardziej na tym ucierpi.

Tak się jakoś złożyło, że wiem co nieco o panu i o pań skiej przeszłości. I przypadkiem doskonale pamiętam, że nie p r z e k r ę c i ł pan włacznika. Bardzo jestem **70**

ciekaw, czyje świadectwo okaże się cięższe na wadze sprawiedliwości, pańskie czy moje. Bo nie mam żadnych wątpliwości, że także Aimo potwierdzi moją wersję, kiedy sobie wszystko dokładnie przypomni.

— Eriku, kochany, posłuchaj no! — Aimo Rykamó zaczął cierpliwie od początku. — Za diabła nie mogę pojąć...

Urwał jednak w pół zdania, gdyż wszystkie oczy zwróciły się nagle ku schodom prowadzącym z holu. Zstąpiła z nich bowiem sztywno wyprostowana Amalia Rygseck i nawet kiepski obserwator zgadłby bez trudu, że jej nerwowe kroki i harda mina nie wróżą bynajmniej niczego dobrego.

— Panie inżynierze! — zwróciła się do Vaary. — Co to wszystko ma znaczyć? Posłałam pana tutaj, aby popędził

pan tych ludzi, a pan zamiast tego sam gdzieś przepada.

Muszę wrócić do domu po strój żałobny i woalkę. Muszę się naradzić z bratem w sprawie pogrzebu. Muszę zała twić tysiąc innych spraw, a oni sobie tutaj baki zbijają!

Odwróciła się do lokaja i dźgnęła go parasolem w brzuch.

— A wy, Batler, nie macie tu nic do r o b o t y ! Zdaje się natomiast, że grób jeszcze niegotów? Chciałabym go zobaczyć, zanim stąd wyjdę.

— Tak jest, łaskawa pani, idę natychmiast! — odrzekł szybko Batler.

— Grób? — komisarz zdziwił się niepomierne.

— Ale Batler... — próbował jeszcze oponować inżynier Vaara.

— Milczeć! — ucięła Amalia Rygseck.

71

Nie było cienia wątpliwości, że starsza pani wzięła sprawy w swoje ręce. Palmu bezradnie wzruszył ramionami i skinął lokajowi, który bezgłośnie ulotnił się z sieni.

— Mamy gości! — spostrzegła nieuprzejmie Amalia Rygseck, wskazując parasolem na dziewczynę.

— To panna Vanne — rzekł Palmu i dopowiedział in stynktownie: — Córka r a d c y g ó r n i c z e g o Vannego.

Na ustach Amalii Rygseck zapełgał łaskawy uśmiech.

— Pamiętam, widziałyśmy się przelotnie wczoraj wie czorem, kiedy to Bruno okazał się taki n i e m i ł y . A ten pan? Co on tu robi?

Pisarz odskoczył, by uniknąć dźgnięcia parasolem.

— Pan Laihonen, który jest pisarzem, znalazł się tutaj przypadkowo... — zaczął Palmu i tym razem to pani Amalia Rygseck cofnęła się o krok.

— Laihonen! — przerwała mu tonem, w którym na pewno nie zabrzmiało miłe zaskoczenie. — Krytyk literacki!

Speszony pisarz ukłonił się jej grzecznie. Starsza pani Rygseck zamyśliła się.

— Przeczytałam jedną pańską książkę! — oznajmiła po chwili.

— Doprawdy? — uradowany pisarz spróbował się uśmiechnąć.

— I zaraz ją s p a l i ł a m ! — dopowiedziała kobieta spokojnie. Wbiła spojrzenie w pisarza i zdziwienie na jej twarzy z każdą chwilą rosło. — Taki mały kajtek! — bąk-nęła pod nosem nieomal życzliwie, a na obronę Amalii Rygseck mogę tylko powiedzieć, że chyba nie miała świadomości, iż

mówi to na głos.

Pisarz zadrzał, poczerwieniał jak burak i zaczął nerwowo poprawiać okulary, zerkając błagalnie na komisarza. Panna Vanne ujęła go życzliwie pod ramię i uśmiechnęła się do niego, jak gdyby chciała go przekonać, że człowiek jego pokroju nie powinien zwracać uwagi na skrzeki starej ropuchy.

Starsza pani Rygseck przypomniała sobie jednak, po co zeszła do sieni, i odwróciła się gwałtownie do komisarza.

— Niech no pan posłucha, dobry człowieku! — ode zwała się. — Czego pan tutaj w zasadzie jeszcze szuka?

Palmu przeniósł taksujące spojrzenie z kobiety na drzwi łazienki.

— W tej chwili szukam przede wszystkim kawałka sznurka o długości mniej więcej siedemdziesięciu centy metrów — odrzekł nadzwyczaj uprzejmie.

Amalia Rygseck zadrzała, jej wyłupiaste oczy wyszły prawie z orbit i jej pewność zachwiała się w posadach.

— Ludzie, wariat! — wrzasnęła głosem piskliwym z przerażenia.

Ja również nie miałem pojęcia, co Palmu chciał przez to powiedzieć, Kokki za to kiwnął głową, a w jego oczach dostrzegłem wzmożoną czujność.

— Na obecnym etapie sprawy — kontynuował spokojnie Palmu — muszę także wyjaśnić, dlaczego akurat dziś rano w tym domu zgromadziło się tak zdumiewająco liczne grono osób. I jaką sprawę do pana Brunona Rygsecka miał na przykład pan inżynier Vaara?

Twarz inżyniera drgnęła, a dłonie zacisnęły się w pięści.

Było jasne, że Vaara nie zamierza już i nie chce niczego udawać.

— Nic panu do tego, panie komisarzu — odezwał się głosem drżącym od tłumionej wściekłości — ale nie mam też nic do ukrycia! I dlatego chętnie panu powiem, że przyszedłem tu dziś rano, aby dać wielmożnemu panu Rygseckowi po mordzie, aby nabić mu takie śliwy pod oczami, żeby zaniemógł, słowem: aby spuścić mu takie manto, żeby sobie zapamiętał do końca życia. Wystarczy to panu?

Ledwo pan Vaara skończył mówić, gdy wiedziona przemożnym uczuciem starsza pani Rygseck podeszła do niego, wyciągnęła ku niemu swój kościsty szpon i powiedziała z przymilnym uśmiechem:

— Panie inżynierze Vaara! Niechże pan pozwoli starej kobiecie, która tyle w życiu wycierpiała, uścisnąć pańską dłoń. Jest pan c z ł o w i e k i e m honoru!

I potrzęsła serdecznie bezsilną nagle ręką zdumionego inżyniera. Palmu postanowił wyzyskać przyływ szczerości inżyniera Vaary.

— Panie inżynierze, zjawił się pan w tym domu o go dzinie dziewiątej czterdzieści pięć — stwierdził. — Jak pan spędzał czas, oczekując na pana Rygsecka?

Inżynier spojrzał pytająco na Amalię Rygseck. Zainteresowanie komisarza jego osobą najwyraźniej nie sprawiało mu przyjemności. Wzburzenie już mu minęło i głos inżyniera był znów ostrożny i wyważony.

— Kiedy przyszedłem, Batler mi powiedział, że Bruno już wstał i poszedł wziąć kąpiel — zaczął z pewnym ociąganiem. — Przywykłem już do tego, że słowom Batlera nie należy wierzyć bezkrytycznie. Poza tym przyszedłem ze sprawą osobistą i nie miałem ochoty się z nikim widzieć.

Poszedłem więc od razu na piętro, żeby wygarbować łaj-dakowi skórę, ale Brunona nie było już w sypialni. Dlatego zszedłem z powrotem na parter i czekałem na niego w sali.

Może... może bałem się trochę własnej zapalczywości.

— Jak pan sądzi, ile czasu spędził pan na piętrze? —

indagował Palmu.

Inżynier się zamyślił i trochę zaczerwienił.

— Powiedziałbym, że około dziesięciu minut — przyznał wreszcie z wyraźną niechęcią.

— Że jak? — zdziwił się Palmu, unosząc brwi.

— Naprawdę nie było pana aż tak długo? — zdziwiła się starsza pani Rygseck, wtrącając się do rozmowy. — Choć kto wie, odbyłam w tym czasie poważną rozmowę z żoną Brunona, więc czas mógł nam minąć niepostrzeżenie.

— Ośmielę się zapytać... — zaczął Palmu przepraszającym tonem.

Amalia Rygseck przeszła go spojrzeniem.

— Skoro zaszliśmy już tak daleko, pragnę być równie szczerą jak pan inżynier Vaara. Nie ma powodu ukrywać, że Alli... to znaczy pani Rygseckowa i ja naradzałyśmy się, jak najszybciej doprowadzić do ubezwłasnowolnienia Brunona! Dlatego poprosiłam ją, aby dziś rano poszła ze mną na spotkanie z nim. Zamierzałyśmy po raz ostatni po dobroci przemówić mu do rozumu!

Wyrzuciwszy to wreszcie z siebie, Amalia Rygseck powiodła dokoła triumfalnym spojrzeniem.

— Ależ ciociu..! — zachnął się Aimo Rykamó.

— Ty się lepiej zamknij, Aimo! Nie masz żadnego powodu, żeby bronić Brunona! Pilnuj lepiej swojego nosa!

Tę wymianę zdań przerwał komisarz:

— A zatem pan inżynier wyszedł na jakieś dziesięć minut, po czym wrócił do sali. Czy w tym czasie ktoś przebywał w holu? — cierpliwie pytał dalej.

— Drzwi sali były zamknięte, z holu wiało chłodem!

— odrzekła cierpko starsza pani Rygseck. — Poza tym roz mawialiśmy, jak już powiedziałam. Ja w każdym razie niczego nie słyszałam. A dlaczego pan o to pyta?

Inżynier Vaara dłużej nie zdzierzył.

— Panie komisarzu! — odezwał się lodowatym tonem.

— Zdaje się, że wytłumaczyłem już panu cel swojego tu przyścia i odpowiedziałem na wszystkie pytania, które mógł mi pan zadać. Teraz muszę bezzwłocznie udać się do mojego biura! Zegnam pana!

Uklonił się szybko i ruszył ku schodom. Palmu go jednak zatrzymał.

— Stać! — zawołał. — Jeszcze tylko jedna drobna sprawa. Powiedziałem już, że szukam kawałka sznurka.

W pańskim dobrze pojętym interesie radziłbym, zanim się pan oddali, poddać się dobrowolnie rewizji i pokazać, co pan ma w kieszeniach. Potem nie będę już pana zatrzymywał.

Wrażenie, jakie te słowa wywarły na inżynierze, było zdumiewające. Pan Vaara najpierw poczerwieniał z wściek-

łości, a zaraz potem zbladł tak bardzo, że mimo opalenizny jego cera nabrała nienaturalnie ziemistej barwy.

— To... to potwarz! — wyjąkał wreszcie niepewnie.

— Pan... pan mi za to jeszcze odpowie! Jestem przeko nany, że jeszcze się spotkamy, i to rychlej niż się panu zdaje!

— Gdy tylko poskarży się pan prezesowi Rygseckowi, pańskiemu potężnemu szefowi, czyż nie? — spytał cicho Palmu. — A zatem nie zgadza się pan, aby mój pomocnik przeszukał panu kieszenie?

Vaara najwyraźniej uznał, że odpowiedź na to pytanie uwłacza jego godności, odwrócił się bowiem na pięcie i w ślepej furii wbiegł na schody. Na górze przewrócił niemal Airi Rykamó, która schodziła właśnie z holu.

— Erik! — krzyknęła dziewczyna, łapiąc go za przed ramię. — Dokąd biegniesz? Co się stało?

Lecz inżynier Vaara wyrwał się jej niegrzecznie i przesunął dziewczynę pod ścianę.

— Och, do diabła z tobą! — powiedział z niewypowie dzianą udręką w głosie, po czym zniknął jej z oczu.

Pobladła dziewczyna odprowadziła go nieruchomym spojrzeniem.

— Co się stało? — zapytała po chwili, odwracając się ku nam i przyciskając rozpaczliwie ręce do piersi. — Co jest Erikowi?

Aimo Rykamó uznał najwyraźniej, że już zdecydowanie za długo pozostawał w cieniu.

— Erik to bubek! — oświecił siostrę. — Obawiam się zresztą, że nie on jeden w tym gronie. Nie mam bladego pojęcia, dlaczego nikt mi nie chce n i c z e g o wyjaśnić!

Nikt jednak nie zdążył skrócić niezastużonych mąk niewiedzy Aima Rykamó, bo właśnie w uchylonych drzwiach holu na szczycie schodów ukazała się jeszcze na chwilę twarz inżyniera Vaary. Zbierał się już do wyjścia, na głowie miał kapelusz, a w dłoniach ścisnął mocno rękawiczki.

— Airi! — odezwał się z wymuszonym, sztucznym spokojem. — Uważaj na każde słowo, które wypowiadasz.

Nie musisz niczego wyjaśniać, chyba że sama zechcesz.

Policja nie ma żadnego prawa cię dręczyć.

— A czy ja... — zaczęła dziewczyna z irytacją w głosie, lecz drzwi już trzasnęły, przerywając jej w pół zdania.

Inżynier Vaara wyszedł na dobre.

Airi Rykamó przygryzła wargę, a jej brązowe oczy zaszły łzami złości i oburzenia. Po chwili jednak zrobiła surową minę i uniosła dumnie głowę.

— Aimo! — zwróciła się do brata. — O co chodzi?

— O ten włącznik — odpowiedział wylewnie Aimo Rykamó. — Batler go przekręcił, sam widziałem, lecz Erik zabronił mi mówić, że widziałem. Sam niby nie widział, ale wiadomo, że widział. Wszyscy się zachowują jak kompletne bubki. Zresztą cała ta sprawa z daleka śmierdzi bubkiem.

Prawdopodobnie wciąż paplałby w kółko jedno i to samo, gdyby zdenerwowana Amalia Rygseck nie pacnęła go po palcach gałką parasola.

— Co ten chłopak bredzi o jakimś włączniku? —

fuk-nęła na niego piskliwie.

— Może przeszlibyśmy do sali, rozsiedli się wygodnie

— zaproponował zakłopotany Palmu.

I tu popełnił błąd.

— To mój dom! — oświadczyła starsza pani Rygseck lodowatym tonem. — Chciałam powiedzieć, że to jest dom mojego bratanka i p a n nie ma tu prawa nikomu rozkazywać!

— Porozmawiajmy o tej sprawie na spokojnie — Palmu był nadal uprzedzająco uprzejmy i nawet podał kobiecie ramię, by pomóc jej wejść po schodach.

— S p o k o j n i e ? — powtórzyła kwaśno Amalia Ryg-seck, odtrącając z pogardą rękę komisarza.
— Pozwolę sobie zapytać, kto z nas jest spokojniejszy, pan czy ja? Kto z nas wprowadza tu chaos, pan czy ja?

Pomimo tej krewkiej riposty starsza pani Rygseck pierwsza weszła na schody, gdyż chyba wreszcie pojęła, że wydarzyło się coś poważnego. Wróciliśmy do holu i przeszliśmy do sali.

Tam w wyniosłej samotności siedziała prawie rozwiedziona pani Rygseck, która dla zabicia czasu polerowała paznokcie rogiem chusteczki do nosa, podnosząc je po kolei do oczu i poddając z bliska krytycznej inspekcji.

Aimo Rykamó niby mimochodem skierował się w stronę barku, ale widząc surowe spojrzenie siostry, odstawił

przechyloną już butelkę. Kiedy się rozsiadliśmy, wyjrzałem bezwiednie za okno i dostrzegłem w ogrodzie Batlera, który na trawniku pod jabłonią kopał łopata dół. Byłem już jednak tak zobojętniały na wewnętrzne życie tego domu wariatów, że ten widok nie zdołał mnie już wcale poruszyć.

Pan Laihonen i panna Vanne pozostali taktownie w holu, gdzie mogli spokojnie kontynuować rozmowę, którą przerwało im nasze pojawienie się w piwnicy. Pisarz nie mówił już o rękopisie i w ogóle starał się nie dawać Amalii Rygseck najmniejszych powodów do morderczej krytyki.

79

— Łaskawa pani — odezwał się Palmu do Alli Rygseck

— jak rozumiem, przyszła pani tutaj w towarzystwie pani Amalii Rygseck i przez ten czas nie wychodziła z tego pomieszczenia?

Kobieta obrzuciła go twardym spojrzeniem spod po-malowanych rzęs.

— Poszłam oczywiście obejrzeć Brunona razem z pozostałymi, zanim zabrał go ambulans — odrzekła. — Jak-kolwiek by patrzeć, długo byliśmy razem, choć Bruno bardzo mnie w tym czasie ranił. Poza tym nie wychodziłam z sali.

— Nie była pani na piętrze ani w innych pokojach domu?

Alli Rygseck pokręciła tylko przecząco głową, patrząc z ciekawością na komisarza, jak gdyby spodziewała się usłyszeć jakąś sensację.

— I wraz z panią Amalią Rygseck rozmawiała pani o ubezwłasnowolnieniu męża?

Spojrzenie, jakim kobieta obrzuciła Amalię Rygseck, było wymownie długie. Starsza pani zdenerwowała się.

— Przecież już powiedziałam... — zaczęła.

Palmu uniósł ostrzegawczo rękę, nakazując jej milczenie, i rzekł:

— Jeżeli dobrze wszystko zrozumiałem, inżynier Vaara zajrzał tu o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć, pozdro wił panie, po czym zniknął i po mniej więcej dziesięciu minutach wrócił do sali. W czasie, kiedy go nie było, prze bywała pani tutaj tylko z panią Amalią Rygseck. A zatem żadna z pań stąd wtedy nie wychodziła?

— Przecież już powiedziałam... — wtrąciła ponownie Amalia Rygseck. Palmu machnął gniewnie ręką i ten gest mi powiedział, że jeszcze chwila, a całkiem straci cierpliwość.

Alli Rygseck spojrzała przeciągle na komisarza, czarującym gestem uniosła swoje piękne paznokcie do oczu i rzekła obojętnie:

— Nie. Kiedy pan inżynier wrócił, nie mogliśmy już dłużej rozmawiać o Brunonie. A chwilę później zjawił się Aimo i zaczęliśmy się dziwić, że Bruno tak długo się nie pokazuje.

— A czy w ciągu owych dziesięciu minut, kiedy in-

żyniera Vaary nie było w sali, słyszała pani może jakieś osobliwe odgłosy w holu?

Kobieta zerknęła pytająco na Amalię Rygseck i zamyśliła się na chwilę.

— Nie, nie przypominam sobie, abym cokolwiek słyszała — odrzekła w końcu. — Chodzi panu zapewne o jakieś kroki czy hałasy? Hol jest wyłożony grubym dywanem, a drzwi sali były zamknięte. Poza tym nasza rozmowa była...

dosyć ożywiona.

— A czy dostrzegła pani, by inżynier zachowywał się inaczej niż zwykle? — spytał jeszcze Palmu.

Czerwone usta kobiety wykrzywił nieznaczny uśmiech.

Pani Rygseck spojrzała na komisarza z niejakim rozbawieniem.

— Był oziębły jak zawsze. Rzekłabym jednak, że wy dawał się ponadto wzburzony i bardzo zdenerwowany.

Obrócił się niegrzecznie plecami do nas i cały czas patrzył

przez okno, bębniąc palcami w parapet.

Komisarz zamyślił się na moment, po czym chrząknął z zakłopotaniem.

— Łaskawa pani, staram się jak najskrupulatniej przestrzegać zasady, by nie mieszać dochodzenia ze sprawami natury osobistej — zaczął delikatnie — niemniej muszę panią zapytać: państwo żyli w separacji, jednak rozwód nie został jeszcze prawnie orzeczony?

— Nie ma tu czego ukrywać — odrzekła Alli Rygseck z czarującym uśmiechem. — Robiłam, co mogłam i jak długo mogłam, jednak życie z Brunonem pod jednym dachem okazało się w końcu zupełnie niemożliwe. Ostrzegano mnie przed ślubem, ale nie chciałam słuchać, przyszło mi więc

zapłacić za swoją naiwność wysoką cenę.

Na twarzy Amalii Rygseck pojawił się mimowolny złośliwy uśmiezek. Lecz Alli Rygseck nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

— I nie mieli państwo dzieci? — indagował Palmu.

Pani Rygseck stropiła się jakby i pokręciła przecząco głową. Palmu popatrzył na nią przeciągle i tym razem uwierzył bez dalszych pytań.

— A zatem tylko pani dziedziczy po mężu? — zapytał

takim tonem, jak gdyby chodziło o rzecz najzwyklejszą w świecie.

— Ależ skąd! — odparła zaskoczona kobieta. — Pod-pisaliśmy intercyzę.

— Zgodnie z testamentem mojego ojca akcje koncernu nie mogą przypaść nikomu spoza rodziny — wtrąciła oschle Amalia Rygseck. I patrząc nieprzyjemnie na żonę bratanka, dodała: — Mogę jednak zapewnić, że pani Alli **82**

Rygseck biedy klepać nie będzie. Ztroszczyła się o to, gdy sporządzano intercyzę.

— No, ale chyba pan Rygseck zostawił jakiś testament?

— zdziwił się Palmu.

— A gdzie by tam! — do rozmowy wtrącił się Aimo Rykamó. — Bruno nawet nie chciał myśleć o śmierci. I powtarzał, że jest mu zupełnie obojętne, komu przypadną jego pieniądze, kiedy już kopnie w kalendarz. Mój kuzyn myślał

tylko o sobie.

— Miał chociaż tyle samokrytycyzmu — powiedziała Amalia Rygseck. — Wiedział dobrze, że jego testament nie byłby wart złamanego centa. Nikt by go nie wziął na poważnie.

Palmu zamilkł na długo, wpatrując się przed siebie nieobecny wzrokiem. Wreszcie Amalia Rygseck podniosła się z miejsca.

— Muszę już iść — oznajmiła. — Alli, idziesz ze mną?

Palmu się wzdrygnął.

— Tak, rzeczywiście — rzekł z wyraźną ulgą w głosie.

— Nie ma sensu dłużej pań męczyć, tym razem. Jeżeli będziemy potrzebować dalszych zeznań, zawczasu panie powiadomię.

Alli Rygseck wstała zgrabnie z fotela, prostując powabne ciało.

— Ja też już pójdę — oznajmiła i obrzuciła nas zimnym, twardym spojrzeniem. — Dziękuję, panie komisa rzu. Zegnam!

Natomiast Amalia Rygseck stanęła jeszcze w drzwiach holu, uniosła parasol i rzekła:

— Wrócę tu po południu, żeby zaprowadzić w tym domu nowy porządek, panie komisarzu. Mam nadzieję nie zastać tu już nikogo.

Kobiety poszły i nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że cała sala zgodnie odetchnęła z ulgą. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że pani Amalia Rygseck była zjawiskiem uciążliwym. Airi Rykamó słabo się uśmiechnęła, a jej brat nalał sobie kieliszek koniaku.

— Zdrowie, chłopcy! — rzekł i wychylił do dna. — Już się bałem, że ta stara mumia nigdy się stąd nie zmyje i uschnę z pragnienia. To, co mówiła o Brunonie, to wszystko bzdury. Prędzej ją by trzeba gdzieś zamknąć.

— Porozmawiamy o tym później — oznajmił dobrodusznie komisarz Palmu. — Jak sądzicie, dzieci, wytrzy-macie tu jeszcze chwilę, skoro udało nam się szczęśliwie pozbyć tej starej skan... skap...

— Ksantypy? — podsunąłem instynktownie.

— Otóż to — przytaknął nie spieszony Palmu. — Ja w tym czasie zajrzę szybko w kilka kątów i sprawdzę, co tam wyrabia ten Batler.

Aimo zgodził się zaczekać na swoją kolejkę pod warunkiem, że będzie mógł siedzieć przy barku. Jego siostra również skinęła potakująco głową, choć nie wyglądała na szczęśliwą. Ruszyliśmy więc do holu i w drzwiach zdążyłem jeszcze dostrzec, jak młody Rykamó sięga ręką po kieliszek, a siostra trzepie go ze złością po palcach.

— Mój rękopis? — odezwał się z nadzieją w głosie pisarz Laihonen, podnosząc się z fotela w holu.

— Boże, ty widzisz i nie grzmisz! — zazgrzytał zębami Palmu, odsłaniając znów bezwstydnie swoją wilczą skór-

rę. — Doigrasz się i pan tej kary niebios, jeżeli ośmielisz się jeszcze raz chociażby pisnąć o tym swoim przeklętym rękopisie, nim przyjdzie pańska kolej! Czy pan naprawdę nie rozumie, dobry człowieku, co dla pana dobre?! Niejeden na pańskim miejscu całowałby mnie po rękach, że pozwałam mu rozmawiać z tak olśniewającą kobietą jak panna Irma Vanne!

Pisarz spiekł raka, panna Vanne zaś podziękowała komisarzowi za komplement uśmiechem przepięknych oczu.

Palmu otworzył drzwi pod schodami na piętro. Znaleźliśmy się w bezokiennym korytarzu. Minęliśmy znajdujące się po obu stronach drzwi, najpewniej do pokojów służby, weszliśmy do kredensu i w końcu do przestronnej kuchni.

Na nasz widok zza stołu poderwała się masywna kucharka w białym fartuchu. Twarz miała zdrową i rumianą.

— Panie komisarzu! — wykrzyknęła, wyciągając ramiona w stronę Palmu. — Byłabym natychmiast do pana przysłała, ale nasz pan kategorycznie zabronił mi wycho- dzić na dom. Ja muszę panu powiedzieć, że...

Palmu uciszył ją uniesioną ręką, znał ten typ.

— Nic pani nie widziała ani nie słyszała — dokończył za nią szybko. — Nie wie pani nic, absolutnie nic o niczym, ale to okropne i jest pani wstrząśnięta. To pewnie chciała mi pani powiedzieć, he?

— Panie komisarzu! — wyrzekła powoli kucharka z cielecym podziwem i wybałuszyła na niego swe błękitne oczy. — Z ust mi pan to wyjął! Skąd pan wiedział?

Palmu nie miał najmniejszej ochoty zwierzać się kucharce z sekretów swego fachu. Otworzył pierwsze z brzegu drzwi, chcąc jak najszybciej ewakuować się na dwór, **85**

o mały włos jednak nie wpadł do piwnicy. Klnąc, wycofał

się rakiem i dopiero za drugą próbą trafił właściwie. Zeszliśmy po schodach na podwórze. Żelazne drzwi piwnicy wciąż były otwarte, a ziemia pod schodami czarna od węgla.

Ale auto z koksem zdążyło już zniknąć.

— Nic to! — rzekł Palmu. — Jak będzie trzeba, węgiel się zawsze znajdzie — powiedział i przez trawnik ruszył za dom.

Na nasz widok Batler wyprostował się i wsparł na łopacie. Na czole perlił mu się pot, liberię zakrywał duży, niebieski fartuch.

— Batler, co pan tu porabia? — zapytał uprzejmie Palmu.

— Nie widzi pan, panie komisarzu? — odparł posepnie wierny sługa i wskazał przed siebie na dół.
— Kopię grób.

5-

Doczesne szczątki Księżnej Adeliny

von Katzendorf-Kopfberg. • Batler serwuje śmietankę, bo Aimó Rykamó okazał się złodziejem.

• Komisarz Palmu uparcie trzyma się kota, a Batler odgrywa rolę psychiatry. • Dlaczego, dlaczego?

• Przeszłość Batlera i człowiek, który fotografował

swoje własne łóżko. • Czerwona księga Brunona Rygsecka. • Panna Vanne czyni ponure wyznanie.

Spojrzałem na ziemistą twarz Batlera, ale mina lokaja była wciąż nieodgadniona. Powiodłem wzrokiem po smutnym, jesiennym trawniku i posepnym domu za nami i owładnęło mną przecucie obłędu. Miałem już nadzieję, że zaraz się wyrwę z tego beznadziejnego chaosu i zaszyję gdzieś w spokojnym, ciemnym kącie z mokrym ręcznikiem wokół

bolącej głowy. Czuję, że to miejsce kryje nazbyt wiele ponurych, wstydliwych sekretów. W tym zdegenerowanym, nieczułym domu gość na każdym kroku potykał się o nową brudną tajemnicę.

Palmu uniósł nieznacznie brwi.

— Starsza pani Rygseck wspominała coś o grobie —

przyznał. — Ale mój mózg pracował wtedy dość wolno. Co, rodzinny grobowiec tu sobie urządza? Miejsce ostatniego spoczynku dla Brunona czy jak?

Lokaj był zaskoczony.

— Ależ skąd — odrzekł i uśmiechnął się pogardliwie.

— W ogrodzie zostanie pochowana Księżna Adelina.

— Księ... Księżna? — sapnął Palmu. Ja też się wzdrygnąłem, bo nie miałem już wątpliwości, że nie tylko Amalia Rygseck postradała zmysły.

— Von Katzendorf-Kopfberg! — uzupełnił lokaj ze śmiertelną powagą. W jego oczach dostrzegłem głębokie współczucie.

Na chwilę zapadło ciężkie milczenie.

— No tak, jasne — odezwał się wreszcie Palmu. —

A zwłoki gdzie?

Batler bez zbędnej ceremonii wypchnął nogą zza jabłoni do tej pory niewidoczną drewnianą skrzynkę i pochyliwszy się, uniósł wieko.

W środku na brudnej aksamitnej poduszce spoczywało długowłose kocie truchło!

Łapki zwierzęcia sterczały sztywno, przymrużone oczy lśniły jak szkło, zęby zaś były wyszczerzone. A czy kto widział w życiu wyszczerzonego kota, ośmielę się zapytać?

Zaiste, w tym przeklętym domu i grano ze złymi mocami.

— Angora? — upewnił się Palmu spokojnie.

Na twarzy Batlera nie drgnął ani jeden mięsień.

— Starsza pani Rygseck rzeczywiście tak ją nazywa ła. — Lokaj zamilkł na chwilę i chrząknął przepraszająco.

— Jednak nawet jeżeli Księżna była zwykłym dachowcem, jej pani bardzo ją lubiła!

Między słowami Batlera zaczęły majaczyć ponure zarysy kolejnej tragedii.

— Jak zdechła? — zaciekawił się Palmu, a w jego głosie zdrząła nutka człowieczeństwa.

— Mam powody przypuszczać — odrzekł karnie lokaj

— że wczoraj wieczorem do śmietanki domieszano dawkę trucizny.

— A na jakiej to podstawie... hm... wysuwa pan takie przypuszczenie?

— Przecież sam jej tę śmietankę na spodku przyniosłem, panie komisarzu! — wyznał Batler z rozbijającą szczerością.

Palmu zaczął tracić nerwy.

— Ale jakim cudem kot Amalii Rygseck znalazł się tu tutaj?! — natarł na Batlera. — Mówże, człowieku, zacznij wreszcie mówić! Nie stój pan jak ten posąg!

Twarz lokaja stężała. Ton komisarza wyraźnie go dotknął.

— Mam powody przypuszczać — odrzekł lodowato

— że wczoraj wieczorem panicz Rykamó ukradł Księżną i przyniósł tutaj.

— Batler! — sapnął Palmu. — Poddaję się! W tym domu wydarzyło się diabelnie dużo rzeczy, o których nie mam bladego pojęcia i pewnie już nigdy mieć nie będę. Jestem zmęczony. Nie mógłby mi pan chociaż trochę ułatwić roboty? Przecież pan nie jest taki głupi, jakiego udaje. A ja nie mam siły wołami wyciągać z pana każdego słówka.

— Wołami? — powtórzył zdziwiony lokaj, ale zaraz odskoczył, bo komisarz zamachnął się na niego ręką. Batler uznał, że lepiej nie przeciągać struny. — Oczywiście, mogę panu komisarzowi opowiedzieć wszystko od początku.

Przypomnę tylko, że moje obowiązki w tym domu streszczała zasada, by pojawiać się na każde wezwanie, **89**

a poza tym być niewidzialnym. Nie mogłem się też odzywać, gdy mnie o nic nie pytano, i dlatego mogę powiedzieć panu jedynie to, czego się domyśliłem z tych kilku oderwanych słów, które usłyszałem, gdy usługiwałem w sali. Nie mam zwyczaju podsłuchiwać pod drzwiami.

— Niech się pan tak nie zarzeka! — ostrzegł go Palmu.

— Błądzić jest rzeczą ludzką, choć to nie ja pierwszy cisnę w pana kamieniem.. w każdym razie nie w tej sprawie. No, niechże pan już mówi!

— Oczywiście. No więc, służąc u pana Rygsecka, widziałem już niejedno niesamowite spotkanie, ale zdaje się, że wczorajszy wieczór przebił wszystkie dotychczasowe. I doprawdy nie pojmuję, co się tu wczoraj naprawdę działo.

Goście zostali zaproszeni na dziewiątą. Pierwszy przyszedł

bardzo podniecony panicz Rykamó z Księżną Adelina von Katzen.

— Dajże pan już spokój! — warknął Palmu.

— Chciałem powiedzieć, że miał ze sobą kotkę, przyniósł ją w koszu — odrzekł z przyganą Batler, unosząc brwi.

— Odniosłem wrażenie, że jest z siebie bardzo dumny.

Potem przyszła panna Vanne, również z bardzo tajemniczą miną. Podczas spotkania wyszło na jaw, że przyniosła ze sobą rękopis pisarza Laihonena. Jego tytuł brzmiał *Zamek w Hiszpanii*.

— Nie opowiadaj pan bajek! — ostrzegł go Palmu.

— Jestem pewien, że taki właśnie był tytuł! — pospieszył z zapewnieniem lokaj. — Stał się bowiem przedmiotem wielu żartów w trakcie wieczoru.

— Ech, nie chodziło mi przecież o tytuł! — zaperzył się Palmu. — Ale to niemożliwe, by panna Vanne miała ze 90

sobą rękopis Laihonena, bo dopiero co mi oboje przysięgali, że spotkali się dziś rano po raz pierwszy w życiu. Lokaj wzruszył ramionami.

— Mam powody przypuszczać, że w sobotę wieczór panna Vanne skradła ten rękopis z mieszkania pana Laihonena!

— Nie doprowadzaj mnie pan do gehenny! — ryknął

Palmu, wybałuszając oczy. — Przecież panna Vanne to córka samego radcy górniczego Vannego! Po co miałyby kraść rękopis, skoro w ogóle się nie znali?!

— Sam się temu dziwiłem — przyznał spokojnie lokaj.

— Powiedziałem już panu, że wczorajszy wieczór był niesamowity. Ale może pan komisarz nie chce, abym o nim opowiedział?

— Przepraszam — wycofał się Palmu. — Jak najbardziej, niechże pan mówi dalej. Ale zostawmy ten rękopis tymczasem na boku. Proszę się skupić wyłącznie na kocie.

Będziemy omawiać wszystko po kolei!

— Jeśli pan pozwoli, panie komisarzu, muszę najpierw nieco usprawiedliwić zachowanie mojego pana — rzekł

Batler. — To znaczy z początku wszyscy doskonale się bawili i nie wylewali za kołnierz. Później

jednak, bliżej jedenastej, pan inżynier Vaara ni stąd, ni zowąd wyszedł i zdaje się, że był bardzo wzburzony i rozgoryczony. Niedługo potem zadzwoniono po mnie. Mój pan był w bardzo złym humorze i odniosłem wrażenie, że nastrój wieczoru prysł. Szczególnie... hm... zgnębiona była panienka Ry-kamó. Pan Bruno kazał mi przynieść śmietanki dla kota, a potem domieszał do niej trucizny ze słoiczka, który trzymał w swoim gabinecie. Zrobił to chyba z przekory, bo 91

wszyscy goście bardzo się temu sprzeciwiali. Najbardziej przerażony był zaś panicz Aimó, bo śmiertelnie bał się swojej ciotki. No, ale kot już dobrał się do śmietanki i prawie od razu zdechł. I zanim goście zdążyli ochłonać, ktoś zaczął wściekle dzwonić do drzwi. Poszedłem otworzyć, a wtedy

do

holu

wpadła

starsza

pani

Rygseck

i

wmasze-rowała prosto do sali.

Batler umilkł na chwilę i uniósł twarz, jak gdyby chciał

lepiej przywołać ów widok w pamięci. Na Boga, i ja zdo-

łałem to sobie wyobrazić! Gdyby nie moje stalowe nerwy, zadrżałbym na widok pałających nienawiścią oczu starszej pani Rygseck.

— Nie zabawiała długo — ciągnął Batler. — Nie przywi tała się z nikim, tylko od razu podeszła do swojej zdechłej kotki. Wzięła ją na ręce i parę razy pogłaskała. Nie płaka ła, nie krzyczała. Spojrzała tylko na mojego pana i rzekła bardzo cicho: „Bruno, jutro mi za to odpowiesz, odpowiesz mi za wszystko!”. Mam powody przypuszczać, że nie chciała robić mu sceny przy gościach. Może się bała, że wybuchnie płaczem. Wepchnęła mi więc tylko kotkę na ręce i powiedziała: „Batler, pochowacie Księżną Adelinę von Katzen...”.

Batler dostrzegł spojrzenie komisarza i przerwał w pół

zdania. Po chwili podjął swoją opowieść obojętnym już niemal tonem:

— Pochowacie ją w ogrodzie, rozkazała mi, a potem spojrzała raz jeszcze na pana Brunona i zdruzgotana wy szła. Dziś rano przyniosła ze sobą aksamitną poduszkę, na której kazała mi złożyć

kotkę. A potem... — Lokaj wzruszył ramionami. — No właśnie. Co było potem, tego już 92

nie wiem, ale goście rozeszli się wyjątkowo wcześnie. Mój pan jeszcze w holu uspokajał panicza Aima, że ciotka, to znaczy starsza pani Rygseck, nie odważy się niczego mu zrobić. Ostatnia wyszła panna Vanne, która głośno kłóciła się z moim panem. W końcu pan Bruno najzwyczajniej w świecie poszedł na piętro i zamknął się u siebie na klucz. Był

tak pijany, że ledwo szedł po schodach.

— Trzymajmy się kota — upomniał go Palmu, który lubi wyjaśniać wszystko po kolei. — Dlaczego starsza pani Rygseck nie zabrała kotki ze sobą, skoro tak bardzo ją lubiła? Dlaczego kazała panu pochować ją akurat tutaj w ogrodzie?

— Bo sama nie ma ogrodu — wyraził pogląd Batler. —

Mieszka w zwykłym mieszkaniu i sumienie nie pozwoliło jej pewnie zawieźć kotki na wysypisko, gdzie zakopują zdechłe zwierzęta. Starsza pani Rygseck szybko się decyduje i mam powody przypuszczać, że... jak by to powiedzieć...

Batler znów irytująco chrząknął i odniosłem wrażenie, że się zawahał. Palmu czekał cierpliwie, aż lokaj zdecyduje się dokończyć:

— Są to wszystko jedynie domysły, sądzę jednak, że starsza pani Rygseck żywiła dość osobliwe mniemanie, że w najbliższej przyszłości, rzekłbym, na dniach, wprowadzi się do tego domu!

— Ostrzegam pana! — warknął Palmu z przyzwyczajenia, ale zaraz rozłożył ręce w geście bezradności. — Dobrze, proszę mówić dalej!

— Ma się przy tym rozumieć, że nie zamierzała bynajmniej zamieszkać tu z panem Brunonem. Ostatnio krążyły **93**

jednak pewne... hm... pogłoski, jakoby najbliższa rodzina planowała umieścić mojego pana w zakładzie zamkniętym i poddać długotrwałemu leczeniu. Starsza pani Ryg-seck była prawną

opiekunką

pana

Brunona,

nim

osiągnął

pełnoletniość, uważała więc pewnie, że gdyby istotnie do tego doszło, naturalną kolejną rzeczą dom znalazłby się pod jej opieką. Nic by jednak z tego nie wyszło — dodał Batler i zaśmiał się.

— Trzyma pan stronę swojego pana? — spytał Palmu.

— Absolutnie nie twierdzę, że pan Bruno był całkiem normalny — odrzekł wymijająco lokaj. — Miał swoje dziwactwa i kaprysy, tak jak większość bogatych ludzi. Nie mam wątpliwości, że był to człowiek... hm... zwłaszcza moralnie... zepsuty, chociaż tę swoją mroczną stronę, że tak powiem, starał się ukrywać nawet przede mną. To znaczy wolał, abym o niczym nie wiedział, mogłem więc co najwyżej... hm... wyciągać wnioski. W wielu kwestiach pan Bruno był wręcz błyskotliwy, choć ta jego wybitna inteligencja miała, że tak się wyrażę, charakter niszczy-cielski. Mój pan niejako zaczynał toczyć od środka ludzi, którzy do niego lgnęli. Ale umysłowo chory to on na pewno nie był.

— A czy przez te dwa lata służby u Brunona Rygsecka dostrzegł pan w sobie jakieś skutki owego... hm... niszczy-cielskiego wpływu jego inteligencji? — spytał niewinnie Palmu.

Batler potraktował pytanie najzupełniej serio i zadumał

się na chwilę ze zmarszczonym czołem.

— Być może — odrzekł wreszcie nieodgadnionym tonem.

Odniosłem dziwne wrażenie, że w głowie lokaja zakiełkowała właśnie nowa, niejasna jeszcze myśl. Batler nie zamierzał jednak podzielić się nią z nami.

— Mój pan — ciągnął poprzedni wątek — odnosił się do gróźb ciotki... hm... Amalii z jawnym lekceważeniem. Miał

zwyczaj powtarzać, że prędzej to on doprowadzi do zamknięcia tej starej jędzy w jakimś zakładzie niż odwrotnie. Sądzę, że starsza pani Rygseck zamierzała wykorzystać wczorajszy incydent jako dowód świadczący na niekorzyść mojego pana. Dorosły mężczyzna, który bez żadnego powodu truje kota swojej ciotki, nie może być chyba całkiem zdrowy na umyśle. Lecz jeszcze w holu mój pan zapewniał paniczka Aima, że to ciotka wyjdzie na tym wszystkim najgorzej, bo jego zdaniem nienaturalne przywiązanie ciotki do Księżnej świadczyło o daleko posuniętej psychicznej denerge... derege...

— Degeneracji — dopełniłem mimowolnie.

— Kiepska linia obrony — ocenił Palmu.

Batler się uśmiechnął.

— Być może — zgodził się — przypuszczam jednak, że mój pan miał w rękawie jeszcze jednego asa, że tak się wyrażę.

— Dajmy temu spokój! — uciął zniecierpliwiony Palmu.

— Wróćmy do kota. Czy w związku z tą sprawą przypomina się panu jeszcze coś osobliwego, o czym pan nam do tej pory nie wspomniał?

Batler zadumał się.

— Nie wiem, czy ma to jakiś związek z kotem — odezwał się z wahaniem — ale odniosłem wrażenie, że wczoraj wieczorem pokłócili się także pan inżynier Vaara **95**

i panna Rykamó. Zwróciłem na to uwagę, bo to bardzo dziwne.

— A to dlaczego?

— Ponieważ wcześniej ich wzajemny stosunek był, że tak się wyrażę, nadzwyczaj serdeczny, panie komisarzu

— odrzekł lokaj. — Mam powody przypuszczać, że pan na Rykamó zakochała się w panu inżynierze i że uczu cie to zostało odwzajemnione. Wczoraj wieczorem zaszła jednak jakaś zmiana i dzisiaj rano przywitali się ze sobą niezwykle chłodno. — Palmu spojrział na niego pytająco, więc Batler odpowiedział: — Bo to jest tak, że panna Rykamó od wiosny pracuje w biurze pana inżyniera Vaary.

Sytuacja finansowa panicza i panienki Rykamó nie jest...

prawda... aż tak różowa jak pozostałych członków rodziny. No i w biurze panienka jakoś lepiej się poznała z panem inżynierem. A zaręczyn jak nie było, tak nie ma.

Lokaj najwyraźniej spostrzegł, że trochę się zagalopował, i umilkł. Złożył doczesne szczątki Księżnej Adeliny w wykopanej jamie i odwróciwszy się do nas plecami, szybkimi, precyzyjnymi machnięciami łopaty zaczął szuflować ziemię na skrzynkę. Palmu potarł czoło dłonią, a jego małe szare oczy błysnęły z irytacją.

— Przejdźmy zatem wreszcie do meritum tej sprawy

— rzekł do kociego grzbietu lokaja. — Wie pan równie dobrze jak ja, że to było morderstwo!

Batler zwolnił pracę, ale spokojnie dokończył dzieła, zasypał dół i uformował na nim łopatą niewielki kopczyk, by zaznaczyć miejsce pochówku Księżnej Adeliny von Katzendorf-Kopfberg. Dopiero wtedy odwrócił się do komisarza i z nieprzeniknioną miną wsparł na stylisku.

96

— Przekręciłem kontakt, kiedy inżynier kopnął w drzwi łazienki — rzekł wreszcie. — Mimo to gdy wbiegliśmy do środka, w środku paliło się światło. A więc przedtem w środku było ciemno. Gdyby drzwi nie były zamknięte od środka na zasuwkę, można by pomyśleć, że mój pan, już wykąpany, wyszedł z łazienki i przekręcił włącznik, ale nagle przypomniał sobie o czymś, więc wrócił do środka, nie zapalając światła. Wtedy w ciemności rzeczywiście mógłby poślizgnąć się na mydle i wpaść do basenu. Absurdalna jest jednak myśl, że wszedłby do ciemnej łazienki i zamknął za sobą drzwi na zasuwkę.

To niemożliwe! Wtedy jednak nie pojmuję z kolei, jakim cudem zasuwka była zasunięta, jeżeli rzeczywiście ktoś...

go zamordował.

Palmu się uśmiechnął.

— Zasuwka jest bardzo prosta — przypomniał. —

Właśnie dlatego szukałem kawałka sznurka o długości mniej więcej siedemdziesięciu centymetrów. Sztuczka stara jak świat!

Dla mnie słowa komisarza układały się w same zagadki, ale na twarzy lokaja pojawił się błysk zrozumienia.

— Racja! — rzekł nagle. — W hotelu zdarzył się kiedyś taki sam wypadek. Teraz pojmuję!

— W hotelu? — zdziwił się Palmu.

Uśmiech Batlera natychmiast zgasł, twarz mu stężała i lokaj znów się w sobie zasklepił.

— Pracowałem wcześniej w hotelu — rzekł beznamiętnym głosem. — Tak naprawdę to jestem... kelnerem.

Palmu zignorował jednak to wyznanie. Uparcie trzymał się sedna.

— Kiedy nabrał pan przekonania, że to było morderstwo?

— Tak w zasadzie to wcale do mnie nie dociera, że to było morderstwo — odparł obronnie Batler.
— Wszystko wyglądało przecież tak... naturalnie. Kiedy jednak polecił mi pan zademonstrować, jak dostaliśmy się do łazienki, i zwrócił taką uwagę na ten drobny szczegół, zacząłem się zastanawiać. A potem, gdy wszyscy w trójkę pokazaliśmy to panu raz jeszcze, nabrałem pewności, że się nie mylę. To znaczy, że istotnie przekręciłem kontakt i gdy drzwi ustąpiły, dostrzegłem rozbłyskujące w łazience światło, choć w tamtym momencie w ogóle mnie to nie zastanowiło. Później wyciągnąłem z tego wniosek, że to całkiem możliwe, iż ktoś wszedł do łazienki za moim panem i ogłuszył go uderzeniem w głowę, a potem wepchnął do basenu, zrobił mydłem krechę na podłodze, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek, i wyszedł, zaciągając zasuwkę od zewnątrz. A potem zupełnie machinalnie, bez zastanowienia przekręcił

włącznik i odszedł.

— Właśnie tak, zupełnie machinalnie przekręcił włącznik

— podchwycił Palmu. — Jak pan, który z przyz w y c z a j e n i a przekręcił włącznik, gdy inżynier Vaara kopnął w drzwi.

Komisarz ugodził celnie. Ziemista cera Batlera zupełnie zbieleła.

— I po przyjeździe ambulansu wysprzątał całą łazienkę — ciągnął okrutnie Palmu. — Skrupulatnie usunął każdy ślad, wszystkie punkty zaczepienia dla ewentualnego śledztwa! Czy pan nie pojmuję, Balter, że stawia to pana w nader podejrzanym świetle?

— Ależ panie komisarzu! — Batler odzyskał rezon i nawet się uśmiechnął. — Czy wtedy tak bardzo upierałbym się przy tym, że przekręciłem włącznik? Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że tego nie pamiętam. Bo i rzeczywiście panował tam wtedy na dole wielki chaos! A ten włącznik to jedyny szczegół wskazujący na morderstwo.

— I właśnie panu to zawdzięczamy, że jest to już jedyny i nikły szczegół wskazujący na morderstwo, gdyż wszystkie inne ślady starannie pan usunął — odrzekł spokojnie Palmu.

— Po co więc trzyma się go pan z takim dziwnym uporem?

Rodzina Rygsecków ma spore wpływy i będzie robić wszystko, by uniknąć skandalu. Odplacą panu za dobrą pamięć samymi przykrościami, jak trafnie prorokował

inżynier Vaara. Wie pan równie dobrze jak ja, że bez obciążającego zeznania nie mogę nikogo oskarżyć o morderstwo. Konsekwencją tego faktu będą nie kończące się przesłuchania, które rzucają ohydny cień podejrzania na niejedną niewinną osobę, a w końcu cała sprawa i tak utknie w martwym punkcie z braku dowodów. To czysta logika.

Jest pan człowiekiem równie trzeźwo myślącym jak ja, dlaczego więc tak uparcie trzyma się pan swojego zeznania?

Lokaj nie odpowiedział. Twarz mu zadrżała, zwilżył

językiem wyschnięte wargi, ale zacisnął zęby i nic nie powiedział.

— Wspomniał pan wcześniej, że pracował w hotelu

— drążył bezlitośnie komisarz. — Inżynier Vaara powie dział, że wie o pańskiej przeszłości to i owo. Nie wiem, czy można pana w ogóle uważać za wiarygodnego świadka, Batler.

Nie mogłem się mylić, twarz lokaja była teraz żywym obrazem przerażenia.

— Panie komisarzu — wychrypiał Batler — byłem bezmyślny, zachowałem się jak szaleniec! Wcześniej czy później i tak by się pan wszystkiego dowiedział! Tak, pracowałem w hotelu, byłem zwykłym kelnerem, który z powodu małego manka w kasie został bez hałasu odprawiony z pracy. Pan Rygseck zlitował się nade mną, bezrobotnym, i wziął do siebie na służbę.

— Dlaczego więc tak uparcie trzyma się pan swojej wersji? — torturował go Palmu tym samym pytaniem. —

Nie chce pan odpowiedzieć? Dobrze, ja odpowiem za pana.

Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach wyciągnie z pańskiego zachowania bardzo prosty wniosek: że wie pan o tej sprawie dużo więcej, aniżeli mówi. Pan coś ukrywa. Dwa lata służby u pana Rygsecka stoczyło pana moralnie, jak się pan sam wyraził. Ostrzegam pana jednak, że to igranie ze złymi mocami, bardzo złymi.

Tak właśnie powiedział Palmu i jeżeli o mnie chodzi, równie dobrze mógłby mówić po hebrajsku, bo i tak nic, ale to nic z tego nie rozumiałem.

Batler jednak się zaciął. Nie odrywał wzroku od czubka swoich butów, milczący i zamknięty w sobie.

Komisarz wzruszył ramionami.

— Idziemy! — zakomenderował. — Nie ma sensu dłużej tego ciągnąć. Chodźcie obaj!

Palmu skierował się z powrotem do domu i wszedł do środka drzwiami piwnicznymi. Batler i ja szliśmy za nim.

Komisarz zerknął mimochodem na pralnię, obejrzał

100

z uznaniem kocioł centralnego ogrzewania i sterty koksu, aż wreszcie zapytał:

— W domu nie ma innej służby, tylko kucharka i pan?

Batler pokręcił tylko niechętnie głową. Jeszcze niedawno wydawał się całkiem szczery, lecz teraz był znów posępny i milczący.

— Pan Rygseck nie lubił licznej służby — wyjaśnił

sucho. — Kucharce nie wolno było nawet wychodzić na pokoje. Raz w tygodniu przychodziły do pomocy dwie sprzątaczkę, a w największe mrozy odwiedzał nas regularnie palacz centralnego

ogrzewania. Samochód mój pan prowadził osobiście.

— Pisali o tym w gazetach — zauważył zgryźliwie Palmu.

Batler pograżył się już jednak w swym ponurym milczeniu i nie podniósł więcej głowy. Przeszliśmy do kuchni, odparliśmy kolejne natarcie kucharki i wkroczyliśmy do holu. Kokki stał oparty o kominek, lecz na widok komisarza wzdrygnął się i ukrył papierosa za plecami. Pisarz Lai-honen i panna Vanne przerwali rozmowę i unieśli głowy.

Palmu kiwnął im uspokajająco.

— Proszę sobie nie przeszkadzać — odezwał się życzliwie. — My w tym czasie pójdziemy jeszcze na chwilę na piętro.

Ruszyliśmy do góry szerokimi, wygodnymi schodami i znaleźliśmy się w rozświetlonym holu. Palmu zatrzymał się, by złapać oddech, bo nie lubi schodów. Batler zaczął

wyjaśniać:

— Za tymi drzwiami jest wąskie zejście, które prowa dzi prosto do sieni przy łazience. Tu obok jest sypialnia 101

pani, a obecnie pokój gościnny. Tutaj jest łazienka i toaleta.

A tu — lokaj otworzył zdumiewająco solidne drzwi —

zaczyna się droga do najświętszego przybytku pana Rygsecka, że tak powiem. Najpierw jest gabinet, a za nim sypialnia. Do tych pomieszczeń nie można się dostać inną drogą, to są jedyne drzwi. I tak jak pan widzi, panie komisarzu, wprawiono w nie specjalny, solidny zamek. Mój pan na noc zamykał się zawsze na klucz. Palmu zerknął na niego pytająco.

— Tak, tu akurat nie muszę się opierać wyłącznie na domysłach — wyjaśnił lokaj nieco uszczypliwie. — Choćby dziś rano, gdy na wyraźne żądanie starszej pani Ryg-seck przyszło mi budzić mojego pana przed zwyczajową dla niego porą, kiedy zaczynał dzwonić jego budzik, drzwi były zamknięte na klucz i musiałem w nie walić chyba z minutę, nim się wreszcie obudził.

— To prawda — powiedział Palmu — ale czy pan go w ogóle w i d z i a ł dzisiaj rano? O to właśnie chciałem pana spytać.

— Oczywiście, że go widziałem! — odrzekł zdumiony Batler. — Najpierw zapytał, kto tam, a kiedy usłyszał mój głos, otworzył drzwi i od razu mnie zrugał. Zacząłem się tłumaczyć, więc zwymyślał od ostatnich starszą panią Rygseck. Myślę, że trochę się jednak bał.

— Co powiedział? — zaciekał się Palmu.

— Niech sobie teraz stara prukwa poczeka, tak powiedział. Sądzę, że chciał, jak to się mówi, zyskać na czasie.

Zaraz potem powiedział, że idzie się wykąpać, i poszedł do sypialni po szlafrok. Dlatego z początku w ogóle nie byłem zmartwiony tym, że tak długo się nie pojawia.

102

— Więc dobrze! — orzekł Palmu. — Wkroczmy zatem do najświętszego przybytku. Nie, Batler! Pan pozostanie przy drzwiach i... tego... zadba pan o to, aby nam tu nie wszedł nikt niepowołany.

Komisarz odsunął na bok zdezorientowanego lokaja i weszliśmy do pomieszczenia, które Bruno Rygseck za życia zwał swym gabinetem.

Pokój był piękny i luksusowy. Wzdłuż obu bocznych ścian stały niskie regały z książkami, nad którymi wisało kilka obrazów. Jednak nasze spojrzenia od razu przykuło sporej wielkości biurko pod oknem. Na gładkim blacie nie było nic — poza niechlujnie przewiązanim rękopisem.

— *Zamek w Hiszpanii* — odczytał Palmu, pochyliwszy się nad biurkiem. — Hm!

Od razu też dostrzegłem, że środkowa szuflada biurka nie jest domknięta. Z dziurki wystawał kluczyk z łańcuszkiem.

Palmu jednak nawet go nie dotknął.

— Hm — zadumał się ponownie i podszedł do otwar tych drzwi w głębi gabinetu.

Wnętrze sypialni zdominowało ogromne, podwyższone łóżko. Przeciwległa ściana, od podłogi po sufit, była w istocie jednym wielkim lustrem. Łóżka nie zasłano, na jedwabnej pościeli wałała się dwuczęściowa piżama. Na krześle, pod spodniami na szelkach, piętrzyły się bez ładu i składu części garderoby. Przewrócone buty na podłodze świadczyły dobitnie, że pan domu rozbierał się w stanie wskazującym.

Spostrzeżenie to potwierdzał panujący w sypialni ba-

łagan. Na dywanie przy łóżku leżał bardzo drogi aparat 103

fotograficzny. Obok statywu dostrzegłem odłamki potrzaskanej lampy błyskowej.

— A zatem kluczyk miał w kieszeni spodni — powie dział zamyślony Palmu, nie odrywając wzroku od krzesła z garderobą.

Ponieważ byliśmy sami, uznałem, że i ja mam prawo wreszcie coś powiedzieć.

— Proszę spojrzeć, panie komisarzu! — odezwałem się, wskazując na potrzaskany sprzęt na dywanie. — Pan Bruno chyba miał zwyczaj fotografować swoje łóżko.

Palmu nie dostrzegł jednak w moim spostrzeżeniu niczego zabawnego. Oblicze miał twarde i rzekłbym — skierowane do wewnątrz.

— A co myślałeś — fuknął. — Pewnie, że miał taki zwyczaj. Sądzę, że to ta jego mroczna strona, o której wspomniał Batler.

Zaśmiałem się grzecznie. Palmu odwrócił się gwałtownie na pięcie i cofnął do gabinetu.

— Batler, proszę do mnie! — zawołał.

Lokaj karnie wszedł do gabinetu i stanął przed nami przy biurku.

— Czy to pan odczepił łańcuszek z kluczykiem od spodni pana Rygsecka i otworzył szufladę biurka?
— spytał surowo komisarz.

Batler aż podskoczył.

— To nie ja! — zaprzeczył z niespodziewaną stanowczością. — Kiedy zajrzałem tu, żeby sprawdzić, czy mój pan wrócił już z łazienki, wszystko wyglądało właśnie tak jak teraz. Nie dotykałem nawet tej szuflady. Spostrzegłem rękopis i mimochodem zerknąłem na niego, ale szuflady
104

w życiu nie ważyłbym się tknąć. Przecież... przecież wtedy jeszcze nie wiedziałem, że pan Rygseck już nie żyje.

— Tego wcale nie jestem taki pewien — skwitował

brutalnie Palmu. — A czy rękopis był już wtedy przewiązany sznurkiem?

— Ja-jakim sznurkiem? — wyjąkał Batler i znów mocno się zdenerwował. — By-był, rękopis był już wtedy przewiązany sznurkiem.

Palmu wyjął z kieszeni chusteczkę, ujął ostrożnie kluczyk przez materiał i wysunął szufladę. Na dnie leżało tylko kilka dokumentów, a na nich spoczywała sporej wielkości księga w eleganckiej oprawie z czerwonej lśniącej skóry.

Batler mimowolnie wyciągnął szyję. Na jego twarzy malowały się strach, ciekawość i zdumienie.

— Cze-czerwona księga! — wyjąkał. — Toż to na pew no c z e r w o n a k s i ę g a pana Rygsecka!

Palmu szybko zasunął szufladę, by lokaj nie zdążył poplamić okładki paluchami, i przekręcił kluczyk w zamku.

— Co to za księga? — spytał zaraz.

Batler natychmiast się opanował.

— Nie wiem — odparł krótko, widziałem jednak, że w myślach pracowicie analizuje to zaskakujące

spostrze żenie. — Słyszałem jedynie czasem, jak mój pan wspo miął swoim gościom o czerwonej księdze, która była też... hm... przedmiotem pewnych żartów. Budziła zawsze ogromną ciekawość i prawie każdy chciał ją zobaczyć, ale pan Rygseck pokazywał ją wyłącznie swoim najbar dziej zaufanym znajomym. A wtedy... ja nie mogłem przy tym być.

105

— A zatem twierdzi pan, że nie ma zielonego pojęcia, co ta księga zawiera? — indagował Palmu.

— Absolutnie żadnego — przyznał Batler — ale... ale przypuszczam, że wiele osób dałoby bardzo dużo, by dostać ją w swoje ręce. Może... może pan Rygseck chciał jeszcze wieczorem do niej zajrzeć i potem zapomniał wyjąć kluczyk z zamka szuflady? Przecież drzwi gabinetu były zamykane na klucz, więc nie było niebezpieczeństwa, że kluczyk od szuflady dostanie się w niepowołane ręce.

— Naturalne wyjaśnienie — przyznał Palmu. Rozejrzał

się jeszcze raz po gabinecie, wziął z biurka rękopis i wsadził

go sobie pod pachę. Potem wypchnął delikatnie Badera i mnie do holu, sam zaś wyjął tkwiący w drzwiach klucz, przekręcił go w zamku od zewnątrz i z nieobecną miną schował go sobie do kieszeni.

Komisarz nie był ciekawy. Ja na jego miejscu chciałbym bezzwłocznie wyrobić sobie własne zdanie o czerwonej księdze Brunona Rygsecka. Palmu jednak lubi wyjaśniać wszystko po kolei i dlatego na razie zeszliśmy spokojnie do holu. Panna Vanne i pan Laihonen skoczyli na równe nogi.

Na widok swojego skarbu pod pachą komisarza pisarz uśmiechnął się promiennie.

— Proszę bardzo, pański rękopis! — rzekł Palmu z bez wstydną arogancją, jak gdyby odnalezienie rękopisu nie było możliwe bez jego spostrzegawczości i umiejętności kojarzenia faktów.

Nie zdziwiło mnie to wcale, gdyż poza wieloma mą-

drościami życiowymi przy komisarzu poznałem również gorzką prawdę, że i w naszym fachu sukces polega na 106

przypisywaniu sobie zasług za robotę wykonaną przez kogo innego i na przedstawianiu szczęśliwego trafu jako własnego dzieła.

— Dziękuję — rzekł pisarz bez zbędnych ozdobników, a jego oczy za grubymi szklami zaszkliły się ze wzrusze nia. — Jestem panu niewymownie zobowiązany, panie ko misarzu. Serce by mi pękło, gdyby ten rękopis bezpowrot nie przepadł. To owoc wielu miesięcy intensywnej pracy.

Pisarz machinalnie rozwiązał sznurek, który oplatał jego rękopis. Komisarz uniósł pytająco brwi.

— Czy mogę? — zapytał. — Ten sznurek?

— Proszę bardzo — odrzekł nieco poirytowany Laiho-nen. — Gdybym tylko wiedział, co za bałwan

przewiązał nim rękopis! Proszę spojrzeć, jak sznurek paskudnie przecina brzegi wierzchnich kartek! Szczęcę się tym, że moje prace są zawsze nieskazitelnie czyste i schludne. Zazwyczaj wkładam rękopisy do tekturowych teczek i dopiero potem zanoszę je wydawcy, ale ten nie był

jeszcze zupełnie gotowy.

— To ja... — zaczęła panna Vanne i spłonęła rumieńcem.

— To ja p r z e w i ą z a ł a m rękopis sznurkiem.

6.

Aimo Rykamó kładzie pasjansa, a jego siostra zapomina puderniczki. • Pytanie o klucz do tylnych drzwi domu staje się nagle aktualne. • Prezes Rygseck interweniuje w gabinecie i Palmu każe Hagertowi pocałować się w nos. • Batler się boi, Palmu zaś chciałby się upić. • Dochodzenie w hotelu Kamppi. • Sprawa sznurka zostaje wyjaśniona, po czym panna Vanne opowiada o poszukiwaniu skarbu. • Co się wydarzyło w czwartek w Kappeli*?

• Pisarz Laihonen twierdzi, że jest Edypem, a humor Brunona Rygsecka zostaje ukazany w osobliwym świetle.

Nasze spojrzenia jeszcze bardziej zażenowały pannę Vanne.

— Bo-bo... — zająknęła się — ja się bałam, że jesz cze mi się ten rękopis rozpadnie po drodze, kiedy go tu niosłam. Oczywiście nie przewięzałabym go sznurkiem, gdybym wiedziała, że pan tego nie znosi.

Pisarz Laihonen stoczył krótką wewnętrzną walkę.

— Ostatecznie to w końcu drobiazg — stwierdził

wspaniałomyślnie, choć nadal był nieco spięty. — Najważniejsze, że rękopis się odnalazł.

— A zatem sznurek oplatał rękopis już wczoraj wieczorem — rzekł zamyślony Palmu, mnąc go w palcach.

* Istniejąca do dziś tarasowa kawiarnia w parku przy Esplanadach, niegdyś miejsce spotkań artystów i wyższych sfer.

Był to cienki, lecz mocny sznurek spleciony z dwóch żyłek, niebieskiej i białej. — Skąd go pani wzięła?

— Z opakowania po cukierkach Fazera — odrzekła niewinnie panna Vanne. — Oni mają takie sznurki. A ja... ja bardzo lubię pomadki.

— Ja też! — ucieszył się pan Laihonen. — Często pod-jadam sobie podczas pracy, wie pani, takie twarde, ale z miękkim środkiem.

Pokrewieństwo tych dwóch dusz stawało się coraz wy-raźniejsze.

— Esz! — zachnął się Palmu i wsunął sobie sznurek do kieszeni. — Poproszę teraz wszystkich państwa do sali, tam sobie trochę porozmawiamy. Batler, pana również.

Weszliśmy do środka. Aimo Rykamó kładł pasjansa na brzegu stołu, pogwizdując coś monotonie z uporem maniaka. Jego siostra siedziała w fotelu wyprostowana, z wypiekami na twarzy. Wyglądało na to, że rodzeństwo się pokłóciło. Kiedy weszliśmy, zdenerwowana dziewczyna wstała.

— Muszę iść do biura! — prychnęła gniewnie. — Już prawie trzynasta. Przez całe pół dnia byłam nieobecna w pracy.

Palmu uniósł ostrzegawczo rękę.

— Najpierw musi mi pani wyjaśnić, po co przyszła tu pani dziś rano — odrzekł chyba nieco zbyt szorstko.

— Zapomniałam

wieczorem

zabrać

stąd

swoją

puder-niczkę — odrzekła dziewczyna sztywno, jak gdyby recytowała z pamięci wyuczoną formułkę. — Przyszłam ją odebrać.

Nie potrafiła jednak spojrzeć komisarzowi w oczy i zaraz spiekła raka.

Zniecierpliwiony student cisnął kartami o blat.

— Dajże już spokój, nie zachowuj się jak bubek! —

fuk-nął na siostrę, używając znów swego ulubionego słowa.

— Przecież każdy wie, że przyszedłeś tu powstrzymać...

— Aimo! — przerwała mu zrozpaczona dziewczyna, trzęsąc się ze złości. W jej oczach zalśniły łzy.

Chłopak wrzruszył ramionami. Zapadła przygniatająca cisza.

— No i znalazła pani puderniczkę? — spytał życzliwie Palmu.

Pytanie ją zaskoczyło.

— Zna... lażłam — wyjąkała, przyciskając małą torebkę do piersi i patrząc na komisarza swoimi wielkimi oczami.

Była to naprawdę śliczna dziewczyna.

— No więc? — powiedział Palmu z ojcowską serdecznością, rozkładając dobrodusznie ramiona. — Wobec tego chyba wszystko w porządku i nie ma powodu, żeby tak się bać.

Niech żałuje, kto nie widział wyrazu jej twarzy, gdy dziewczyna mimowolnie odetchnęła z ulgą i usiadła z powrotem w fotelu. Nie sądziła, że uda jej się tak łatwo wywinąć. Czyżby ten komisarz Palmu był naprawdę a ż t a k i m baranem?

— A pan? — Palmu zwrócił się spokojnie do Aima Ry-kamó. — Jaka sprawa sprowadziła pana do domu Brunona Rygsecka?

— Pomyślałem sobie, że po wczorajszej popijawie na-leży się mały klin — odrzekł chłopak szczerze. — Tylko nie chciałem tego mówić przy ciotce. Poza tym nie miałem żadnej prywatnej sprawy do Brunona. Wiedziałem, że 110

jak tylko wstanie, zaraz zacznie żłopać ten swój absynt, zawsze tak robił po przepiciu. I dlatego...

— Absynt? — przerwał mu Palmu. — W tym domu są silne trucizny!

— Ohydne świństwo! — zgodził się student. — Smakuje anyżem i czym tam jeszcze. Przywożą mu go z Francji jakimś statkiem. Ale nikt inny tego nie pije, tylko on i Alli, czyli jego stara, i to była. Mnie jednak Batler serwował

koniak.

— Dajmy temu pokój! — przerwał mu komisarz. — O

co ja jeszcze miałem was zapytać? Aha, już wiem: kto z państwa miał klucz do tylnych drzwi domu?

Wypowiedział to tonem tak niewinnym, jak gdyby chodziło o coś oczywistego, a przecież absolutnie nic nie uprawniało przypuszczenia, że ktoś z obecnych na sali osób może go mieć. Był to, rzekłbym, próbny wystrzał w powietrze. A jednak wywołał zdumiewający popłoch.

Airi Rykamó zbladła jak płótno i zadrżała. Zaraz potem znów spąsowała i nie patrząc na nikogo, sięgnęła do torebki i podała klucz komisarzowi.

— Oto ten klucz — rzekła ledwo słyszalnie.

— Airi! — Aimo Rykamó wybałuszył oczy ze zdumienia. — Jakim cudem t y go masz?

Skonsternowana Irma Vanne również spojrzała przeciągle na przyjaciółkę, a pan Laihonen zaczął poprawiać okulary z miną winowajcy. Sytuacja stała się bardzo nie-przyjemna.

I wtedy właśnie w holu długo i ostro zadzwieczał telefon.

111

Batler spojrzał pytająco na komisarza, a gdy ten potakująco kiwnął głową, wyslizgnął się cicho z sali. Wrócił

prawie od razu i obwieścił, że do aparatu proszony jest pan komisarz Palmu. Komisarz wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

W sali nadal panowało nieprzyjemne milczenie. Irma Vanne patrzyła na Airi Rykamó z bardzo osobliwym uśmiechem na ustach. Ta siedziała z wypiekami na twa-rz}f i spojrzeniem uparcie wbitym w ścianę. Jej brat chyba miał

na końcu języka kąśliwą uwagę, lecz powstrzymywał się przez wzgląd na moją obecność. Zamyślony Kokki oglądał

obraz, na którym całkiem nagie kobiety pod drzewem wciąż wyciągały ręce po jabłka. A ja — no tak, ja chyba nie odrywałem wzroku od panny Vanne, bo wspomniałem już, że była to bodaj najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem. Zdaje się, że pan Laihonen miał w kwestii kobiecej urody taki sam gust jak ja.

Wreszcie w drzwiach ukazał się Palmu i gestem wywołał

mnie do holu. Kiedy wyszedłem za próg, z wściekłością zatrzaskała za mną drzwi.

— Wiesz, co teraz zrobimy? — zapytał retorycznie drżącym głosem. Ręce miał zaciśnięte w pięści, a w ką-

cikach oczu lśniły łzy bezsilnej wściekłości. Bez słowa pokręciłem głową.

— Zabierzemy się stąd w diabły! — rzucił ściśniętym głosem. — Rozumiesz, bałwanie jeden?! Rzucimy całe dochodzenie w cholerę i wrócimy tam, skąd przyjechaliśmy!

Nie mamy prawa dłużej dręczyć spokojnych ludzi. Hagert nie pozwolił mi nawet niczego wyjaśnić. Zwłok jeszcze nie otwarto, ale zewnętrzne oględziny nie ujawniły ni-112

czego, czego nie można by wytłumaczyć nieszczęśliwym wypadkiem. Kiedy próbowałem mu powiedzieć o tym włączniku, kazał mi zamknąć jadaczkę. Toż... toż to votum nieufności!

— Hagert musiał być zdenerwowany! — uznałem.

— K o c i o k w i k ma i tyle, bo kaczki wczoraj zaganiał

z tymi Duńczykami! — ryknął Paimu, nie mogąc się już dłużej powstrzymać. — Ale co on za to może, skoro wielmożni panowie poszli na skargę do samego rządu!

— Rz-rządu? — wyjąkałem, bo już przestałem cokolwiek rozumieć.

— A co myślałeś? Sprężyna jaśnie pana prezesa! Z

marszu zatelefonował do starego kumpla, obecnie pana ministra, który zadzwonił tu i tam, niby przy okazji i na marginesie pytając, o co tyle hałasu, więc już po chwili gubernator objechał nadinspektora, który objechał Hager-ta, a ten z kolei chce mnie wieszać na suchej gałęzi, więc teraz, sam rozumiesz... teraz, dla porządku, ja powieszę ciebie. I koniec pieśni.

— A więc to jednak był nieszczęśliwy wypadek —

flegmatycznie skonstatował stojący przy kominku Kokki, który święcie wierzył w dogmat o nieomyślności najwyż-

szego przełożonego.

— Niech

ich

diabli

wezmą,

tych

wszystkich

Ryg-secków! — zdenerwował się Palmu i jeszcze nigdy nie słyszałem, by kogoś tak brzydko sklął. Mam jednak nadzieję, że i czytelnik tym razem mu to wybaczy. Pierwszy raz w życiu uzmysłowiłem sobie, co znaczy władza pieniądza, i zaświtała mi myśl, że socjalizm nie jest chyba jednak aż taki zły.

Komisarz postąpił jak przystało na mężczyznę. Otworzył

oba skrzydła drzwi sali, stanął w progu i oznajmił:

— Wszyscy państwo jesteście wolni i możecie się ro zejść! Nie mam do was więcej pytań!

To zaskakujące oświadczenie wywołało wśród zgromadzonych ciekawe reakcje. Student Aimó Rykamó rozpromienił się i rozłożył triumfalnie ramiona.

— A nie mówiłem! — wykrzyknął. — Erik jest bubek, Batler jest bubek i przekręcenie kontaktu to pestka! Airi też mogłaby śmiało powiedzieć, że...

— Aimó, idziemy! — siostra szarpnęła go za rękę i do-słownie wywlekła z sali. Najwyraźniej nie do końca wierzyła w zapowiedź o zakończeniu śledztwa i wołała czym prędzej się ulotnić, nim komisarz znowu coś wymyśli.

Palmu wybiegł za nią do holu.

— Pani klucz! — przypomniał życzliwie i z niewinną miną wyciągnął na dłoni klucz od tylnych drzwi domu.

W brązowych oczach Airi Rykamó zaśniły łzy wściek-

łości i upokorzenia.

— Proszę go oddać Barrierowi! — wycodziła przez zęby.

— Mnie nic do niego! — Wcisnęła bratu czapkę na głowę i wypchnęła go pospiesznie na dwór, jakby-chciała czym prędzej uciec.

Szary na twarzy Batler wciąż stał jak słup soli, dzierżąc w ręku klucz, który wcisnął mu Palmu.

— Do-dochodzenie u-umorzone? — wyjąkał.

— Właśnie tak, dochodzenie umorzone! — zapewnił go komisarz, wyraźnie usatysfakcjonowany tym, że ktoś jest jeszcze bardziej zdezorientowany niż on. — I to pan 114

najgorzej na tym wszystkim wyszedł, Batler. Okazało się bowiem, że wcale pan tego włącznika nie przekręcił! Jeśli się pan pospieszy, zdąży pan jeszcze pójść na kolanach do tej swojej, no, jak to mówią, Ka-Ka...

— Kanossy! — dokończyłem mimowolnie, aPalmu za-twierdził kiwnięciem głowy.

— Jakim ja byłem cholernym idiotą! — wykrzyknął

lokaj w nagłym przebłysku samopoznania i kurczowo wczepił się w ramię komisarza. — Ale pan nie może tego tak zostawić, panie komisarzu! Ja... ja się boję...

— Pewnie własnego cienia — skwitował okrutnie Pal-mu i wyrwał się lokajowi, sięgając po płaszcz.

Przygarbiony, poszarzały Batler wyglądał teraz jak ucieleśniony wyrzut sumienia.

Ale oto panna Vanne podeszła do nas, prowadząc za rękę pana Laihonena, i lekkim kuksańcem zachęciła go do zabrania głosu. Zamyślony pisarz zaczesał ręką włosy, drugą ściskając pod pachą swój bezcenny rękopis.

— Szanowny panie komisarzu — zaczął — przyszło mi do głowy, to jest chciałem powiedzieć, pomyśleliśmy oboje z panną Vanne, że przecież nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy... hm... pogawędzili sobie o tej sprawie zu pełnie prywatnie, skoro dochodzenie zostało umorzone.

Wydarzenie to bowiem jest dla nas... hm... nadzwyczaj interesujące jako swoisty problem psychologiczny. Jeżeli znalazłby pan odrobinę czasu, moglibyśmy zupełnie nie oficjalnie pójść gdzieś na kawę i przy okazji trochę sobie pogawędzić.

Propozycja spadła komisarzowi jak z nieba i jego sina z żalu twarz zaczęła się powoli rozjaśniać. Palmu był jed-115

nak człowiekiem wyrachowanym i korzystne propozycje starał się podbijać do końca licytacji.

— Pora śniadaniowa chyba już nam rzeczywiście minęła

— odpowiedział z cwana obojętnością, sondując grunt pod darmowy poczęstunek. Pisarz Laihonen od razu dał się złapać.

— Ale mamy właśnie najlepszy czas na lunch! — wykrzyknął, gdy wzorem komisarza zerknął na zegarek. —

Zdaje się, że nikt z nas dzisiaj nie zdążył zjeść śniadania?

Palmu bez ociągania pomógł pannie Vanne założyć płaszcz. Nawet on jest czasem uprzejmy.

Pan Laihonen uznał, że milczenie jest zgodą. Nieco za-

żenowany, zaczął jąkać:

— By-byłoby mi ba-bardzo miło za-zaprosić pana na lunch, panie komisarzu, i... i ma-ma się rozumieć, że tak że pa-pańskich kolegów! O-oczywiście ja-ja płacę!

Teraz rozpromieniła się także przygnębiona, końska twarz Kokkiego.

— Dziękujemy, pięknie dziękujemy! — Palmu skłonił

mu się dwukrotnie, cały w skowronkach. — Oczywiście, z wielką radością przyjmujemy pańskie uprzejme zaproszenie!

I tak po raz ostatni — jak wówczas sądziłem — obrzuciłem spojrzeniem pyszny hol domu Brunona Rygsecka.

Rozneglizowana dziewczyna z granitu nadal klęczała u stóp schodów, gruby dywan wciąż się nadymał luksusową miękkością, a indyjski wazon pobłyskiwał drwiąco za rogiem kominka. Zdumiony Batler otworzył nam drzwi i Palmu, z szacunku dla domu, włożył kapelusz dopiero na schodach przed wejściem.

116

— Gdzie zatem moglibyśmy pójść? — pan Laihonen wrócił do sprawy. Palmu rzucił pisarzowi taksujące spojrzenie spod przymrużonych powiek, nakładając go na skalę podatkową.

— Gdybym nie był niezamożnym urzędnikiem pań-

stwowym — odrzekł taktownie komisarz — to w taki dzień jak ten miałbym ochotę się upić.

Kokki i ja spojrzeliśmy na niego zdumieni, ale i z podziwem. Teraz i detektyw zaczął w myślach szacować moc nabywczą Laihoneną.

Pisarz uśmiechnął się od ucha do ucha i wykonał szeroki gest ręką.

— Idziemy zatem do Kamppi! — zdecydował. — Mają tam na piętrze nadzwyczaj przytulny klubik — dziwny miał

numer, nie pamiętam — gdzie nasz Związek Pisarzy usiłował raz upić pewnego gościa z Niemiec. Mam nadzieję, że nie będzie zajęty, bo można tam swobodnie porozmawiać.

— Nasz samochód czeka! — odpowiedział krótko Palmu i wskazał uprzejmie na czarny wóz, który Kokki zaparkował

pod bramą rezydencji.

Wcisnęliśmy się do środka — co nie było takie proste, sam komisarz bowiem zajmuje połowę tylnej kanapy — i Kokki ruszył. Pan Laihonen uznał, że należy nam się wyjaśnienie, więc trochę zawstydzony rzekł:

— Bo to jest tak, że moja matka wyjechała z miasta.

Wybrała się na wieś na dwa tygodnie, abym mógł w spo koju przygotować do druku rękopis swojej nowej powie ści. Gdyby nie jej wyjazd, nie zostałbym w ogóle zamie szany w tę historię. Skoro rękopis się znalazł, i ja mam 117

dobry powód, by korzystając z jej nieobecności, trochę poświętować.

Palmu nie do końca pojął, w czym rzecz, więc tylko potaknął, uprzejmie kiwając głową. Ja jednak znałem osobiście kilku pisarzy i wiedziałem, że stosunek pani Laihonen do syna jest piękny, lecz

dość surowy. Krążyły pogłoski, że pisarz miał w zwyczaju wymykać się czasem spod jej klosza i szukać nieco weselszego towarzystwa.

Popołudnie zapowiadało się więc bardzo ciekawie, ale zaczęły mi dokuczać wyrzuty sumienia.

— Nie wiem, czy mogę tak w godzinach pracy... — zacząłem. — Porucznik Hagert...

— Hagert! — parsknął cicho Palmu. — Hagert może mnie pocałować w nos. Godziny pracy czy nie, jedziemy do Kamppi! I tym bardziej dlatego że w godzinach pracy! Mam nadzieję, że pan porucznik będzie mieć z tego powodu chociaż trochę kłopotów!

Również na twarzy Kokkiego pojawił się wyraz zaciętej determinacji, a szczeka wysunęła mu się groźnie naprzód.

Wszak niezamożny urzędnik państwowy nie codziennie może sobie pozwolić na lunch w Kamppi.

I gdy tak mknęliśmy ulicami, nagle się wzdrynąłem, coś mi się bowiem przypomniało.

— Panie komisarzu! — rzekłem z przerażeniem w gło sie. — Zapomniał pan oddać klucz do gabinetu pana Rygsecka! Ma go pan w kieszeni!

Palmu uniósł brwi i spojrzał na mnie.

—

Tak, mam go w kieszeni — przyznał. — No i co z tego?

No i co z tego? I cóż ja mogłem odpowiedzieć na ta kie słowa? Stan psychiczny komisarza niebezpiecznie 118

się pogarszał i zacząłem się bać, czym to się wszystko skończy.

Zauważyłem jednak, że jesienne poniedziałki miewają także plusy. Towarzystwo panny Irmy Vanne przydało nam wyraźnie splendoru i godności. W hotelu zaprowadzono nas z nienaganną uprzejmością do niewielkiego klubu na piętrze i usadowiono w fotelach rozstawionych dookoła fajczarni.

W sąsiednim pokoju kelner zaczął natychmiast nakrywać do stołu.

— Koktajl? — spytał uprzejmie pisarz Laihonen. Trzymał się teraz bardziej prosto, a w okularach błysnęło zde-cydowane spojrzenie.

— Hm — komisarz chrząknął nieśmiało.

— Ja chyba nie... — zacząłem.

Zapanowało uroczyste milczenie. Po chwili kelner z beznamiętną twarzą postawił na stoliku pięć oszronionych szklaneczek, w których jarzyła się zielonkawo jakaś mętna ciecz.

Rozczarowanie z powodu przerwania dochodzenia, które niczym lód ścisnęło nasze serca, zaczęło powoli topnieć.

— Panie komisarzu! — odezwał się nieśmiało Kokki, chrząkając i czerwieniejąc na twarzy. — Nad zapadką przy zasuwce drzwi łazienki miały w dwóch miejscach prze tartą farbę. Identyczne ślady zostawiłby cienki sznurek, zakładając, że zasuwka nie ślizgała się w tulei bez oporu.

Gołym okiem tych przetarć nie widać, dopiero pod szkłem powiększającym przy świetle dziennym.

— Nosisz w kieszeni lupę? — spytał drwiąco Palmu.

Nic go bowiem tak nie mierziło, jak chodzenie na czworakach ze szkłem powiększającym w rękę i wściu-119

bianie nosa w każdy kąt. Komisarz bezwzględnie prze-strzegał podziału pracy. Poszukiwaniem odcisków palców i inną brudną robotą mogli zajmować się wyłącznie specjalnie wyszkoleni technicy. Wszyscy inni amatorzy lupy byli dla Palmu zwykłymi partaczami, którzy potrafią tylko zacierać ślady. Nieoficjalnie twierdzą jednak, że w uformowaniu się tego przeświadczenia znaczną rolę odegrały tusza komisarza oraz jego niechęć do wszelkiego wysiłku o charakterze wyraźnie nieumysłowym.

Tak więc zawstydzony Kokki zamilkł i Palmu mógł

przystąpić do wyłuszczenia zainteresowanym słuchaczom, czyli pisarzowi Laihonenowi i panie Vanne, o co chodziło z tym włącznikiem światła w łazience i jak można zaciągnąć od zewnątrz zasuwkę w drzwiach. Najpierw należy zatem dwukrotnie opleść sznurkiem gałkę na bolcu i unieść ją, następnie ostrożnie zamknąć drzwi i pociągnąć za oba końce sznurka, tak by zasuwka przesunęła się w tulejce i jej końcówka weszła w otwór w futrynie. Wówczas po zwolnieniu sznurka gałka opada pod własnym ciężarem, a sznurek wyciąga się na zewnątrz za jeden koniec. Sztuczka była rzeczywiście nadzwyczaj prosta, chociaż nie bardzo wierzyłem w zapewnienia Palmu, że potrafiłoby jej dokonać nawet pięcioletnie dziecko.

Komisarz przyznał też, że zgromadzony materiał do-wodowy jest kruchutki jak marcowy lód i nie wystarczyłby do ujęcia i skazania mordercy. Palmu był już jednak w jowialnym nastroju, uznał więc wspaniałomyślnie, że jego przełożony mógł mieć pewne powody, by przerwać dochodzenie, choć on sam odbiera to jako atak na swoją osobę i votum nieufności.

120

Podano do stołu. Pisarz Laihonen szepnął coś na ucho kelnerowi, który potaknął ze zrozumieniem. Zasiadliśmy do jedzenia w uroczystym milczeniu.

— Są takie chwile w życiu człowieka... — rzekł filozo-ficznie komisarz, chwytając kieliszek za nóżkę.

— Za wszystkie poniedziałki! — pisarz wznosił toast. —

Zycie jest piękne!

Ja również spojrzałem wtedy na pannę Vanne. Oczy miała duże i lśniące, policzki jej pałały, a usta wyglądały jak czerwony kwiat.

— Doznanie jednej tylko przykrości potrafi złamać ży ciowe zasady — stwierdził Palmu. — Drodzy przyjaciele, dziś po raz pierwszy w życiu piję alkohol w godzinach pracy. Uważam jednak, że mam do tego moralne prawo, i niech no tylko ktoś ośmieli się zwrócić mi uwagę!

Potem zjedliśmy. Pan Laihonen mówił o straconych epokach kulturalnych i uprzejmie obiecał służyć mi radą, gdybym zamierzał jeszcze kiedyś podpisać umowę z wydawcą. Zaofiarował się nawet, że przeczyta rękopis, nim poślę go do druku.

— Apropos rękopisu! — odezwał się Palmu, ale nikt nie miał mu za złe tej osobliwej wymowy. — Chętnie po-słucham, jakim to sposobem własność pana Laihonena trafiła w pani ręce.

— To długa historia — odrzekła Irma Vanne i pokręciła przecząco śliczną głową. — Okropnie długa historia.

Obawiam się, że nie starczy panom cierpliwości.

Zaprotestowaliśmy głośnym chórem.

— To takie zawikłane, że nawet nie wiem, od czego by tu zacząć — biadała panna Vanne. — Czy zna pan, panie komisarzu, zasady „poszukiwania skarbu”?

121

— Poszukiwania skarbu? — Palmu zrobił głupią minę.

— Tak, to taka szalona gra, w którą bawi się towarzystwo w Ameryce — wyjaśniła panna Vanne. — Pisali o tym kiedyś w gazetach. Każdy uczestnik zabawy musi w ustalonym czasie zdobyć, powiedzmy, dziesięć przedmiotów. Mogą to być rzeczy łatwe lub trudne do zdobycia, na przykład garść włosów z końskiego ogona, pałka policyjna, but jakiejś aktorki, konewka, cokolwiek. Wygrywa ten, kto w ustalonym czasie zgromadzi najwięcej elementów z umówionej listy przedmiotów.

— Pałka policyjna, włosie z końskiego ogona? — po-wtórzył Palmu. — Mam uwierzyć, że dorośli ludzie bawią się w zbieranie... łaskawa pani wybaczy!

— Ale to prawda! — odezwałem się. — Ja również o tym czytałem!

— Tak czy owak od tego się to wszystko zaczęło —

podjęła opowieść dziewczyna. — Mieliśmy się spotkać z Brunonem w czwartek w Kappeli, bo pogoda była prze-cudna. Aimo, to znaczy Aimo Rykamó, miał do załatwienia z Brunonem jakieś sprawy finansowe, a Airi przyprowadziła z biura inżyniera Vaarę. Przypuszczam, że Bruno wymyślił

całą tę hecę, aby mu dokuczyć, bo pan inżynier nijak nie umiał się dopasować do naszej paczki, zawsze był taki strasznie nadęty. A pewnie Bruno był też trochę zazdrosny, bo sam wcześniej smażył cholewki do Airi. To znaczy robił

to na swój sposób, jak to on, dla zabawy, bez jakichkolwiek uczuć. No więc pogoda była rzeczywiście cudna, a że wszyscy byliśmy w dość zwariowanych nastrojach, postanowiliśmy wymyślić coś naprawdę szalonego. Całkiem niedawno czytałam ten artykuł o „poszuki-122

waniu skarbu” i przyszło mi do głowy, że byłoby strasznie zabawnie spróbować tego w Helsinkach.

— Hm — chrząknął Palmu. — Z punktu widzenia sił

porządkowych nie byłoby to już raczej tak strasznie zabawne!

— Ale Bruno nie chciał — ciągnęła panna Vanne. —

Robienie czegoś, co wymyślił już ktoś inny, było poniżej jego godności, tak powiedział. Zaczął się jednak zastanawiać i w końcu wymyślił, że każdy z nas będzie musiał popełnić jakąś zbrodnię.

Aż podskoczyliśmy. Pogodny nastrój spotkania zmała drobna fala obrzydzenia. Panna Vanne natychmiast to wyczuła.

— Ejże! — rzekła z przyganą w głosie. — Nie musiało to być nic okropnie niebezpiecznego. Cała sztuka pole gała na tym, by mądrze rzecz zaplanować. Bruno zaraz się do tego zapalił i zaczął ustalać reguły zabawy, a że jego entuzjazm był zaraźliwy, w końcu i nam się udzie lił. On to potrafił i trzeba mu to przyznać, niech sobie ludzie mówią o nim, co chcą. No więc Bruno wymyślił, że w wyniku każdej zbrodni ofiara ma stracić coś bez cennego, coś, co ma dla niej nieoszacowaną wartość. Na dodatek rzecz należało zaplanować tak, by poszkodowany nie mógł zawiadomić policji, czy to z braku odwagi, czy to z powodu fizycznej niemożliwości. Aimo, który orłem nie jest, w ogóle nie mógł pojąć, o co w tym wszystkim chodzi, więc Bruno w końcu stracił cierpliwość i podał

mu kilka przykładów. Powiedział chłopakowi, że gdyby skradł, dajmy na to, kotkę ciotki Amalii, kobieta straciłaby coś bardzo cennego dla siebie, ale nie ośmieliłaby się za-123

wiadomić policji, bo uznaliby ją od razu za wariatkę, która z powodu głupiego kota stawia na nogi siły porządkowe. Traf chciał, że akurat wtedy na tarasie siedział pan Laihonen i pił

piwo. Bruno podał więc kolejny przykład: gdyby znanemu pisarzowi zginął nagle rękopis najnowszej powieści, byłaby to dla niego niepowetowana strata, gdyż będąc człowiekiem nadzwyczaj roztargnionym, Laihonen ani nie mógłby sobie przypomnieć, gdzie też go posiał, ani nie potrafiłby odtworzyć książki z pamięci.

— Ale ja wcale nie jestem aż taki roztargniony! —

wtrącił pan Laihonen, lekko się czerwieniąc. — Gdybym jednak musiał pisać całą książkę od początku, na pewno nie zdołałbym oddać swoich myśli z pierwotną szczerością i świeżością wyrazu.

— Do rękopisu jeszcze wróć — powiedziała Irma Vanne. — Ale pomysł wstrząsnął inżynierem Vaarą, który gwałtownie zaprotestował przeciwko organizowaniu zabawy i dodał, że to najbardziej absurdalny pomysł, o jakim w życiu słyszał. Wtedy Bruno zaczął sobie z niego drwić. A że robił to bardzo umiejętnie, a nasza Airi jest trochę dziecinna, w końcu doprowadził do tego, że udział w zabawie stał się dla dziewczyny jakąś idiotyczną kwestią honoru. Airi zaczęła zapewniać Brunona, że wcale nie brak jej odwagi i przyłączy się do gry. On z kolei twierdził, że jako najinteligentniejszy z nas wszystkich na pewno wymyśli zbrodnię doskonałą. A był tak bardzo pewny siebie, że obiecał nawet, iż zwycięzca będzie mógł go poprosić o cokolwiek, a on spełni jego prośbę. Inżynier powiedział

wtedy, że w takim razie i on weźmie udział w zabawie, a po zwycięstwie poprosi Brunona, aby na dwa lata po-124

jechał się leczyć do jakiegoś sanatorium dla alkoholików.

Podobno tego najbardziej by sobie życzył cały zarząd koncernu. Była to oczywiście tylko taka złośliwość, w rzeczywistości bowiem inżynier odmówił udziału w grze.

Bruno mianował go więc sędzią, który miał rozstrzygnąć, kto popełnił najbardziej wymyślną zbrodnię. Dostaliśmy czas do dziewiątej wieczór w niedzielę, kiedy to mieliśmy się zebrać w domu Brunona i poznać zwycięzcę.

— Przyłączam się do opinii pana inżyniera — odezwał

się Palmu. — Ja również nie słyszałem o czymś równie absurdalnym. Czy pani nie pojmuje, jak przerażająca była to rozrywka?

— Ja powiedziałem to samo — wtrącił pospiesznie pan Laihonen. — Rano ostrzegłem pannę Vanne, że to igranie ze złymi mocami ludzkiej duszy. Kiedy bowiem umysł ludzki zaczyna rozważać zbrodnię, ulega mocy zła, a wówczas dochodzi do głosu jego mroczna strona, którą normalne życie utrzymuje w ryzach. Każdy z nas jest wszak utajonym Edypem...

— Kim? — przerwał mu Palmu.

— Mitologicznym królem greckim, zamordował ojca i poślubił matkę — wyjaśniłem.

Treść mojego wtrącenia nie dotarła do niego jednak, gdyż panna Vanne zadrżała i uniosła dłoń do ust.

— Zamordował! — powtórzyła, wybałuszając oczy ze strachu. — Teraz sobie przypominam!

Na chwilę zamilkła. W pomieszczeniu zapadła przygniatająca cisza.

— Inżynier Vaara został zatem sędzią — podjęła pan na Vanne. — Oczywiście zgodził się tylko dlatego, że nie 125

chciał puścić Airi samej na to spotkanie. No i wtedy zapytał

Brunona o najgorszą zbrodnię, jaka jego zdaniem może wchodzić w grę i zasługiwać na pierwszą nagrodę.

Sądziliśmy wszyscy, że to tylko zabawa, ale teraz sobie przypominam... teraz sobie przypominam...

Komisarz przesunął się na brzeg krzesła i wychylił w stronę dziewczyny, a wzrok miał twardy jak kamień. Irma Vanne rozwarła szeroko oczy i przerażonym szeptem dokończyła:

— Morderstwo! Tak mu odpowiedział Bruno i wybuchnął śmiechem. A inżynier się nie wycofał i został

naszym sędzią.

7-

O gustach panny Vanne można dyskutować. •

Dlaczego pisarz Laihonen pił piwo samotnie?

• Piękna nieznajoma. • Seria zbrodni zostaje wyjaśniona, stając się przez to jeszcze bardziej tajemnicza. • Brunona Rygsecka występkiem przeciw moralności i corpus delicti Aima Rykamó.

• Komisarz Palmu wyraża nadzieję, że panna Vanne nie jest złą dziewczyną. • Detektyw Kokki śpiewa, a porucznik Hagert wypowiada osobliwą opinię o drozdach.

Milczenie przerwał nerwowy śmiech komisarza Palmu.

— Wyobraźnia! — rzucił. — Wyobraźnia może nas tu jedynie wywieść na manowce. Bruno Rygseck głupio sobie zakpił i przyszło mu za to zapłacić gorzką cenę. Nie ulega kwestii, że powiedział to żartem.

— Ale jakoś wcale mi nie do śmiechu, kiedy sobie przypomnę, co się wydarzyło w niedzielę wieczorem —

odrzekła panna Vanne, nieco poirytowana. Pan Laihonen również był bardzo poważny.

Nastrój trochę się poprawił, gdy wstaliśmy od stołu i rozsiedliśmy się z powrotem dokoła fajczarni. Na blacie pojawiły się małe filiżanki do kawy i kieliszki na wysokich nóżkach. Sumienie znów mnie zaczęło podgryzać, lecz nie miałem śmiałości się odezwać.

— Niebiosa błogosławią radosnemu dawcy — zacytował Palmu i z pięknego pudełka wyjął cygaro, powąchał

127

je ze znużeniem i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. — Chyba nadszedł właściwy moment na romantykę i historię rękopisu.

Panna Vanne spłonęła pięknym rumieńcem.

— To bardzo głupia historia i nie mogą się panowie ze mnie śmiać — zapowiedziała. — Ale to wszystko przez to, że od dawna już pragnęłam poznać pana Laihonena.

On tak pięknie potrafi pisać i to naprawdę fascynujący człowiek.

Westchnąłem cicho. Kobięcy gust jest zdumiewający. W

końcu i ja miałem na swoim koncie powieść, a do tego jestem mężczyzną postawnym i szerokim w ramionach, choć

— jak często powtarza Palmu — głowę mam trochę za małą.

A jednak panna Vanne nie dostrzegła we mnie niczego fascynującego.

— I właśnie dlatego pomysł Brunona od razu tak mi się spodobał — kontynuowała bynajmniej nie speszona Irma Vanne. — Później oczywiście byłam zła, kiedy się okazało, że Aimo ukradł jednak tego kota ciotce, bo wy szło na to, że oboje głupio uczepiliśmy się przykładów Brunona i jestem równie bezmyślna jak Aimo. Pocięzałam się jednak tym, że planując swoją zbrodnię, okazałam się sprytniejsza od niego. A punktem wyjścia dla całego mojego planu był fakt, że pan Laihonen siedział w Kappeli nad piwem zupełnie sam.

Dziewczyna powiodła po nas triumfalnym spojrzeniem, oczekując zapewne wyrazów uznania, ale nikt się nie odezwał.

— To chyba oczywiste, że nie zamierzałam przywłaszczyc sobie tego rękopisu — panna Vanne zaczęła z innej

beczki. — Chciałam go od razu zwrócić. Uznałam tylko, że to wyborny sposób na zadzierzgnięcie znajomości z panem Laihonenem. Ma on strasznie dużo wielbicielek i byłam przekonana, że nie zwróciłby na mnie w ogóle uwagi, gdybym tak po prostu chciała go poznać.

— Ależ bynajmniej, panno Vanne... — zaczął oponować polectany pisarz Laihonen, czerwieniąc się i unosząc rękę w geście sprzeciwu.

— Może wróćmy jednak do sprawy — zaproponował

uprzejmie Palmu.

— No więc pan Laihonen pił samotnie piwo na tarasie w Kappeli — dziewczyna podjęła opowieść. — Ma się rozumieć, że od razu wyciągnęłam słuszny wniosek, że jego matka wyjechała z miasta.

— Słyszę o matce pana Laihonena dzisiaj już po raz drugi — przerwał jej komisarz. — Bez wątpienia jest kobietą szanowaną, lecz nijak nie mogę pojąć...?

— Pan Laihonen jest bardzo dobrym człowiekiem —

oznajmiła panna Vanne z głębokim przekonaniem. — Ale zdecydowanie zbyt grzecznym i dlatego jego matka okropnie go tyranizuje. Wszyscy o tym wiedzą. Nie może bez jej zgody nawet wyjść z domu, musi wkładać kalosze, nie wolno mu jadać w restauracjach ani...

— No, nie przesadzajmy... — pan Laihonen próbował się bronić, ale ton jego głosu nie zabrzmiał przekonująco.

— Jest strasznie roztargniony i taki słodki — dopowiedziała czule Irma Vanne. — I nigdy nie spostrzegł, że mieszkam na tej samej ulicy i że nasze okna znajdują się nieomal naprzeciwko siebie. A dzięki temu bardzo dobrze poznałam wszystkie jego zwyczaje. Gdy tylko wróciłam 129

do domu z Kappeli, zatelefonowałam do jego mieszkania i poprosiłam do aparatu panią Laihonen, aby się upewnić, że naprawdę wyjechała z miasta. W czwartek i piątek pan Laihonen pisał do późna, przerywając pracę tylko na kwadrans, aby zejść na kawę do kawiarni w tej samej kamienicy. On jest taki pilny!

— W istocie wcale nie jestem pilny — zaproponował

skromnie pisarz, którym owładnęła dziwna mania za-przeczeń. — Po prostu najlepiej mi się pracuje wieczorami i w nocy, w zupełnej ciszy, a nie mogę tego robić, gdy matka jest w domu, bo ona nie chce nawet słyszeć o przesiadywaniu po nocach. Starałem się więc jedynie wykorzystać sytuację i dokończyć swoją powieść.

— Tak czy owak — kontynuowała panna Vanne, uśmiechając się pod nosem na jakieś wspomnienie — w sobotę wieczór, kiedy pan Laihonen przerwał pracę i zszedł

do kawiarni, wślizgnęłam się do jego klatki schodowej.

Serce waliło mi jak szalone, bo byłam okropnie przestraszona i stremowana. Kiedy pan Laihonen wrócił i zaczął szukać kluczy od swojego mieszkania, zesłam ze schodów i padłam zemdlna wprost pod jego nogi. Był tak zaskoczony, że nawet nie próbował mnie podtrzymać, tylko patrzył, jak osuwam się na ziemię. Chwilę trwało, nim się wreszcie przestraszył, a wtedy ukląkł przy mnie z rozpaczliwą miną, pociągnął mnie za włosy i ścisnął mi podbródek, aby mnie ocucić. Nic to jednak nie dało, więc niczego nie podejrzewając, wniósł mnie do swojego mieszkania. Okazał się dużo silniejszy, niż mogłam przypuszczać, bo w istocie zrobił to zupełnie sam. Drzwi zdążył otworzyć już wcześniej, więc od razu 130

zaniósł mnie do swojego gabinetu i złożył na fotelu. Był

przerażony.

— I pan Laihonen rzeczywiście niczego nie podejrzewał? — zapytał Palmu z niedowierzaniem.

— Dlaczegoż miałbym cokolwiek podejrzewać? —

zdziwił się pisarz. — W powieściach to się czasem zdarza i dlatego wszystko to wydało mi się w pewnym sensie najzupełniej naturalne.

— Miałam wielką ochotę zabawić u pana Laihonena trochę dłużej — wyznała otwarcie panna Vanne. — Ostatecznie jednak cała ta sytuacja wydawała się bardzo głupia i niestosowna. Dlatego niemal od razu otworzyłam oczy i szeptem poprosiłam o szklanekę wody. Pan Laihonen pobiegł

zaraz do kuchni i kiedy krzątał się tam, postukując naczyniami i tłukąc przy okazji jakąś szklanekę — był tak przerażony, że trzęsły mu się ręce — szybko sprzątnęłam mu z biurka rękopis i jak duch ulotniłam się z mieszkania. Było mi go strasznie żal, pocieszałam się jednak, że wkrótce dostanie swój rękopis z powrotem. Żywiłam też nadzieję, że będzie o mnie myśleć przez całą noc i że kiedy potem się spotkamy, poświęci mi więcej uwagi niż jakiegokolwiek innej z miliona dziewcząt, które piszą do niego z prośbą o zdjęcie z autografem.

— Ależ panno Vanne, ja bynajmniej... — powtórzył

stereotypowo pisarz Laihonen.

— Panowie chyba wciąż nie pojmują, jak wymyślna była moja zbrodnia! — zniecierpliwiła się dziewczyna, nie doczekawszy się spodziewanych zachwytów. — Przecież pan Laihonen nie mógł zawiadomić policji o zaginięciu rękopisu, bo wtedy wyszłoby na jaw, że późnym 131

wieczorem, pod nieobecność matki, gości! w mieszkaniu zupełnie nieznaną kobietę. Matka nigdy by mu tego nie wybaczyła. Był więc zupełnie bezradny. No i poniósł niepowetowaną stratę.

— W rzeczy samej, byłem bardzo nieszczęśliwy — zapewnił ją pisarz. — Z początku nie mogłem pojąć, gdzie się podział mój rękopis. Jestem tak roztargniony, że potrafię chować swoje zapiski w najbardziej zdumiewających miejscach. Wywróciwszy jednak do góry nogami całe mieszkanie, musiałem jednak przyjąć, że to piękna nieznaną — tu uklonił się Irmie Vanne — zabrała go ze sobą. I dopiero wtedy tragizm mojej sytuacji ukazał mi się z porażającą jasnością. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, by zawiadomić policję, gdyż moja matka rzeczywiście taka jest i już nigdy więcej nie zostawiłaby mnie w mieście samego, a to dla mnie warunek niezbędny do sukcesu w pracy twórczej.

— Zanim przejdziemy do wydarzeń wczorajszego wieczoru — powiedział Palmu — chciałbym jeszcze wiedzieć, w jaki sposób znaleźli się państwo dziś rano w piwnicy domu Brunona Rygsecka.

Piękna Irma Vanne wyraźnie się zmieszała i zaczęła nalewać kawę do pustych filiżanek. Pisarz natomiast za-troszczył się o kieliszki. Dopiero po wykonaniu tych czynności dziewczyna podjęła opowieść, lecz nie była już tak rozgadana, jak jeszcze przed chwilą, tylko z bezzasadną pieczołowitością ważyła każde słowo:

— Odzyskanie rękopisu wcale nie było takie proste, jak to sobie wcześniej wyobrażałam. Bruno był w paskudnym nastroju i nawet nie chciał o tym słyszeć. Nasze wieczorne 132

spotkanie się popsuło, o czym za chwilę opowiem, i Bruno chciał już tylko każdemu możliwie najbardziej uprzykrzyć życie. Po wyjściu pozostałych gości zostałam jeszcze, by ponownie go poprosić o zwrot rękopisu, lecz był tak pijany, że w końcu wsadził go sobie pod pachę i uciekł z nim na górę do gabinetu, zamykając drzwi na klucz. I choć się do niego dobijałam, już mi nie otworzył.

Byłam strasznie nieszczęśliwa i w końcu postanowiłam porozumieć się w tej sprawie z panem Laihonem. Sądziłam, że Bruno nie odważy się odmówić, gdy zaraz z samego rana oboje stawimy się u niego i zażądamy zwrotu rękopisu. Dlatego jeszcze w nocy napisałam do pana Laihonena list i wrzuciłam go do skrzynki pocztowej, z której wybierają o piątej rano. Na naszej ulicy pocztę roznoszą już o godzinie dziewiątej. W liście niczego mu nie wyjaśniłam, napisałam jedynie, że jeżeli chce odzyskać swój rękopis, ma o dziesiątej przyjść pod wskazany adres. Zamierzałam spotkać go przy furtce, no, ale zjawił się wcześniej.

— W nocy bardzo źle spałem — wtrącił pisarz. — Byłem zrozpaczony z powodu utraty rękopisu i dlatego niezmiernie się ucieszyłem, gdy rano z okienka pocztowego spadł na podłogę ten list. Co prawda nic z niego nie rozumiałem, ale natychmiast się ubrałem i ruszyłem w drogę, a mój zegarek spieszy się kwadrans, bo inaczej przez to swoje roztargnienie wszędzie bym się spóźniał. Widząc luksusową rezydencję, zaraz nabrałem podejrzeń; dom był tak elegancki, że przy wejściu nie było nawet tabliczki z nazwiskiem. Dlatego podszedłem do schodów kuchennych i zapytałem węglarzy, kto tu mieszka. Zamierzałem faktycznie zadzwonić do drzwi, ale na szczęście

133

w tej samej chwili zza węgła wyłoniła się panna Vanne, ratując mnie przed tą pomyłką. Węglarze poszli, więc zeszliśmy do piwnicy, gdzie zamierzała mi najpierw wszystko wyjaśnić, gdyż od razu rozpoznałem w niej ową piękną nieznajomą. Oto cała historia mojego rękopisu! Pisarz spojrzał pytająco na komisarza.

— No tak... — odezwał się Palmu. — Panno Vanne, czyż nie byłoby prościej zatelefonować rano do pana Laihonena? List mógł przecież nie dojść na czas. Był

wszak poniedziałkowy ranek i pan Laihonen mógł zasnąć.

Jedynie telefon dawał pani pewność, że pisarz stawi się na spotkanie.

Piękna Irma Vanne zrobiła bardzo osobliwą minę.

— Ja... ja w ogóle o tym nie pomyślałam — odrzekła po chwili wahania. — Byłam tak bardzo tym wszystkim przejęta, że nie myślałam szczególnie jasno.

— Bardzo to dziwne! — uznał Palmu. — Bo przecież zainscenizowała pani tę komedyjkę z niebywałym wyra-chowaniem i sprytem.

Komisarz obrócił trzymany w dłoniach kieliszek, po-wąchał koniak ze znanstwem i rozpromienił się.

— Czepiam się drobiazgów — przyznał. — Mam przy-kry zwyczaj wałkowania w kółko jednej i tej samej sprawy.

Może przejdźmy teraz do wczorajszego wieczoru.

— Tak więc o dziewiątej wieczorem spotkaliśmy się u Brunona — zaczęła żywo panna Vanne z widoczną ulgą. —

Z początku byliśmy wszyscy w wyśmienitych nastrojach, nawet inżynier Vaara, a Bruno serwował szampana. Prostota Aima bardzo nas wszystkich rozbawiła, bo chłopak rzeczywiście przyniósł ze sobą kota ciotki, tego stare-134

go, okropnego kocura. Paskudne to było stworzenie, syczało na nas, a oczy miało jak sam diabeł. Ciotka po południu poszła na jakieś zebranie kółka hafciarskiego i Aimo najzwyczajniej w świecie zapłacił jakiemuś andrusowi, aby zapukał do jej mieszkania i powiedział, że pani Amalia Rygseck posyła go po kota, którego chce pokazać przyjaciółkom z kółka. Potem przyszła moja kolej i z wielką dumą opowiedziałam, jak sprytnie dokonałam swojej małej zbrodni. Ale Airi prychnęła, że to była zwykła kradzież, natomiast ona dopuściła się czegoś o wiele gorszego. I pokazała nam wszystkim podpisany przez Brunona dokument, w którym stwierdzał on, że akceptuje około dziesięciu weksli wystawionych przez Aima. Na papierze dokładnie wykazano poszczególne sumy i dni płatności weksli...

— W jaki sposób go zdobyła? — zaciekał się Palmu.

— I my o to pytaliśmy — odrzekła panna Vanne. — Ale Bruno i Airi odmówili wyjaśnień, tak że przynajmniej dla mnie cała ta sprawa była mocno naciągana. Airi powiedziała tylko, że aby zdobyć ten dokument, dopuściła się przestępstwa, jednak oboje z Brunonem przysięgli sobie na wszystkie świętości, że nigdy nikomu nie zdradzą jego szczegółów. Kiedy poprosiliśmy ich o wyjaśnienie natury owego przestępstwa, Airi powiedziała, że był to rodzaj szantażu, natomiast Bruno stwierdził, że jego zdaniem w grę wchodził raczej występki przeciw moralności. I zaraz dodał, że kosztował go ponad sto tysięcy marek, ale nie żałuje, bo podobnego doświadczenia nie nabyłby za żadne pieniądze świata. Powiedział też, że Airi popełniła przestępstwo wbrew własnej woli i wykorzystując, jak się wyraził, jego moralną słabość. Aimo skwitował te

135

wyjaśnienia, nazywając ich patentowanymi bubkami, bo te weksle są jego prywatną sprawą i nikomu nic do tego.

— Nader skomplikowana historia! — ocenił Palmu. —

Coś mi tu mocno śmierdzi!

— Tak samo musiał uznać pan inżynier — rzekła Irma Vanne — gdyż naraz bardzo sposepniał i chyba miał bardzo ponure myśli, bo łypał na Airi groźnie. Bruno poprosił go jako sędziego o opinię i powiedział, że przestępstwo Airi w istocie było o stopień lepsze od kradzieży rękopisu, lecz on, Bruno, pobił wszystkich na głowę. Jego zbrodnia bowiem jest tak obrzydliwa, że nie może o niej mówić, a jedynie na osobności p o k a z a ć coś inżynierowi, po czym ów bez wątpienia przyzna główną nagrodę właśnie jemu. I poszli razem na piętro. Aimo zażartował, że Bruno na pewno ukrył

tam jakieś zwłoki, lecz ani Airi, ani mnie nie było do śmiechu. Chyba obie przeczuwałyśmy, że stanie się coś złego. Zresztą Bruno i tak już nam wszystko popsuł, bo co to za zabawa, gdy nie mogłyśmy się niczego dowiedzieć o popełnionych zbrodniach.

— Zbrodnie rzadko bywają zabawne! — zauważył

Palmu ojcowskim tonem. — Myśleliście, że będziecie się świetnie bawić, a tu się okazało, że to gra zabawiła się waszym kosztem. To było gorsze niż igranie z ogniem.

— A potem nadeszła najdziwniejsza scena całego wieczoru — kontynuowała Irma Vanne. — Nie minęły chyba dwie minuty, a inżynier Vaara zbiegł ze schodów. Był blady jak trup, a oczy pałały mu nienawiścią. Mięśnie twarzy mu drżały, bo z całych sił zaciskał zęby, ale mimo to stanął w drzwiach sali. I bardzo dokładnie pamiętam, co wtedy powiedział: „Bruno wygrał! Lecz już ja się o to 136 postaram, żeby się tym za długo nie cieszył”. I poszedł.

Przestraszona Airi usiłowała go zatrzymać, ale ją odtrącił.

Oczywiście Aimo nazwał go bubkiem, ale inżynier odciął

się, mówiąc, że gdyby był tak kompletnym baranem jak Aimo, to pewnie palnąłby sobie kulą w łeb.

— Co zatem Bruno pokazał inżynierowi Vaarze? — zapytał Palmu.

— Nie mam pojęcia — odrzekła dziewczyna. — Cała ta sprawa była tak żałosna, że aż brak słów. Humory już nam się popsuly i bynajmniej nie poprawił ich fakt, że Bruno, nie bacząc na sprzeciwy, uparł się, że otruje kota ciotki.

Powiedział, że należy się pozbyć corpus delicti Aima i dla zatarcia śladów wrzucić truchło do ścieku.

— Co takiego Aima? — komisarza znów zawiodła znajomość łaciny. Palmu nie czyta powieści detektywistycznych.

— Panna Vanne miała na myśli kota — uznałem, że dla uproszczenia sytuacji najlepiej będzie rzecz od razu wyjaśnić.

— Moim zdaniem otrucie tego kota było okrucieństwem

— rzekła Irma Vanne — choć Bruno powtarzał, że to wredny i paskudny stwór. Podobno starsza pani Ryg-seck karmiła go żywymi ptakami, a poza tym kot drapał dzieci i gryzł służbę.

— Dajmy spokój kotu! — uciął Palmu znudzonym głosem. — Słyszałem już o nim zdecydowanie za dużo. Opowieść panny Vanne jest niewątpliwie interesująca i rzuca pewne światło na charakter Brunona Rygsecka, poza tym jednak nie wyjaśnia nam niczego. Jeśli — i proszę zauważyć, że powiedziałem: jeśli — jego śmierć ma 137

jakikolwiek związek z wczorajszym wieczorem, to była ona istotnie karą niebios, jak się wyraził pan Laihonen. Nie mamy jednak powodu przypuszczać, że ten... hm... osobliwy zgon był następstwem wczorajszych wydarzeń. Pan Vaara jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem na świecie, który wie, jakiej zbrodni dopuścił się przed śmiercią Bruno Rygseck, i jeśli mogę już coś powiedzieć o

charakterze inżyniera, tej tajemnicy nam nie zdradzi. Aima Rykamó łączyły jakieś niejasne zobowiązania wekslowe z kuzynem...

— Aimo gra — przerwała mu panna Vanne. — To na pewno te ich wspólne długi karciane.

— Ponad sto tysięcy marek to spora suma pieniędzy, lecz dla Rygsecków to zaledwie pestka — kontynuował Palmu, ignorując uwagę dziewczyny. — Airi Rykamó z kolei namiętnie coś ukrywa, no i ma przy sobie klucz do tylnych drzwi domu.

— To była dla mnie największa niespodzianka dzisiejszego przedpołudnia — przyznała Irma Vanne. — Nigdy bym się tego nie spodziewała po Airi. — Dziewczyna nieco się zaczerwieniła i rzuciła panu Laihonenowi przeprasające spojrzenie. — Przecież Airi i inżynier są niemal zaręczeni.

Vaara kocha się w niej na zabój.

— Dzisiaj rano nie było tego widać! — zauważył Palmu.

— Kto wie, czy tu się nie kryje *des Pudels Kern*.

Zawsze mnie denerwowało u komisarza to manieryczne popisywanie się znajomością samodzielnie opanowanej niemczyzny, tym razem jednak Palmu chyba trafił w dziesiątkę. Popadliśmy w zadumę i zaległa cisza, jak gdyby jakaś zjawia lodowatym swym tchnieniem wyparła 138

nagle z pokoju całą radość, morderstwo bowiem zawsze pozostaje morderstwem.

— Co wczoraj wieczorem Bruno Rygseck pokazał inżynierowi Vaarze? — zastanawiał się na głos Palmu. — Jeżeli pokazał mu jakiś dowód na to, że uwiódł jego przyszłą żonę, mielibyśmy naturalne wyjaśnienie całej sprawy. Inżynier sam przyznał, że przyszedł do domu Rygsecka, aby dać mu po mordzie. Owe dziesięć minut, które rzekomo spędził na piętrze, czekając na Brunona, w zupełności mu wystarczyło, by zejść do łazienki. Nie zgodził się na rewizję. Robił

wszystko, by podważyć zeznanie Batlera. Zaalarmował

prezesa Rygsecka, dzięki czemu spowodował umorzenie dochodzenia. A zatem — jakie wnioski się wam nasuwają?

— Ale to przecież niemożliwe! — wykrzyknęła za-palczywie panna Vanne. — Inżynier w życiu nie zabiłby człowieka! Airi nie jest dziewczyną, którą Bruno zdołałby uwieść. Brzydziły ją wszystkie jego umizgi!

— Sentymenty! — uciął obcesowo Palmu. — Ja trzy-mam się wyłącznie faktów i oczywistych wniosków. Ale z wielkiej aktywności pana inżyniera można wyciągnąć garść wniosków zupełnie odmiennych od tych, które pani wyciągnęła.

Komisarz Palmu lubi robić wrażenie tajemniczego.

— Czyż to nie osobliwe — podjął dopiero po chwili, aby wypowiedziane słowa zapadły słuchaczom

głęboko w świadomość — że wszystkie osoby zamieszane w ową zbrodniczą zabawę stawily się dziś rano w miejscu wczorajszego spotkania? I to nie tylko osoby zamieszane w nią bezpośrednio, lecz także pośrednio. Jedynie pani Alli Ryg-139

seck nie miała nic wspólnego z tym waszym wieczorkiem. I wspominałem już, że wcale nie musimy zakładać, iż to wczorajsze wydarzenia doprowadziły do śmierci Brunona Rygsecka. Niemniej bardzo chciałbym wiedzieć, co jego żonie dawała ta śmierć.

— Bardzo wiele! — zapaliła się panna Vanne. Było jasne, że nie darzy kobiety taką samą sympatią, jaką odczuwała wobec pana inżyniera. — Gdyby się rozwiedli, dostawałaby jedynie alimenty, co prawda niemałe, ale wy-

łącznie do czasu ponownego zamążpójścia. A teraz, mimo że nie może wejść w posiadanie akcji koncernu, dziedziczy po nim pokaźny majątek. A tylko o tym myślała, gdy za niego wychodziła.

— Zdaje się, że ma pani nie najlepsze zdanie o pani Rygseck? — zagadnął miękko Palmu.

— Co, pana komisarza też już zdążyła oczarować? —

odcięła się złośliwie panna Vanne. — Przecież to niewyobrażalnie wyrachowana i bezwzględna kobieta! Wyszła za Brunona wyłącznie dla pieniędzy. Zresztą on sam nie miał w tym względzie żadnych złudzeń. Liczyła pewnie na to, że tylko trochę się z nim pomęczy, aż Bruno zapije się na śmierć. Ale on się okazał sprytniejszy od niej. Bruno...

Bruno był anormalny we wszystkim, więc bardzo dobrze czuł się w tym anormalnym małżeństwie, dopóki trwało.

— Mroczne strony... — zaczął pisarz Laihonen, lecz przypomniał sobie o obecności panny Vanne i umilkł.

— Nie należy jednak zapominać o Batlerze — zauważył

Palmu, kierując coraz bardziej nieprzyjemną rozmowę na inne tory. — Ten lokaj to mroczny typ, a jego zachowanie stawia go w bardzo niekorzystnym świetle. Poza tym 140

mógłbym się założyć, że mnie okłamał w jednej kwestii.

Służy u Brunona Rygsecka od dwóch lat, a wiadomo, że kto z kim przestaje, takim się staje... A skoro o tym mowa

— uderzył zniecka Palmu — już dawno miałem panią zapytać, panno Vanne, dlaczego w ogóle przestawała pani z Brunonem Rygseckiem, choć dobrze pani wiedziała, że to zły człowiek?

Nie miałem wątpliwości — Palmu ugodził celnie. Piękna Irma Vanne uniosła z przekorą swój ślicznie wyprofilowany podbródek.

— Pije pan zapewne do tego, że jestem z dobrego domu, że odebrałam porządne wychowanie i tak

dalej?

— odrzekła zgryźliwie. — Niestety, dobrzy ludzie mają tę przykrą wadę, że są okropnie nudni. Ludzie źli są od nich dużo zabawniejsi i bardziej fascynujący. A Bruno Rygseck był zabawny, temu nikt nie zaprzeczy. Zawsze dowcipny, zawsze potrafił wymyślić coś nowego, czymś zaskoczyć.

Nawet ta jego zła strona miała w sobie coś zaraźliwego.

Może dlatego, że nigdy się nie starał ukrywać swych sła bości. Z tego samego powodu przyjaźniła się z nim Airi, choć pod pewnymi względami napawał ją obrzydzeniem.

— Droga panno Vanne — odezwał się Palmu z ojcowską serdecznością — pytam panią o to wyłącznie dlatego, że chciałbym mieć o pani jak najlepsze zdanie. Ale jak mówi stare przysłowie, ciągnie swój do swego. Dlatego trudno się oprzeć mimowolnemu podejrzeniu, że osoby, które szukają towarzystwa ludzi złych, same są z grun tu złe. A źli ludzie nie zawsze są tacy zabawni, jak się pani zdaje. Jest pani z wielu powodów dziewczyną bardzo atrakcyjną i życie obdarowało panią nader szczerze. Uro-141

da, bogactwo, dobry dom, przyjaciele, może nawet miłość, gdy nadejdzie czas. I dlatego byłoby mi bardzo przykro, gdybym zaczął kiedyś podejrzewać, że jest pani w głębi duszy osobą złą.

Palmu mówił pięknie i serdecznie, aż w pięknych oczach wzruszonej dziewczyny zalśniły łzy. Odniosłem wrażenie, że Irma Vanne bije się z myślami i że zaraz coś powie.

Palmu czekał cierpliwie, wpatrując się w nią badawczo, lecz żadne słowa nie padły.

A potem nie rozmawialiśmy już o Brunonie Rygsecku. Po koniaku Palmu się rozrzewnił i zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie i karierze zawodowej, która wyniosła go na stanowisko komisarza wydziału kryminalnego w helsińskiej policji. Również Kokki odsłonił przed nami zakamarki swej duszy, śpiewając nam *Oczy niebieskie jak jesienna noc* od pierwszej do ostatniej zwrotki, a kiedy wychodziliśmy, pożyczył od komisarza sznurek, który oplatał rękopis, i zaciągnął od zewnątrz zasuwkę w drzwiach toalety, co na pewno przysporzyło później personelowi hotelu wielu niepotrzebnych zmartwień.

I to w zasadzie wszystko, co mam do powiedzenia o lunchu w klubiku hotelu Kamppi. Wyszliśmy i rozeszliśmy się, jak to w życiu bywa, i gdy ostrożnie stawiając stopy, wchodziliśmy cicho po wytartych schodach naszej komendy przy helsińskim Rynku, zegar na wieży katedry wybijał

właśnie czwartą. Oczy Kokkiego przywodziły na myśl gotowaną rybę, a Palmu, przybrawszy surową minę urzędnika państwowego, roztaczał wokół siebie ciepłą woń koniaku i cygar. Nie mam wątpliwości, że stanowiliśmy żalosne widowisko.

142

W każdym razie tak musiał to odebrać porucznik Ha-gert, bo gdy tylko weszliśmy do pokoju komisarza, skoczył jak oparzony i zakrył oczy dłonią, jak gdyby nie wierzył temu, co właśnie zobaczył. Najwyraźniej na nas czekał i popsuł

tym sobie zupełnie nerwy, bo włosy miał potargane, a w jego przekrwionych oczach pałał wielki gniew.

— Palmu, gdzieś ty się podziewał?! — ryknął. — Od pół

godziny biegam po całej komendzie, a ciebie nigdzie nie ma! Przez ciebie cały wydział poszedł w rozsypkę!

— Byliśmy w Kamppi na lunchu — odparł dostojnie Palmu.

Hagert przeszył go wzrokiem.

— Na lunchu! — prychnął głosem drżącym z napięć. — W godzinach pracy! Pijani jak drozdy! I to samo chodem!

Palmu milczeniem potwierdził zarzuty porucznika.

Hagert zrobił głęboki wdech, lecz ręce ciągle mu się trzęsły.

W końcu jednak nad sobą zapanował. Chyba mu się spieszyło.

— Później o tym porozmawiamy! — warknął. — A teraz w te pędy jechać mi z powrotem do domu Brunona Rygsecka!

— Przecież chłop już nie żyje! — sprzeciwił się Palmu z wyrzutem. — Dziś rano poniósł śmierć w nieszczęśliwym wypadku, co pan porucznik był łaskaw telefonicznie mi oznajmić. Już nic tam po nas!

— Palmu! — jęknął porucznik Hagert i potrząsnął go błagalnie za ramię. — Nie ma czasu na żarty! Pół godziny temu zatelefonował do mnie inżynier Vaara. Pani Alli Rygseck połknęła truciznę i wyzionęła ducha!

Detektyw Kokki wsadza głowę pod kran, zaś komisarz Palmu obawia się organizmów. • Kolejny nieszczęśliwy wypadek i dwa niedopałki przy ciele denatki. • Amalia Rygseck inwentaryzuje srebra, a Batler nalewa w zlej kolejności. • Aimo Rykamó wypowiada się o własnościach cyjankali. natomiast Batler zaprzecza, jakoby jego pan kolekcjonował

owady. • Nieszczęśliwy wypadek, nieumyślne spowodowanie śmierci czy zabójstwo? • Doktorek traci nerwy i Palmu łapie Batlera za kołnierz.

Wydaje mi się, że wytrzeźwieliśmy w mgnieniu oka.

— A11 i Rygseck? — powtórzył bezgranicznie zdumiony Palmu, gapiąc się przed siebie. — Toż... toż to czysty absurd!

Kokki podszedł do umywalki przy ścianie, przekręcił

kran i pokornie skłonił głowę, wsadzając ją pod strumień.

— Może jednak nie powinniśmy byli przerywać tego dochodzenia? — rzekł Hagert posępnie w przyływie głę-

bokiej samoświadomości.

— Nie powinniśmy? — powtórzył Palmu, unosząc brwi i robiąc złośliwą minę. Więcej już jednak nie kopał leżącego i bardzo go za to szanuję, bo człowiek o słabszym charakterze nie oparłby się pewnie pokusie, by wykorzystać nadarzającą się sposobność. — Chłopczy, idziemy!

144

— rzucił krótko i już po chwili byliśmy z powrotem na schodach, komisarz bowiem uznał, że szkoda czasu na formalności i nie spytał nawet, czy możemy wziąć auto.

Kokki schodził na końcu. Z włosów kapłała mu woda, ale robił wszystko, by mieć jako tako inteligentny wyraz twarzy.

Palmu wsiadł do wozu z olimpijskim spokojem i wbił

spojrzenie w mokry kark Kokkiego. Z początku nie śmiałem go niepokoić, w końcu jednak moja gadatliwość wzięła górę.

— Teraz to pewnie sprawa szybko się wyjaśni? — podsunąłem cicho myśl.

— Wyjaśni? — Palmu rzucił mi kątem oka miażdżące spojrzenie. — Jeżeli już przedtem wszyscy, co do jednego, łgali jak najęci, to wyobraź sobie, jakie będą nam teraz urządzić organizmy łgarstwa!

— Chyba orgie? — zaproponowałem. — A kogo komisarz ma konkretnie na myśli?

— Wszystkich! — powtórzył kategorycznie Palmu. —

Nie mówię, że kłamali jedynie inżynier Vaara i panna Ry-kamó, to dostrzegłoby nawet pięcioletnie dziecko. Bo kłamał też Batler i kłamał prawdopodobnie Aimo Rykamó, a najbardziej mnie smuci to, że nawet panna Vanne uznała, że musi mnie okłamać, choć poza tym to naprawdę bardzo czarujące dziewczę. I jak tu nie myśleć ciągle o istnieniu zła?

— Panna Vanne? — byłem zdruzgotany, bo wspomnienie jej czerwonych ust wciąż nie dawało mi spokoju.

— Dlaczego

najpiękniejsze

oczy

muszą

zawsze

naj-paskudniej kłamać? — zadumał się głośno komisarz, 145

a w jego głosie zabrzmiała niemal nutka rozrzewnienia. I naprawdę nie wiedziałem już, co mam o tym wszystkim myśleć.

Ale też nie musiałem myśleć zbyt wiele, Kokki bowiem włączył syrenę i ruszył jak szalony.

Masywne mahoniowe drzwi znanego nam już domu otworzył Batler, który trzął się jak osika. W holu wyszedł

nam naprzeciw inżynier Vaara, a jego nastawienie było wyraźnie inne niż ostatnim razem, gdy się widzieliśmy.

Drzwi sali pozostawił otwarte i w głębi dostrzegliśmy siedzącą jak na szpilkach starszą panią Rygseck oraz dzieci jej brata, Airi i Aima Rykamó. Zanosiło się ponownie na komplet.

— Panie komisarzu! — odezwał się mężnie Erik Vaara, choć twarz miał wyraźnie pobladłą. — Jestem panu winien przeprosiny. Doszło bowiem do kolejnego nieszczęśliwego wypadku.

— Wy p a d k u? — powtórzył zgryźliwie Palmu, mrużąc oczy. Lecz inżynier nie zwrócił na to uwagi.

— Tak — potwierdził. — I niewykluczone, że to przeze mnie, bo kto wie, czy nie zdołalibyśmy mu zapobiec, gdyby pańskie dochodzenie nie zostało przerwane. Dowodzi to również, że ktoś rzeczywiście dybał na życie Brunona Rygsecka, a zatem pańskie podejrzenia, panie komisarzu, okazały się słuszne.

Z jego oczu wyzierał ból, a ręce drżały mu z przejęcia.

Lecz Palmu był bezwzględny.

— Dajmy temu spokój! — rzucił nieuprzejmie. — Gdzie zwłoki?

Inżynier Vaara pokornie wskazał na schody w holu.

146

— Zanieśliśmy ją na górę, do gościnnego, jej dawnego pokoju — odrzekł, ścisząc taktownie głos. — Lecz prawdopodobnie już wówczas nie żyła. Zebraliśmy się tutaj, aby omówić plan działania po śmierci Brunona Rygsecka, i siedzieliśmy sobie spokojnie w sali...

— Wrócimy do tego później! — uciął rozkazująco Pal-mu. Komisarz zajmuje się zawsze wszystkim po kolei.

Inżynier Vaara bez szemrania zaprowadził nas na piętro.

Kolejne nieszczęście znacznie utemperowało jego pewność siebie.

Drzwi prowadzące z holu na piętrze do pokoju gościnnego były otwarte. W środku pochylał się nad łóżkiem niewysoki dżentelmen w ciemnym garniturze. Przy łóżku stała torba lekarska, na pościeli zaś spoczywała w pełnym ubraniu prawie rozwiedziona żona Brunona Rygsecka, a raczej smutna pozostałość po jej doczesnej urodzie. Usta kobiety przypominały przerażające krwistoczerwone krechy na sinej mimo pudru twarzy, a wystające spomiędzy nich lśniące, perłowe zęby wyglądały jak wyszczerzone kły.

Powiedziałbym, że śmierć wydobyła na jej oblicze głęboko skrywaną twardość i bezduszną kalkulację. Zwłoki pani Alli Rygseck nie przedstawiały pięknego widoku.

Niewysoki dżentelmen odwrócił się ku nam i inżynier Vaara dokonał prezentacji. Mały doktor był lekarzem rodzinnym Rygsecków, który tego samego dnia rano doradzał

przez telefon, by Brunona Rygsecka przewieźć do szpitala.

— Rodzaj natychmiastowego wewnętrznego uduszenia — rzekł doktorek ze wzburzeniem i wcale mu się nie dziwiłem, gdyby bowiem sprawy miały się dalej toczyć 147

tym trybem, jego klienteli groziło drastyczne przetrzebienie.

— Trucizna wypaliła błonę śluzową ust, dostrzegłem na niej niewielkie bąble. Jeżeli pan komisarz zechce się pochylić, wyczuje pan jeszcze przy ustach słaby migdałowy zapach.

— Kwas pruski — skwitował Palmu, lecz nie pochylił

się nad ciałem i nawet nie spojrzał na zwłoki, gdyż nie odrywał wzroku od stolika nocnego przy łóżku i znajdującej się na nim popielniczki.

— Na to wygląda — zgodził się doktorek, zacierając nerwowo dłonie. — Można domniemywać, że był to cyjanek potasu. Szybko rozpuszcza się w płynie, a w zetknięciu z tlenem daje kwas pruski. Oczywiście dopiero otwarcie zwłok pozwoli na dokładniejsze...

— Czy pan tu palił papierosy? — przerwał mu niegrzecznie Palmu.

Doktorek zrobił nagle obrażoną minę i nerwowo po-ciągnął za łańcuszek zegarka.

— Dopiero co wszedłem, a nie mam w zwyczaju...

— zaczął, lecz Palmu znów mu przerwał:

— I domyślam się, że gdy pani Rygseck znalazła się tutaj, nie była już w stanie palić papierosów?

— Bez wątplenia już nie żyła, zanim ją tu wniesiono

— odrzekł cierpko lekarz.

Inżynier Vaara uznał, że pora na mediację.

— O ile mi wiadomo, nikt tutaj nie palił — wtrącił

pojednawczo. — Byłoby to zresztą wysoce niestosowne.

Pokoju od dawna nie używano. Drzwi były zamknięte od zewnątrz na klucz, gdy wnieśliśmy ciało... panią Rygseck na piętro.

148

Palmu nic nie powiedział. Wyjął tylko z kieszeni chusteczkę do nosa i chwytając przez materiał barwną popielniczkę, uniósł ją ze stolika i wyszedł z nią z pokoju. W

holu wyjął z kieszeni klucz do gabinetu, otworzył drzwi i postawił popielniczkę na półce. Następnie zamknął drzwi z powrotem na klucz i ruszył schodami na parter, kiwnąwszy głową na mnie i inżyniera Vaarę, byśmy poszli za nim.

Twarz miał smutną i kwaśną, jak gdyby uzmysłowił sobie przed chwilą coś bardzo przygnębiającego.

W popielniczce znajdowały się dwa filtry wypalonych papierosów z czerwonymi śladami po szmince. Tyle zdążyłem sam zauważyć, lecz co popielniczka powiedziała komisarzowi, tego bym się nie domyślił do samej śmierci.

Nastrój w sali był — jeżeli to możliwe — jeszcze bardziej napięty niż rano. Barek stał pośrodku pomieszczenia i wszyscy obecni odsunęli się od niego, jak tylko mogli najdalej. Fotel, w którym jeszcze rano siedziała pani Alli Rygseck, ział teraz straszliwą pustką. Obok niego na pod-

łodze leżał kieliszek do wina, a przy nim widniała na dywanie nieduża ciemna plama, która nie zdążyła jeszcze wyschnąć. Miałem wrażenie, że wyczuwam w powietrzu ulotną woń migdałów.

Palmu stanął zdecydowanie w progu z rękoma założonymi do tyłu i bezceremonialnym skinieniem głowy posłał

mnie za stół, aby łatwiej mi było notować. A potem tonem nie znoszącym sprzeciwu zarządził:

— Panie inżynierze, proszę opowiedzieć, jak to było!

Reszta: proszę dopowiadać, jeśli spostrzeżecie, że pan Vaara coś przeoczył! Nawet błahostki mają znaczenie.

149

— Przecież tu nie ma nic do opowiadania! — inżynier Vaara próbował się rozeźlić. — Niechże pan komisarz ze chce łaskawie spojrzeć na butelkę absyntu.

Palmu przerwał mu gniewnym ruchem ręki.

— Proszę od początku! — warknął. — Jak pan się tu znowu znalazł?

Inżynier się usztywnił, nie przywykł bowiem do takiego traktowania. Zdało mi się, że na twarzy starszej pani Rygseck pojawił się cień uśmiechu, jak gdyby skrycie ba-wiło ją, że pan inżynier dostał po uszach. Ten jakoś się opanował i podjął zeznanie:

— Pan prezes Rygseck, mój przełożony, wyznaczył

mnie, abym go reprezentował podczas rozmów o koniecznych przedsięwzięciach po śmierci Brunona Rygsecka. Jak panu być może wiadomo, pan prezes utyka na jedną nogę i bardzo niechętnie wychodzi ze swojego gabinetu bez naglącej potrzeby. Z jego polecenia zaprosiłem tutaj na godzinę piętnastą trzydzieści panią Amalię Rygseck oraz Aima, no i... hm... Airi. Są to przecież, poza panem prezesem, jedyni krewni zmarłego. Poprosiłem też panią Amalię, aby tymczasem zaopiekowała się domem, w którym pozostała sama służba.

— Już zinwentaryzowałam srebra — wtrąciła starsza pani Rygseck. Nie zazdrościłem Batlerowi.

Inżynier Vaara nie lubił, gdy mu przerywano, skoro już zdecydował się mówić.

— Musiałem oczywiście zaprosić na spotkanie także panią Alli Rygseck — ciągnął sztywno. — Z prawnego punktu widzenia rozwód jeszcze nie nastąpił, a zatem dziedziczy ona... hm... dziedziczyła po mężu na zasadach 150

określonych w intercyzie. Kiedy wszyscy już się zebraliśmy, rozmawialiśmy z początku... hm... o sprawach praktycznych: organizacji pogrzebu, formie nekrologu i tym podobnych kwestiach. Potem jednak powstała niezręczna sytuacja. Pani Alli Rygseck ubzduriała sobie mianowicie, że odziedziczyła po mężu również dom z całym majątkiem ruchomym, i stwierdziła stanowczo, że w najbliższych dniach z powrotem się tu wprowadzi. Była jednak w błędzie, gdyż intercyza mówi wyraźnie, że żona nie może rościć takiego prawa.

Dom jest porządnie zbudowany, a działka ma dużą wartość, więc

to

najzupełniej

naturalne,

że

nieruchomość

pozostanie... hm... w rękach rodziny.

— A zatem co tak naprawdę odziedziczyła po mężu pani Alli Rygseck? — zagadnął zaciekawiony

Palmu.

— Miała otrzymać jednorazowo sporą sumę w gotówce, a dodatkowo koncern Rykamó zobowiązał się wypłacać jej do śmierci rentę, i to... hm... niemała, będącą bowiem swoistą rekompensatą za to, że nie może dziedziczyć akcji koncernu. Ten bowiem z mocy testamentu jego założyciela pozostaje spółką rodzinną.

— A co dostałaby po rozwodzie? — indagował Palmu.

Starsza pani Rygseck stuknęła parasolem w podłogę.

— Zdaje się, że zbaczamy z tematu! — warknęła.

— Dostałaby rentę — wyjaśnił inżynier przepaszająco.

— Którą wypłacano by do czasu jej ponownego zamąż-pójścia.

— A zatem śmierć pana Rygsecka przydarzyła się kobiecie w nader dogodnym momencie — skonstatował

chłodno Palmu. — Na śmierci męża zyskałaby znacznie 151

więcej niż na rozwodzie. Gdyby dane jej było choć trochę jeszcze pożyć, rzecz jasna!

Gruby nietakt komisarza musiał dotknąć obecnych, tym bardziej że złożone na piętrze zwłoki nie zdążyły jeszcze ostygnąć. Inżynier Vaara się zmieszał, lecz Amalia Rygseck przytaknęła niewyszukanym skinieniem głowy.

— Tak czy owak pani Rygseck nie miała żadnych praw ani do tego domu, ani do znajdujących się w nim ruchomości

— podsumował inżynier z nutą irytacji w głosie. —

Poddałem pod rozwagę propozycję, że prawowici spadkobiercy mogliby wyrazić zgodę na zabranie z domu pewnych przedmiotów... hm... pamiątkowej wartości, niestety to jej nie zadowoliło. Pani Rygseck, że tak powiem, twardo obstawała przy swoim.

— Kto zatem jest w końcu owym prawowitym spadkobiercą? — Palmu przeszedł do meritum.

Inżynier jeszcze bardziej się zmieszał.

— Prawowitymi spadkobiercami są stryj zmarłego, pan prezes Rygseck, ciotka zmarłego, pani Amalia Rygseck, oraz żyjący krewni zmarłego, czyli pan Aimo Rykamó i jego siostra, panna Rykamó. Pierwsi z wyżej wymienionych, pan i pani Rygseck, dziedziczą... hm... po jednej trzeciej, zaś pan i panna Rykamó po jednej szóstej masy spadkowej. Jednak mimo że kwestia domu była... hm...

najzupełniej oczywista, pani Alli Rygseck urządziła nam tutaj bardzo nieprzyjemną scenę. Zaczęła

krzyczeń, że do maga się sprawiedliwości i że dom Brunona to pryszcz w porównaniu z resztą spadku. Łączyły ją rzekomo z tym miejscem wszystkie szczęśliwe wspomnienia z początków małżeństwa, a że dom był własnością Brunona, należał

także niejako i do niej.

152

— Brednie! — prychnęła Airi Rykamó z nie pasującą do niej szorstkością. — Jej wspomnienia, dobre sobie! Ani trochę jej na nim nie zależało, nigdy!

Inżynier spojrzał na dziewczynę ze wzdargą.

— Jak już powiedziałem — podjął pospiesznie — powstała bardzo niezręczna sytuacja. Pani Rygseck krzyczała i płakała jednocześnie, powtarzając przy tym, że dobrze wie, co zrobi...

— Pan inżynier chce po prostu powiedzieć, że Alli wpadła w histerię — przerwała mu znów dziewczyna. —

Pan Vaara w ogóle się nie zna na kobietach.

Inżynier spłoszował.

— Kto ma teraz głos, ty... czy ja? — zapytał, z trudem nad sobą panując.

Airi Rykamó wzruszyła ramionami i obróciła się do niego bokiem, jak gdyby chciała mu dać do zrozumienia, że nie będzie więcej tracić słów na rozmowę z nim. W ciągu tych kilku godzin w dziewczynie zaszła jakaś zmiana, stała się zimna, twarda i bezlitosna. Na szczęście jej brat pospieszył z mediacją.

— Nie zachowujcie się znowu jak bubki! — zganił ich pojednawczo, używając raz jeszcze swego ulubionego sło-wa. — Sprawa jest tego typu, że wszyscy byliśmy trochę zdenerwowani, a wtedy postanowiliśmy sobie z cicią Amalią łyknąć po jednym. To jest ciocia Amalia powiedziała, że warto by się czegoś napić, a ja...

— Aimo! — zgromiła go starsza pani Rygseck. Młodzieniec zamilkł, ona zaś zwróciła się do komisarza: — Lepiej rozmawia się w spokoju, więc dla odwrócenia uwagi od stanu psychicznego Alli... to jest... pani Rygseckowej, po-153

stanowiliśmy się napić po lampce wina. Gdy Batler przyniósł nam kieliszki...

— Batler? — brwi komisarza uniosły się po same włosy, znamionując nadciągającą burzę z piorunami. — To nawet B a t l e r uczestniczył w rozmowach?!

— Zadzwoiłem tylko po niego, aby nam przyniósł

kieliszki! — wyjaśnił sztywno inżynier. — Batler nam usługiwał!

— To dlaczego pan, do diabła, od razu tak nie mówi?!

— zeżlił się Palmu.

Zaraz też wcisnął na długo przycisk dzwonka. Wkrótce potem rozległo się taktowne pukanie do drzwi i w sali pojawił się uprzedzająco grzeczny, choć wciąż ziemisty na twarzy lokaj. W progu znieruchomiał i spojrział z szacunkiem na komisarza, oczekując poleceń.

— W chwili śmierci pani Rygseckowej obsługiwał pan gości — rzekł komisarz. — Proszę opowiedzieć, jak to się wszystko odbyło.

— Odbyło się to wszystko w zupełnie niewłaściwym porządku — padła zaskakująca odpowiedź. — Wiek i pozycja społeczna starszej pani Rygseck wymagały, bym najpierw obsłużył ją, lecz chwilę przedtem doszło do wymiany zdań i starsza pani Rygseck wyraźnie mi poleciła nalać najpierw absyntu pani Rygseckowej.

— Nieprawda! — sprzeciwiła się pani Amalia Rygseck głosem piskliwym z przejęciem. — Na pewno nie kazałam panu częstować jej trucizną!

— Nikt z nas przecież nie wiedział, że absynt jest zatruty

— uspokoił ją pospiesznie inżynier Vaara. — Przecież to butelka Brunona! Może najlepiej będzie, jak ja wyjaśnię, panie komisarzu. A więc gdy Batler wyszedł po 154

kieliszki, Aimo, to jest pan Rykamó, zaczął sobie stroić żarty i jeździć barkiem po całej sali, pytając każdego, co ma podać do picia. Przy pani Amalii Rygseck wziął w rękę butelkę absyntu, pokazał jej francuską etykietę i zaczął zachwalać trunk.

— Przecież to była tylko zabawa! — wtrącił Aimo Rykamó, czerwieniejąc na twarzy. — Bruno zawsze to żłopał

dzień po przepiciu. Jak się to pije tyle lat bez przerwy, można stracić rozum!

— Aimo! — wyrzekła wolno starsza pani Rygseck i uniosła parasol, jak gdyby chciała zważyć go w dłoni.

— Co ci chodziło po głowie, gdy mi proponowałeś to dia-belstwo?

Aimo Rykamó poczerwieniał jeszcze bardziej i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

— To... to był taki żart, no... — odpowiedział słabym głosem.

Do pani Amalii Rygseck zaczęło stopniowo docierać, co mogło się z nią stać, gdyby Aimo postawił na swoim.

Młodzieniec również uprzytomnił sobie wreszcie, że jego poczucie humoru wywarło na nas wszystkich bardzo silne wrażenie.

— Nie zachowujcie się jak bubki! — palnął i cofnął

się dwa kroki. — Chyba nie myślicie, że chciałem otruć ciocię?

Na samą myśl wybuchnął śmiechem. Zaraz jednak zamilkł pod lodowatym spojrzeniem wylupiastych oczu starszej pani Rygseck. Na ratunek pospieszył inżynier Vaara.

— Pani Amalia Rygseck kategorycznie odmówiła ulu bionego trunku Brunona i poprosiła o kieliszek madery

— wyjaśnił. — Jednak pani Alli Rygseck, która w czasach 155

małżeństwa przywykła do spożywania absyntu w towarzystwie męża — bo też Bruno nikomu innemu zazwyczaj go nie proponował — powiedziała, że chętnie się go napije po długiej przerwie. W tejże chwili Batler wniósł szkło.

Widząc butelkę absyntu w ręku Aima, Batler powiedział, że zaraz przyniesie większy kieliszek, bo pan Rygseck miał w zwyczaju pić absynt z wodą. Pani Rygseck odrzekła jednak, że może pić absynt bez wody, a wtedy Aimo napełnił

zwykły kieliszek i podał jej. W tym czasie Batler nalewał

madery pani Amalii Rygseck i Airi. Aimo i ja podeszliśmy do barku, by napić się koniaku, i Aimo pochylił się właśnie, napełniając kieliszki. Najwyraźniej pani Rygseck zdążyła w tym czasie skosztować absyntu, bo coś mruknęła i Aimo, z butelką koniaku w ręku, odwrócił się do niej i zapytał, czy nie sądzi, że absynt ma okropny anyżowy smak. Wtedy pani Rygseck upiła jeszcze raz ze swojego kieliszka i odrzekła ze zdziwieniem: „Nie, smak ma zupełnie migdałowy!”. I w tejże chwili jej twarz potwornie się zmieniła, kobieta uniosła się szybko w fotelu i otworzyła usta. Kieliszek wypadł jej z dłoni i osunęła się na podłogę, nie wydając z siebie żadnego odgłosu.

Inżynier Vaara mimowolnie się wzdrygnął, a na jego twarzy odmalował się lęk. Opowieść pobudzała wyobraźnię w przerażający sposób.

— Wszyscy byliśmy bezbrzeżnie zdumieni — podjął po chwili już wolniej i wzruszył ramionami. — Batler pomógł

nam zanieść ją na piętro do nie używanej sypialni i oczywiście od razu zatelefonowałem po doktora. Z początku sądziłem, że tylko zemdląca, ale wszyscy wyraźnie czuliśmy zapach migdałów. Airi i Aimo od razu się

156

zorientowali, że to cyjanek potasu. Dopiero wtedy się dowiedziałem, że wczoraj wieczorem Bruno otrął kota pani Amalii Rygseck, a słoiczek z trucizną gdzieś przepadł.

— Nikt mi do tej pory nawet nie pisał o cyjankali —

stwierdził cierpko Palmu.

— To było cyjankali! — potwierdził przejęty Aimo Ry-kamó. — To potwornie niebezpieczna trucizna. Pod wpływem kwasu żołądkowego zmienia się w kwas pruski i wystarczy odrobina, żeby zabić człowieka.

— A skąd p a n to wie? — zagadnął go spokojnie komisarz.

Chłopak trochę się zmieszał.

— Bruno mi wczoraj powiedział — próbował zachować swój niewinny ton. — No bo chciał otruć tego kota, więc wtedy przyniósł z gabinetu jakiś słoiczek i wyjaśnił mi, co w nim jest. Idę o zakład, że w absyngie jest tego tyle, że można by nim wytruć cały regiment! Słoiczek był prawie pełny.

— Słoiczek... słoiczek! — rozzłościł się Palmu. — Skąd, u diabła, Bruno Rygseck wytrzasnął taką ilość cyjanku?

Przecież apteki nie sprzedają go w workach!

Batler delikatnie chrząknął.

— Mam powody przypuszczać, że mój pan dostał latem pewną ilość cyjanku potasu z apteki na podstawie oświadczenia, że zamierza kolekcjonować owady. Bawiła go myśl, że ma u siebie w szafie niebezpieczną truciznę.

— No i zaczął zbierać te owady? — zdenerwował się Palmu.

— Mam powody przypuszczać — odrzekł niewzruszony lokaj — że mój pan wcale nie zamierzał tego robić.

157

Palmu wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, ale Batler najwidoczniej już skończył. Zniecierpliwiony komisarz wzruszył ramionami i wrócił do rzeczy:

— Co to był za słoiczek?

Okazało się, że Bruno Rygseck przechowywał truciznę w zwyczajnym porcelanowym słoiczku aptecznym, który oprócz zwykłej etykiety z nazwą był opatrzony wize-runkiem trupiej czaszki, aby nie dopuścić do tragicznej pomyłki. Jednakże nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie się obecnie znajduje. Aimo Rykamó wysunął przypuszczenie, że gdy poprzedniego dnia wieczorem w domu zjawiała się niespodzianie ciotka Amalia, słoiczek musiał być gdzieś w sali, i to w widocznym miejscu. Natomiast Batler, który rano tam sprzątał, kategorycznie temu zaprzeczył, gdyż nigdzie go wtedy nie widział. Przyznał jednak, że starsza pani Rygseck i pani Rygseckowa zjawily się w sali w trakcie robienia porządków. Lokaj przypuszczał, że wieczorem pan Bruno przed udaniem się na spoczynek zabrał słoiczek ze sobą i schował go gdzieś w gabinecie. Przypuszczenie to klóciło się jednak z wcześniejszą opowieścią panny Vanne o epilogu wieczoru, lecz Palmu nic nie powiedział.

Ja z kolei byłem przekonany, że słoiczek został w sali i mógł go zabrać każdy, kto tylko tam wszedł.

Po wyczerpującym omówieniu sprawy słoiczka inżynier mógł wreszcie zakończyć swoją relację.

— Kiedy usłyszałem o cyjanku potasu — rzekł —

uznałem, że moim obowiązkiem jest powiadomić policję kryminalną. Stało się bowiem jasne, że ktoś w istocie dybał na życie Brunona i że należy wszcząć drobiazgo we dochodzenie, gdyż ofiarą truciciela padła niewinna

osoba. Chcę przez to powiedzieć, że z prawnego punktu widzenia w grę może tu wchodzić nieumyślne spowodowanie śmierci, a wówczas osoba, która dosypała cyjanek do butelki z absyntem, powinna zostać ukarana, choć jej ofiarą padł kto inny.

Mówiąc to, inżynier świdrował wzrokiem Batlera, który zaczął niespokojnie przestępować z nogi na nogę.

— Dajmy sobie spokój z prawnymi punktami widzenia!

— zawyrokował Palmu. — A zatem, panie Vaara, pańskim zdaniem pani Alli Rygseck zginęła przez pomyłkę. Trucizna była przeznaczona dla jej męża i tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że to ona się otruliła?

— Przecież to jasne jak słońce! — prawie wykrzyknął

zniecierpliwiony inżynier i spojrzał na komisarza niemalże z politowaniem, zdziwiony jego umysłową ociężałością. —

Nikt inny w tym domu poza Brunonem nie pił absyntu. A mor... to jest, chciałem powiedzieć, nikt nie potrafiłby przewidzieć, że akurat dziś rano Bruno zginie w nieszczęśliwym wypadku.

— Tę sprawę należy wyjaśnić od początku do końca! —

orzekła kategorycznie starsza pani Rygseck. — Równie dobrze ja mogłam paść ofiarą głupiego poczucia humoru Aima!

Aimo Rykamó wzdrygnął się i znów zaczerwienił. Ale Palmu zupełnie go zignorował. Pocierał bowiem właśnie swój mocny podbródek i patrząc gdzieś w dal, mówił jakby do siebie:

— Słoiczek trzeba odnaleźć. Zwłoki zabrać do prosek torium. Butelkę z absyntem dać do przebadania chemikom. I cieszyłbym się bardzo — Palmu zawiesił na chwilę

głos, spoglądając w zamyśleniu na żyrandol — gdyby odnalazł także broń, którą morderca ogłuszył Brunona Rygsecka, nim wepchnął go do basenu!

Więc jednak! Wreszcie zostało to powiedziane na głos i przy świadkach. Nastrój w sali ściał lodowaty chłód.

Pierwszy równowagę odzyskał inżynier Vaara.

— Jest pan bardzo uparty, panie komisarzu! — powiedział z wymuszoną lekkością. — Oczywiście, wszyscy jesteśmy gotowi spojrzeć prawdzie w oczy i śmierć pani Rygseck usprawiedliwia różne podejrzenia. Ale czyż ob-stawanie przy tej osobliwej hipotezie, jakoby Bruno Rygseck został zamordowany, nie komplikuje aż nadto całej tej historii?

— Przecież Bruno utopił się w basenie! — wtrąciła piskliwie rozeźlona Amalia Rygseck.

— Panie komisarzu! — zagłuszył ją szybko inżynier. —

Powinienem chyba panu nadmienić, że Batler jest gotów sprostować swoją omyłkę. Po dokładniejszym namyśle nie jest już wcale taki pewien, że przekreślił włącznik.

Lokaj niepewnie postąpił krok naprzód, bo kolana miał

jak z waty, i lekko się skłonił.

— To prawda, panie komisarzu! — powiedział ze wzrokiem wciąż uparcie wbitym w ziemię. — Nie przekreślałem tego włącznika!

— Włącznik, znów ten włącznik! — zdenerwowała się starsza pani Rygseck. — Chciałabym się wreszcie dowiedzieć, po co to całe głędzenie o włączniku!

— Bubki! — orzekł lakonicznie Aimo Rykamó i popukał

się

palcem

w

czoło.

—

Bubki

patentowane!

Fiksum--dyrdum, wszyscy po kolei!

160

— Mam jednak nadzieję, że nie zacznie mnie pan za raz przekonywać, iż ktoś wsypał cyjanku do absyntu przez roztargnienie — rzekł złośliwie Palmu. — Sądzi pan, pa nie inżynierze, że sprawa się uprości, gdy uznamy śmierć pana Rygsecka za nieszczęśliwy wypadek. Obawiam się jednak, że tak

wielu osobom mogło zależeć na tym, by Bruno Rygseck rozstał się z tym światem, iż w razie potrzeby jestem gotów szukać nawet dwóch morderców: jednego, który zamierzał go otruć, i drugiego, który zdążył go ubiec. Przedtem jednak chciałbym wiedzieć, kto z y s k a ł na śmierci jego żony.

Przerwało mu pełne zdumienia prychnięcie. Komisarz rozejrzał się badawczo po sali. Amalia Rygseck otworzyła usta i już miała coś na końcu języka, lecz Palmu ją uciszył

niecierpliwym gestem.

— Na razie więc każdy, kto dziś rano, w chwili śmierci Brunona Rygsecka przebywał w tym domu, jest dla mnie podejrzany — powiedział z naciskiem. — Podobnie jak każdy, kto miał sposobność, by dotknąć butelki z ab syntem. Sprowadzę tu teraz ludzi z komisji za... no, kil ku swoich pomocników i dla uniknięcia nieporozumień z góry uprzedzam, że zbiorą oni od państwa odciski palców w celach porównawczych. Na razie nikt z obecnych nie może opuścić tego pomieszczenia bez mojej zgody, nikomu też nie wolno dotknąć butelki z absyntem. Dostyc ją już macano!

Amalia Rygseck i inżynier Vaara rozpętali natychmiastową burzę protestów, lecz Palmu nie zwracał już na nich najmniejszej uwagi, tylko złapawszy Batlera za kołnierz, pociągnął go za sobą do holu i zamknął za nimi 161

drzwi. Z sali dobiegł nas ożywiony gwar, z którego na plan pierwszy wybijał się piskliwy z oburzenia głos Amalii Rygseck.

Na widok Palmu z fotela podniósł się doktorek, szarpiąc z wyrzutem za łańcuszek zegarka.

— Trochę się spieszę, panie... hm... komisarzu! — rzekł z przyganą w głosie.

— Na co pan zatem czeka? — zdziwił się Palmu. —

Batler, proszę pomóc panu doktorowi zarzucić płaszcz na grzbiet!

Doktorek poczerwieniał.

— Jestem gotów odpowiedzieć na pańskie pytania —

powiedział sztywno. — Jak już panu mówiłem, małe bąble na podniebieniu pani Rygseck wskazują...

— Dobrze, dobrze — uciął Palmu. — Wszystko to znajdziemy w raporcie z otwarcia zwłok. Zegnam, panie doktorze, i dziękuję za pomoc!

Komisarz uścisnął ciepło rękę lekarza, któremu Batler pomógł założyć płaszcz, i osobiście wręczył mu jego torbę.

— Ale... — zająknął się zaskoczony doktorek — ale ja...

Wpatrzony w komisarza, dwukrotnie otworzył usta, lecz nie wyrzekł już ani słowa, tylko zniknął w drzwiach, które lokaj otworzył mu z niskim ukłonem.

— Batler! — warknął Palmu, ledwo drzwi za doktor kiem zdążyły się zamknąć, i znów chwycił gwałtownie lokaja za kołnierz. — Kto był w nocy w pokoju gościnnym?

p.

Zagadka pokoju gościnnego. • Wszystkie drogi prowadzą do łazienki. • Kokki miesza do sprawy Iksa, Igreka i Zeta. • Konsekwentne rozumowanie komisarza Palmu wydaje wreszcie owoc. • Weksle Aima Rykamó. • Panna w opalach. • Zasługi Brunona Rygsecka na polu fotografii. • Inżynier Vaara boksuje, a Palmu łapie byka za rogi.

Batler się przestraszył, ale od razu wziął się w garść i śmiało spojrział Palmu w oczy.

— A więc pan to zauważył, panie komisarzu — powiedział wprost. — To prawda. Kiedy wnieśliśmy panią Ryg-seckową do pokoju, łóżko było nie zasłane. Ktoś tam także palił. Nie mam jednak pojęcia, kto to mógł być.

Wieczorem na własne oczy widziałem, jak wszyscy goście wychodzili z domu, a potem jeszcze pogasiłem światła w pokojach. Pokój gościnny był sprzątny w niedzielę rano i gdyby wtedy popielniczka była brudna, na pewno bym to zauważył. Sam łamałem sobie nad tym głowę, ale dotąd nie potrafię dociec, kto mógł tam być ubiegłej nocy.

— Kto wieczorem wyszedł ostatni? — spytał Palmu.

— Panna Vanne! Przed wyjściem napisała list, który zamierzała wrzucić do skrzynki w drodze do domu. Mój pan był już wtedy u siebie i zapewne spał. Przedtem panna Vanne... posprzeczała się z nim. Potem osobiście zamknąłem za nią drzwi.

163

Palmu zawahał się na sekundę.

— Czy pan Rygseck mógł później, w nocy, wpuścić kogoś do środka?

Lokaj wzruszył ramionami.

— Mam powody przypuszczać, że mój pan zasnął, gdy tylko znalazł się w łóżku. Rano nie mogłem go dobudzić.

— Klucz od tylnych drzwi miała Airi Rykamó — powiedział Palmu na poły do siebie.

Batler się wzdrygnął, lecz nic nie powiedział. Komisarz podszedł do aparatu i wezwał na miejsce chłopców z komisji zabójstw. Lokaj zerknął na niego pytająco i z resztką godności zniknął w kuchni.

Kokki stał oparty o ścianę. Patrzył nieruchomo przed siebie i ze zgnębioną miną ssał pastylkę od bólu gardła.

— Dziwaczny dom — wyraził pogląd. — Wszystkie drogi prowadzą do łazienki. Można dojść do niej stąd, z holu, można dojść przez tylne drzwi i prosto z piętra. Dla uniknięcia problemów można do niej dojść także z piwnicy.

— Drzwi wychodzące na korytarz przy łazience są zazwyczaj zamknięte na klucz — zauważyłem.

— To Batler tak mówi! — Kokki nie dał się zbić z pan-tałyku. — Dziś rano nie były zamknięte. I czy nie powinniśmy zaprosić tu do towarzystwa także tych węglarzy, co wnosili dziś rano koks do piwnicy? Moim zdaniem mamy tu zdecydowanie za mało podejrzanych.

Kokki ma osobliwe poczucie humoru. Rzuciłem mu niechętne spojrzenie.

— I odciski palców — ciągnął, nic sobie nie robiąc z mojego wzroku. — Dla pewności każdy zaszedł do ła-164

zienki, żeby zostawić tam ślady swoich łap, które potem Batler i tak powycierał, żeby nie było jakichś niejasności.

Mogę się założyć, że wszyscy zdążyli też uczynić znak krzyża na tej butelce z absyntem, o której tyle bredziliście tam w sali.

Palmu wciąż jeszcze rozmawiał przez telefon.

— Oczywiście, że podsłuchiwałem — wyznał bezwstydnie Kokki. — I dlatego przedstawię ci teraz schemat całej sprawy, żebyś mógł sobie uporządkować w głowie.

Najpierw założmy, że morderca był jeden. Nazwiemy go Iks. Iks poczuł się obrażony zachowaniem Brunona, więc do butelki z absyntem dosypał cyjanku, licząc na to, że dziś rano skacowany gospodarz wypije klina łykiem z butelki.

Ale z jakiegoś powodu Iks zarzuca plan z butelką i wali Brunona w łeb w łazience.

— To ma sens — przyznałem — jeżeli założyć, że morderca nie chciał dopuścić do ujawnienia czegoś, a zatem nagle grunt zaczął mu się palić pod nogami i nie chciał

czekać, aż zadziała butelka.

— Poczekaj — przerwał mi Kokki. — Następnie założ-

my, że morderców było dwóch, Iks i Igrek. Iks wali Brunona w łeb w łazience, Igrek natomiast wsypuje cyjanek do butelki. Wtedy jednak możemy dalej przyjąć, że Iks i Igrek wcale niekoniecznie dybali na jedną i tę samą osobę. Może Iks dybał na Brunona, a Igrek na kogoś innego. Więc jeżeli Igrek rozmyślnie otruł Rygseckową, to z tego wynika mnóstwo ciekawych rzeczy. Na przykład moglibyśmy się zastanowić, co by było, gdyby Igrek najpierw dopadł

Rygseckową, a dopiero potem Iks walnął Brunona w łeb.

165

— Kto zyskał na śmierci pani Rygseck? — powtórzyłem pytanie komisarza.

— Pomału! — powstrzymał mnie Kokki. — Można również przyjąć, że Igrek wcale nie dybał na życie Ryg-seckowej, tylko chciał otruć kogoś zupełnie innego; na-zwijmy tę osobę Zet. Może i Iks dybał na Zeta, ale Igrek go ubiegł, i tak plan Iksa szlag jasny trafił.

— Upiłeś się — stwierdziłem urażony. Zacząłem podejrzewać, że Kokki próbował ze mnie zadrwić.

Słuchałem jego „analizy” z takim zainteresowaniem, że przestałem obserwować komisarza. Teraz spostrzegłem, że stoi za mną z rękoma założonymi z tyłu i patrzy na mnie z osobliwym uśmiechem.

— Nie potrzeba nam nic poza konsekwentnym wycią-

ganiem wniosków ze zgromadzonych faktów — rzekł belferskim tonem. — Wtedy wszystko zrozumiesz. To jednak nie wystarczy, by ująć naszego mordercę, jest to bowiem człowiek przebiegły, nadzwyczaj przebiegły i praktyczny.

Weźmy jeden prosty przykład. Nie mamy wątpliwości, że każda osoba, która przebywała w tym domu, mogła wejść w posiadanie słoiczka z trucizną i niepostrzeżenie doprawić absynt. Potem słoiczek przestaje być już mordercy potrzebny. Co więcej, dopóki ma go przy sobie, nie może ani na chwilę czuć się bezpieczny. Gdzie w takim razie postanawia go ukryć?

— Dlaczego miałby go ukrywać? — zapytałem. — Przecież mógłby odstawić go w to samo miejsce, z którego go wziął.

— Żeby prędzej czy później ktoś spostrzegł, że słoiczek jest pusty? Bałwan z ciebie! — skwitował życzliwie Pal-166

mu. — Zaraz by zaczął się zastanawiać, co też się mogło stać z cyjankiem.

Zaczynałem rozumieć.

— Gdybym schował go sobie do kieszeni, byłbym od razu spalony, w razie gdyby ktoś zechciał mnie zrewidować, czego mieliśmy przykład rano z inżynierem Vaarą —

rozumowałem na głos. — W mieszkaniu ukryć słoiczka nie mogę. Jeżeli wyrzucę go na ulicy albo do śmietnika, prędzej czy później ktoś go znajdzie i zaczną się kłopoty.

— Morderca, którego szukamy, wyróżnia się zdecydowaniem, szybkością i zmysłem praktycznym — oświecał

mnie dalej Palmu. Mój mózg jednak przestał już pracować, potrząsnąłem więc tylko skołowaną głową.

— I dlatego to jasne, że ukrył słoiczek t u t a j ! — dopowiedział komisarz z nutką niecierpliwości w głosie. — I to gdzieś zupełnie pod ręką, a jednocześnie tam, gdzie nikomu, przynajmniej w pierwszej chwili, nie przyjdzie do głowy go szukać. Co prawda potem słoiczek się znajdzie, ale nie powie nam nic o mordercy, gdyż każdy mógł go tam ukryć.

A zatem — gdzie jest słoiczek?

Rozejrzałem się po holu i ponownie potrząsnąłem głową, a potem skierowałem wzrok tam, gdzie zogniskowało się wymowne spojrzenie komisarza. Palmu wpatrywał się intensywnie w stojący na rogu kominka mosiężny wazon indyjski.

Bezwiednie niemal, jak lunatyk, podszedłem do niego i wyostałem ze środka gładki, porcelanowy słoiczek, którego ściankę zdobiła etykieta z trupa czaszką. Trzymałem go w ręku i wpatrywałem się w niego jak zahipnotyzowany.

167

— Ko-komisarzu, skąd pan mógł wie-wiedzieć, że... on tam jest? — wyjąkałem z szacunkiem.

— Zajrzałem do środka, gdy skończyłem rozmawiać przez telefon, ośle jeden! — padła szczerza odpowiedź. —

Nie zostaw zaraz na nim wszystkich swoich odcisków!

Niech i chłopaki też się czymś wykażą, choć mogą się założyć, że ten słoiczek nic nam nie powie.

Na chwilę zapadła cisza. Stałem naburmuszony. Zadowolony z siebie Palmu pogładził się po brodzie.

— A teraz zajmiemy się morderstwem Brunona Rygsecka — zapowiedział zdecydowanym tonem. — Śmierć pani Rygseck odłożymy sobie tymczasem na bok. Potrafię się skupić tylko na jednej rzeczy naraz. Ale i jej sprawa z pewnością się wyjaśni, gdy tylko rozwikłamy zagadkę śmierci Brunona. Zaczniemy może od Airi Rykamó!

Kokki szybko podszedł do drzwi sali i wywołał dziewczynę do holu, a Palmu zaczął dostojnie przemierzać dywan.

Panna Rykamó była bardzo blada i spłoszona. Inżynier Vaara usiłował wcisnąć się do holu za nią, ale Kokki, używając znacznej i przeciwnie skierowanej siły, zdołał

wepchnąć go z powrotem do sali, po czym zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

— Wszystko będzie dobrze, panienko — odezwał się Palmu łagodnie, co nie wróżyło nic dobrego. — Proszę sobie usiąść. Nie trzeba się denerwować!

Dziewczyna przysiadła ostrożnie na brzeżku fotela, czujna i wyprostowana, jakby kij połknęła.

— Wcale się nie denerwuję! — odrzekła lodowatym tonem.

168

— Niechże nam pani teraz własnymi słowami opowie historię weksli pani brata Aima Rykamo —

poprosił Palmu, przechodząc od razu do sedna sprawy.

Dziewczyna się wzdrygnęła, a na jej twarz wystąpił

rumieniec. Nerwy jej puściły i w pięknych, brązowych oczach rozjarzyły się dwie łzy.

Zdobywszy tym sposobem przewagę, Palmu przybrał

ciepłą, ojcowską pozę.

— Niechże się pani nie obawia o brata — przemówił do niej serdecznie. — Wyjaśniamy przecież tylko śmierć pana Brunona i nie zamierzamy robić nikomu nieprzyjemności z powodu innych spraw. Poza tym wiemy już wszystko. Tylko pani ulży, kiedy nam pani powie. Potrafimy dochować tajemnic osób, które są wobec nas uczciwe. A pani przecież ma czyste sumienie?

— Wszystko przez to, że Aimo jest takim osłem! — za-częła niepewnie Airi Rykamo.

—

Już to zauważyłem! — przyznał poważnie komisarz.

Ośmielona dziewczyna uniosła na niego oczy i jej opa loną miękką twarz rozjaśnił cień uśmiechu.

— Aż trudno uwierzyć, że mój brat jest pełnoletni —

podjęła zwawiej. — Mógłby już przecież głosować w wyborach, a wciąż jest taki nieodpowiedzialny. W głębi duszy to bardzo dobry chłopiec, tylko za bardzo jest podatny na wpływ złego towarzystwa. Bruno go zepsuł, to przez niego Aimo zaczął pić i grać w karty. I proszę mi wierzyć, że zgodziłam się spotkać z Brunonem i przyjść na to spotkanie tylko po to, by chociaż trochę temperować zapędy brata, bo Aimo jednak ciągle trochę się mnie boi.

Najgorsze jest to, że najzwyczajniej nie stać go było na 169

takie życie, jakie wiódł Bruno, więc musiał pożyczać od niego pieniądze, podpisywać się na jego wekslach i je wykupywać. A ja dopiero przedwczoraj wieczorem pojęłam, że Bruno robił to wszystko wyłącznie po to, żeby mnie z d o b y ć .

— A zatem Bruno Rygseck był w pani zakochany —

stwierdził raczej, niż zapytał komisarz.

Dziewczyna aż podskoczyła.

— Bruno nie kochał na tym świecie nikogo poza sobą!

— wykrzyknęła. — To był zły człowiek! Wolałabym go zabić, niż pozwolić mu się dotknąć!

— Hola, hola, panienko! — powiedział Palmu. — Jestem już stary i muszę panią ostrzec, że mówienie dziś o zabijaniu Brunona Rygsecka raczej nie leży w pani najlepszym interesie.

AM Rykamó wzdrygnęła się i sapnęła ze strachu.

— Miałam opowiedzieć o wekslach Aima — powiedziała szybko. — Mój brat przegrał w karty niewyobrażalne dla mnie sumy. To Bruno go podpuszczał, zapewniając, że prędzej czy później karta się odwróci i szczęście się do niego uśmiechnie. Bruno powiedział mu kiedyś, że gdy będzie przedłużał weksle, może się czasem podpisać jego imieniem i nazwiskiem. Aimo jest kompletnym osłem i do tej pory nie rozumie, że postępował niezgodnie z prawem, ale w sobotę Bruno oświadczył m n i e, że Aimo bezczelnie sfalszował

jego

podpis

na

co

najmniej

dziesięciu

wekslach

opiewających na łączną sumę ponad stu tysięcy marek!

Zażądał więc, abym przyszła do niego wieczorem i wyjaśniła z nim tę sprawę na osobności!

— Co za szuja! — mruknął Palmu.

170

Twarz dziewczyny spąsowiała jeszcze bardziej. Spuściła głowę i podjęła głucho:

— Sprawa ma się tak, że posiadamy jeszcze z Aimem kilka akcji koncernu Rykamó. Nasz zmarły ojciec był bardzo kiepskim kupcem i musiał sprzedać większą część swych akcji, ale tych kilka, które nam pozostały, znaczy dla nas bardzo wiele, gdyż dzięki nim nadal mamy prawo głosu na zebraniach spółki. Wiedziałam, że stryj Gunnar na pewno je od nas odkupi, i to za bardzo dobrą cenę, tak jak swego czasu odkupił od naszego ojca pozostałe akcje.

— Stryj Gunnar to zapewne nie kto inny, tylko stary Rygseck, to jest, chciałem powiedzieć, pan prezes? — zagadnął Palmu.

Airi Rykamó przytaknęła.

— Powiedziałam o tym Brunonowi — ciągnęła coraz cichszym głosem. — Obiecałam sprzedać te akcje, choć to dla nas bardzo ciężki cios, i spłacić w ten sposób długi Aima. Ale Bruno tylko się roześmiał. Powiedział mi, że nie chodzi mu o pieniądze i że jak mu nie zapłacę t a k i e j ceny, jaką mi wyznaczy, Aimo pójdzie do więzienia za fałszowanie weksli. Dał mi termin do soboty, do jedenastej wieczór. Miałam przyjść tu do niego, a żeby mnie nikt nie widział, dał mi... dał mi ten klucz od tylnych drzwi domu!

Właśnie wtedy, w owej przełomowej chwili psycho-logicznego napięcia, dobiegł nas z podwórza przeciągły pisk hamulców i zaraz potem dzwonek u drzwi rozdzwonił się jak na trwogę. Batler wystrzelił z kuchni jak strzała i po chwili do środka wpadli zwartą grupą uśmiechnięci 171

od ucha do ucha chłopcy z komisji zabójstw, rozjazgotani jak charty.

— Odrobinę kultury! — rozsierdził się Palmu, ale za raz spostrzegł, że daremny jego trud, i głęboko westchnął.

— Kokki, idź im pokazać, co mają robić! Zaczynacie od łazienki! I nie hałasujcie jak cygański tabor, bo się posta ram o kolejne ciała w basenie!

Chłopcy poszli. Dziewczyna siedziała nieruchomo w fotelu ze wzrokiem wbitym w dywan. Chwila psycho-logicznego napięcia minęła.

— A zatem przyszła tu pani w sobotę wieczór? — zagadnął Palmu ze współczuciem.

— Przecież nie miałam wyboru! — odrzekła z goryczą panna Rykamó. — Nie chciałam o tym nawet wspominać Aimowi. Powiedziałby mi tylko, że te weksle to sprawa wyłącznie między nim a Brunonem. Przyszłam...

— dziewczyna umilkła i na jej kamiennej twarzy odmalował się wyraz zaciętej przekory — a gdy od niego wycho dziłam, dostałam od niego ten oto dokument!

Powoli wyjęła z torebki papier, w którym wspomniała nam Irma Vanne. Był to w istocie spis weksli wystawionych przez Aima Rykamó w imieniu Brunona Rygsecka, który'

niniejszym je akceptował, ratując Aima przed oskarżeniem o fałszerstwo.

— Załatwiliśmy tę sprawę w cztery oczy — rzekła oschle dziewczyna. — O ile się orientuję, dokument jest ważny.

— Oczywiście, oczywiście — pospiesznie zapewnił ją Palmu. — Nie ulega wątpliwości, że na podstawie tego dokumentu spadkobiercy Brunona Rygsecka będą zob-

owiązani wykupić te weksle w terminie. Ale... ale dlaczego on dał pani ten spis?

Airi Rykamó dumnie uniosła głowę.

— Tego nikt się nigdy nie dowie — wyrzekła z przekorą.

— Przysięgliśmy oboje, że żadne z nas nigdy nie piśnie nawet słowem o tym, do czego doszło między nami tamtej nocy. Bruno nie żyje, ale nie zamierzam łamać danego mu słowa.

— Posunęła się pani do przestępstwa, by zdobyć ten papier! — powiedział komisarz, mrużąc oczy w dwie szparki.

— Czyli wie pan już... o tej głupiej zabawie! — Dziewczyna nie była tak zdziwiona, jak można się było spodziewać. — Dobrze więc! Odpłaciłam tylko Brunonowi pięknym za nadobne. Tak, przynajmniej, to był szantaż. Ale i on mnie szantażował.

— Bruno Rygseck powiedział, że dopuściła się pani występku przeciw moralności — powiedział chłodno Palmu.

— Ach, więc to tak! — Wąskie brwi dziewczyny uniosły się z pogardą. — Widzę, że Irma Vanne zdążyła wam już wszystko wypaplać. Mogłam się tego po niej spodziewać.

Tylko że Bruno wcale tak się nie wyraził. Powiedział, że był

to występki przeciw moralności, ponieważ zdobyłam poświadczenie, wykorzystując jego moralną słabość.

Komisarz skwitował to mało uprzejmym wzruszeniem ramion.

— Dzielenie włosa na czworo! — prychnął lekce ważąco.

Airi Rykamó poczerwieniała ze złości.

173

— Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że wszystko to stawia mnie w bardzo dziwnym świetle! Ale nie złamię danego słowa. Domyślam się, że Bruno z zemsty pokazał

coś inżynierowi, aby ten nabrał podejrzeń, że w nocy go ściłam w domu Brunona. Moja cześć jest ponad podobne podejrzenia. Jeżeli jednak pan inżynier rzeczywiście wie rzy w wyssane z palca historyjki o mnie, którymi często wał go Bruno Rygseck, to mogę się tylko cieszyć, że w samą porę przejrzałam na oczy i wreszcie widzę, jacy tani są mężczyźni, jak bardzo są tani! Naprawdę, c i e s z ę się!

Siedziała sztywno wyprostowana, jakby kij połknęła, a na policzkach wystąpiły jej histeryczne czerwone plamy. Żal było patrzeć, jak cierpi z powodu urażonej dziewczęcej dumy. No, ale kobiety już takie są.

— Poruszyliśmy przy okazji jeszcze inną kwestię —

zaczął ostrożnie komisarz. — A zatem pani również zwró-

ciła uwagę na to, że Bruno Rygseck, jak sam się wyraził, p o k a z a ł coś inżynierowi. Domyśla się

pani może, co to mogło być?

— Pojęcia nie mam! — odrzekła Airi Rykamó zdecydowanym głosem. — I nie chcę tego wiedzieć!

Palmu sprawiał wrażenie, jak gdyby ta odpowiedź zbiła go z pantałyku. Potarł w zamyśleniu podbródek i zaczął z innej beczki:

— Cokolwiek to było, pan inżynier tak się wściekł na Rygsecka, że wrócił tu dziś rano, by — jak sam powiedział

— sprawić mu takie manto, żeby ten to sobie zapamiętał do końca życia!

— Po to tu przyszedł? — szepnęła dziewczyna, a twarz jej pojaśniała, jak gdyby kamień spadł jej nagle z serca.

174

— Tak powiedział? Bo po wczorajszym wieczorze ja... ja nie chciałam z nim w ogóle rozmawiać!

— Tak nam p o w i e d z i a ł ! — podkreślił Palmu. — Je-

żeli jednak założymy teraz, że inżynier wiedział o sfał-

szowanych wekslach, wiedział, czego Bruno Rygseck od pani chciał, i wiedział, że nocą była pani w jego domu, a na dodatek uważał, że ma pełne prawo podejrzewać, iż Rygseck w... brzydki sposób wykorzystał pani trudne położenie, to jest to chyba sprawa tego kalibru, że zwykle spuszczenie manta jej nie załatwi!

— A-ale... — wyjąkała Airi Rykamó, lecz głos jej się załamał i po miękkich policzkach pociekły jej łzy — jeżeli dwoje ludzi naprawdę się kocha, to przecież powinni sobie przynajmniej u-ufać. Erik mnie zna, mógł przecież mnie zapytać.

— Wymaga pani od nas, mężczyzn, zdecydowanie za dużo, panienko — odrzekł jej Palmu ojcowskim tonem.

— I teraz myślimy o tym samym. Dziś rano przysła pani do biura, a tu nie ma inżyniera! Przeczowała pani, że stało się coś niedobrego, więc czym prędzej pospieszyła pani tutaj, by zapobiec jakiejś tragedii. Przyjechała pani jed nak... za późno!

— Nie, nie, nie! — wykrzyknęła dziewczyna z oczami wytrzeszczonymi ze strachu. — Nie, nie! To nieprawda!

Erik nie mógł tego zrobić! Erik nie jest mordercą!

W tej samej chwili wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie. Nie pilnowane drzwi sali rozwarły się nagle i z twarzą czerwoną z wściekłości do holu wpadł inżynier Vaara. Z podwórza przed domem dobiegł jęk hamulców ambulansu, który przyjechał po zwłoki pani Rygseck, 175

i sanitariusze zaczęli dzwonić do drzwi, jakby się paliło. Na dodatek chłopcy z komisji zabójstw, z Kokkim na czele, zaczęli tupać na schodach prowadzących z łazienki do holu.

— Przeklęty glina! — ryknął inżynier. — Nie ma pan prawa dręczyć Airi!

— Panu, panie inżynierze, absolutnie nic do tego! —

fuknęła Airi Rykamó na mężczyznę swojego życia.

Palmu zaklął. Zasłonił go ciałem. Kokki rzucił się do drzwi wejściowych. Do środka wpadli sanitariusze z noszami.

Trudno odgrywać tragedię pośród hałaśliwych niezna-jomych. Inżynier wycofał się więc z powrotem do sali, a w ślad za nim, z dumnie uniesionym czołem, Airi Rykamó, Palmu bowiem uznał, że w ciągu najbliższych kilku minut w holu

będą

się

działy

rzeczy

nieodpowiednie

dla

dziewczęcych oczu. Zwłoki pani Alli Rygseck wyniesiono i złożono w ambulansie, a kierowcy polecono, by je zawiózł

do wydziału medycyny sądowej. Komisarz wręczył swoim technikom słoiczek po cyjankali i rozkazał szukać na nim odcisków palców. Chłopcy sporządzili już szkic domu, obfotografowali i zmierzyli całą łazienkę, gdzie ku ogólnej wesołości znaleźli także szeroki i łatwo rozpoznawalny odcisk kciuka samego komisarza. Sprawna to była ekipa.

Wreszcie Palmu opanował sytuację i posłał chłopaków na piętro. Na popielnicze, którą odstawił na półkę i zamknął w gabinecie, znalazły się wąskie, zachwycające odciski palców. Potem komisarz wyjął ostrożnie z szuflady czerwoną księgę Brunona Rygsecka. Skórzaną oprawę 176

opędzelkowano i sfotografowano wszystkie świeże i stare odciski palców.

Dopiero wtedy Palmu rozsiadł się wygodnie za biurkiem i otworzył czerwoną księgę. Cała nasza reszta zbiła się za nim ciasną gromadą, rzucając mu przez ramię rozedrgane spojrzenia.

— Precz mi stąd wszyscy, ale już! — wrzasnął Palmu, zakrywając dłonią zdjęcie.

Wyszliśmy wszyscy z czerwonymi uszami i nosami zwieszonymi na kwintę.

Tak, to był album fotograficzny. Ilustrowany przewodnik po mrocznej stronie życia Brunona Rygsecka. Kolekcja zdjęć świadcząca o tym, że był dobrym, choć monotema-tycznym fotografem. Mignęło mi tylko jedno z jego dzieł, lecz to mi wystarczyło. Zrobione w świetle lampy błyskowej w jego sypialni.

Minęło całkiem sporo czasu, nim Palmu znowu pojawił

się w drzwiach. Był wyraźnie zażenowany, co starał się za-maskować gniewnym pokrzykiwaniem. Pogonił chłopaków do pracy. Czerwona księga leżała otwarta na stole i ziała pustką. Ktoś pospiesznie wydarł jedną kartę. Po opędzel-kowaniu wydarca chłopcy sfotografowali odciski palców, a Palmu zamknął księgę, włożył ją z powrotem do szuflady i zamknął na kluczyk, który wsunął sobie do kieszeni.

Wyszliśmy z gabinetu, którego komisarz także nie omieszkał zamknąć na klucz.

Gdy schodziłem na parter, w głowie kotłowały mi się osobliwe myśli o panińskiej czci Airi Rykamó.

Chłopcy zabawiali się jeszcze fotografowaniem holu i sali, nie pominęli nawet barku i leżącego na dywanie 177

kieliszka. Butelkę z absyntem poddano osobnym badaniom, a potem do naszej kolekcji pobrano odciski palców od wszystkich zgromadzonych w sali osób. Technicy nie zapomnieli także o Batlerze i kucharce, a gdy skończyli i tę robotę, Palmu kazał im czym prędzej jechać do diabła, zahaczając po drodze o kostnicę, by szybko pobrać jeszcze odciski palców pani Alli Rygseck. Zapomniał o niej w całym tym zamieszaniu, więc teraz tym głośniej na nich wrzeszczał.

Chłopcy pojechali i na ziemi znów zapanował spokój, choć dobrej woli bez wątpienia brakło.

W pierwszej kolejności komisarz dzwonkiem wywołał

Baltera z jego kuchennej jamy. Lokaj zjawił się w holu z powściągliwą miną, lecz Palmu zadowolili się prośbą o cygaro, wyrażając przy tym nadzieję, że nie będzie zatrute.

Otrzymawszy pożądane pudełko, kazał Batlerowi wracać do polerowania sreber, sam zaś podjął przerwane przesłuchanie.

Przyszła kolej na inżyniera Vaarę, który wszedł do holu i zajął miejsce w fotelu.

— Panie inżynierze! Co Bruno Rygseck pokazał panu wczoraj wieczorem na piętrze? — zapytał komisarz, prze chodząc od razu do sedna sprawy.

Inżynier gniewnie zacisnął dłonie w pięści, ale po chwili rozluźnił palce. Twarz miał smutną i poirytowaną.

— Na próżno pan traci czas — odrzekł zmęczonym głosem. — To nie pańska sprawa. Nigdy tego nikomu nie powiem.

Palmu się nie upierał.

— A czerwona księga Brunona Rygsecka? — spytał

ciepło. — Przeglądał ją pan kiedyś?

178

Inżynier zeszywniał i nabrał czujności.

— Nawet jeśli, to co? — odrzekł. — Słyszałem o niej.

Bruno Rygseck był człowiekiem prymitywnym. Ale przecież ta sprawa nie ma nic wspólnego z jego śmiercią!

— Czyżby? — rzucił uszczypliwie Palmu. — Sądziłem, że pan jest zakochany w pannie Rykamó!

Inżynierowi puściły nerwy. Mężczyzna wstał ze zdradliwym spokojem, by nagle, niczym wytrenowany bokser, wyprowadzić z całej siły cios na szczękę Palmu. Na szczęście byłem szybszy o ułamek sekundy. Poczuvszy moc uderzenia, przestałem się dziwić, dlaczego Palmu nie zaprzętał sobie głowy szukaniem narzędzia, którym rano tamtego dnia morderca ogłuszył Brunona Rygsecka.

— Pan jesteś wariat! — zaperzył się Palmu, który za skakująco szybko odskoczył na bezpieczną odległość od rozjuszonego inżyniera i masował swój bark. — Chyba będę musiał zakuć pana w kajdanki!

Kontynuowanie przesłuchania nie miało sensu. Inżynier wrócił do sali.

— Biedny chłopak! — rzekł komisarz, gdy kręcąc głową, odprowadzał go wzrokiem. — Nie dziwię się wcale, że ma złamane serce.

— Zdecydowany — odezwałem się — to do niego pasuje. Szybki, to chyba pan komisarz sam jest gotów przyznać. I praktyczny, w końcu to inżynier!

— Nie możemy aresztować człowieka tylko dlatego, że jest inżynierem! — zganił mnie Palmu.

— Jak sprytnie potrafi się wywinąć od odpowiedzi na trudne pytania! — nie ustępowałem.

179

— Przecież to prawie taki sam bęcwał jak ty! — roz strzygnął sprawę Palmu, nie zważając na to, jak bardzo mnie dotknął tym porównaniem.

Szybko jednak doznałem zadośćuczynienia, gdyż następny w kolejce do przesłuchania był Aimó

Rykamó i nawet ja mogłem z czystym sumieniem stwierdzić, że takiego osła jeszcze świat nie widział.

— Oczywiście, że wpisywałem na wekslu imię i na zwisko Brunona, kiedy nie mogłem go nigdzie znaleźć

— przyznał od razu. — Nie chciało mi się ciągle za nim biegać i zawracać mu głowy. Przecież od razu bym te wek sle wykupił, gdyby mi się tylko karta odmieniła. A takie sumy dla Brunona to była igraszka, choćby nawet potem musiał je zapłacić. Dostałby przecież pieniądze z powrotem, w naszych akcjach z Airi. Moja siostra nagadała wara oczywiście jakichś bzdur o fałszowaniu weksli. Ta dziewczyna nie ma zielonego pojęcia o sprawach finansowych!

Palmu przyznał jednak, że sam ma kłopoty z rozgryzieniem polityki finansowej pana Rykamó. Młodzieniec się zaperzył.

— Do diaska, przecież to nie było żadne fałszowanie, ja tylko podpisywałem się na wekslu nazwiskiem Brunona! — obstaw Tat przy swoim. — Poza tym Bruno w końcu dał Airi dokument, w którym te wszystkie weksle zaakceptował. Mnie by to nawet nie przyszło do głowy, żeby mu zawracać głowę taką drobnostką. Airi musi się zawsze wygłupić!

Chłopak miał tak hermetycznie zakuty łeb, że był odporny na wszystkie argumenty. W końcu Palmu dał za wygraną i zmienił temat.

180

— No, ukradłem kota. No, Bruno pokazał mi kiedyś czerwoną księgę. No, Bruno trzymał ją w środkowej szufladzie biurka. No, Bruno lubił fotografować.

Chłopak był absolutnie nieodpowiedzialny. Najwyraźniej komisarz doszedł do tego samego wniosku, bo machnął ręką.

Wywołał z sali Airi Rykamó i inżyniera Vaarę. Weszli do holu, ustępując sobie miejsca w drzwiach z oficjalną grzecznością.

— Możecie iść, cała wasza trójka! — orzekł Palmu.

— Wrócimy do naszej rozmowy, gdy będą mi potrzebne dodatkowe informacje. Natomiast panu, panie inżynierze, radziłbym wziąć sobie do serca słowa starego policjanta i czym prędzej wyjaśnić sprawę z panną Rykamó.

Dziewczyna rzuciła komisarzowi nienawistne, ogniste spojrzenie. Inżynier próbował pomóc jej włożyć płaszcz, ale odeszła na bok i sama się ubrała, po czym chwyciła brata za rękę i wyszli. Vaara niepewnie ruszył za nimi, lecz zdruzgotany, zatrzymał się jeszcze i zerknął na Palmu.

— Panie komisarzu, gdybym tylko wiedział... — zaczął i już myślałem, że otworzy się przed nim i wyrzuci z siebie podejrzenia, które łamały mu serce. Ale chwila minęła, inżynier wzruszył ramionami i poszedł sobie. Palmu stanął w progu sali.

— Czas chwycić byka za rogi — rzekł, po czym stanął

twarzą w twarz z panią Amalią Rygseck.

IO.

Amalia Rygseck przypuszcza, że ktoś dybie na jej życie. • Myśli komisarza chodzą dziwnymi drogami.

• Batler poleruje nóż do ciasta, a Palmu twierdzi, że nie potrzebuje węglarzy. • Pytania bez odpowiedzi i papierośnica panny Vanne. • Komisarz idzie do sauny, a ja dostaję przymusowe roboty.

• Lista podejrzanych, nie najgłupsza z możliwych.

• Poranne rozrywki komisarza Palmu.

Amalia Rygseck siedziała w sali sama. Spojrzenie jej wy-bałuszonych, błękitnych jak lód oczu skupiło się teraz na nas. Grubym czubkiem swojego parasola stuknęła kilkakrotnie w podłogę i było to dobitniejsze, niżby powiedziała: Nareszcie!

— Proszę mi wybaczyć, że łaskawa pani musiała tak długo czekać — zaczął taktownie Palmu.

— Stara już jestem! — zgrzytnęła kobieta niczym kasa sklepowa. — Przywykłam do czekania.

— Miałem jednak ku temu powody — ciągnął Palmu, który nie lubi, gdy mu się przerywa. — Jest pani obdarzona wybitnym zmysłem krytycznym. I jedyną rozumną osobą w całym tym dzisiejszym towarzystwie. Dlatego ośmielę się teraz poprosić panią o pomoc.

Czy mi się zdawało, czy rzeczywiście na chudej, po-zbawionej jeszcze zmarszczek twarzy kobiety pojawił się cień uśmiechu? Nie ma kobiety zdolnej odrzucić kom-182

plement. Ale chwila słabości pani Amalii Rygseck była bardzo krótka.

— Szanowny panie — rzekła. — Jestem gotowa panu pomóc, najpierw jednak pragnę uzyskać od pana jasne i klarowne odpowiedzi na dwa pytania. Nie lubię owijać w bawełnę i nie lubię głądzić. Po pierwsze: czy ma pan uzasadnione powody, aby podejrzewać, że mój bratanek Bruno Rygseck został dziś rano zamordowany?

— Szczera odpowiedź na szczere pytanie — odrzekł

Palmu bez wahania. — Tak, mam.

— Nie będę w te powody wnikać! — orzekła surowo starsza pani Rygseck. — Muszę jedynie wierzyć, że zna się pan na swojej robocie. I drugie pytanie: czy sądzi pan, że ktoś dziś próbował otruć mnie?

Pytanie było zdumiewające i w mgnieniu oka cała sprawa jeszcze bardziej mi się w myślach poplątała. Komisarz jednak zachował kamienną twarz.

— To pytanie i mnie przemknęło przez głowę — przyznał. — Na razie jednak nie znalazłem niczego, co uza sadniałoby takie podejrzenie.

Amalia Rygseck westchnęła głęboko i lekko się uśmiechnęła.

— Wobec tego jestem gotowa pomóc panu w miarę moich możliwości.

— Chciałbym jedynie uzyskać odpowiedź na kilka pytań, nic więcej — Palmu postanowił od razu ukrócić pączkujący zapal swojej nowej pomocnicy. — Przede wszystkim kto pani zdaniem skorzystał na śmierci pani Rygseckowej?

— S k o r z y s t a ł ? — zdziwiła się Amalia Rygseck. —

Chciał pan zapewne spytać, kto po niej dziedziczy? Włas-183

nego majątku nigdy nie miała, ponieważ jednak Bruno umarł

przed nią, zdążyła odziedziczyć po nim to, co zapisano jej w intercyzie. Dzieci nie mieli. Matka pani Ryg-seckowej żyje, a więc to ona będzie po niej dziedziczyć, chyba że Alli zostawiła jakiś testament. Bardzo w to jednak wątpię. Nie miała w zwyczaju rozmyślać o wieczności, podobnie jak Bruno.

Lody zostały przełamane. Starsza pani Rygseck mówiła spokojnie, niemal familiarnie. Palmu odważył się zatem zadać kolejne pytanie:

— Łaskawa pani, nadzwyczaj szybko kojarzy pani fak ty. Pozwolę sobie zapytać, czy pani zdaniem osoba, która wsypała truciznę do butelki z absyntem, przyczyniając się do śmierci pani Rygseckowej, była tą samą o s o b ą , która ogłuszyła pani bratanka i utopiła go w basenie?

Amalia Rygseck wyprostowała się.

— Proszę jaśniej! Do czego pan pije? — zapytała.

— Wolałbym nie szukać dwóch morderców, jeżeli jeden wystarczy — odrzekł Palmu z dziwną nutą w głosie. —

Może to moja umysłowa ociężałość, nie rozumiem jednak, dlaczego Bruno Rygseck zginął akurat dziś rano, nie spotkawszy się z nikim, mimo że czekało tu na niego tyle osób i spraw. Czy właśnie o to chodziło mordercy?

— Chodzi panu o to, że morderca nie chciał, aby Bruno spotkał się z e mną? — spytała otwarcie starsza pani Rygseck. — Chce pan powiedzieć, że morderca z początku liczył na to, że dziś rano Bruno będzie mieć, jak to się mówi, kociokwik — obrzydliwe wyrażenie — i dlatego zaraz z samego rana zaserwuje sobie kieliszek absyntu? Ale z jakiegoś powodu mordercy zaczęło się spieszyć i nie

184
zdążył zaczekać na działanie trucizny. — Pani Rygseck wychyliła się do przodu, a w jej oczach rozbłysły dwie iskierki. Uniósła swój parasol i czubkiem dźgnęła komisarza Palmu w brzuch. —

Teraz rozumiem! W takim razie morderca musiał w i e d z i e ć , kto dziś rano będzie tu czekać na Brunona.

— Otóż to — potwierdził spokojnie Palmu.

Wtedy Amalia Rygseck zupełnie mnie zaskoczyła.

— Kiedy zamierza go pan aresztować? — zapytała z bezlitosnym wyrazem twarzy.

— Kogo? — komisarz wyglądał na rozbawionego.

— Niechże pan nie udaje! — zachnęła się kobieta. —

B a t l e r a , rzecz jasna! Przecież to kwestia zdrowego rozsądku.

Jednak moje zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy teraz z kolei Palmu wychylił się w przód i dźgnął swoim grubym paluchem Amalię Rygseck w bok.

— Jest pani bardzo mądrą kobietą! — powiedział z szacunkiem. — Aż trudno mi uwierzyć, że nasze myśli chodzą tak podobnymi drogami. — I wstał, by dać znać, że narada dobiegła końca. — Tymczasem jednak nie zdradzajmy ich nikomu, dobrze? — poprosił. — To trudna sprawa. Na razie nie mam dowodów. Niewykluczone, że będę musiał

zastawić pułapkę na mordercę, aby go zdemaskować. Dziś jednak nie mogę już dłużej zawracać pani głowy swoimi problemami. Dziękuję pani zatem za bezcenną pomoc.

Amalia Rygseck zupełnie słusznie zinterpretowała te słowa jako znak, że czas się pożegnać.

— Pojadę teraz do domu po swoje rzeczy — rzekła zdecydowanym tonem. — Musi pan zrozumieć, szanowny 185

panie, że mimo tego pańskiego dochodzenia zamierzam czuć się w tym domu jak u siebie i normalnie tu funkcjonować.

Także po to, by mieć go na oku.

Pozbywszy się jej wreszcie, Palmu bez zbędnych ceregieli skierował się wprost do królestwa Batlera. Spotkaliśmy go w kredensie. Lokaj całkiem dosłownie odczytał słowa komisarza i uzbrojony w irchę polerował srebra. Siedział

zgarbiony z nieodgadnioną miną. Palmu przyglądał mu się chwilę z zaciekawieniem, po czym pocierając w zamyśleniu podbródek, odezwał się do niego:

— Będzie pan mieć nowego chlebobawcę, Batler!

Lokaj spojrział krytycznie na trzymany w ręku nóż do ciasta. Uniósł irchę i zaczął ścierać z trzonka niewidoczną plamkę.

— Pani Amalia Rygseck oznajmiła mi właśnie, że zamierza czuć się w tym domu jak u siebie i normalnie tu funkcjonować — ciągnął Palmu, lecz jego słowa znów od-biły się jak groch od ściany milczenia.

— Ostrzegam pana, Batler! — komisarz podniósł głos.

— Jest pan podejrzany!

Było to sprzeczne z zasadami jego postępowania, ale lokaj odwrócił się wreszcie, opuszczając bezwiednie dłoń z nożem do ciasta i spoglądając na komisarza, jak gdyby przeczuwał w jego słowach jakieś ukryte znaczenie. Ale Palmu zaczął już z innej beczki.

— Cygara pana Rygsecka są wyborne — rzekł jak gdy by nigdy nic. — Podobno lokaje mają w tym względzie taki sam gust jak ich pracodawcy. — Komisarz na chwilę zawiesił głos, aby jego słowa możliwie najgłębiej zapadły w świadomość Batlera, po czym dopowiedział zaskakują-

186

co: — Używając pańskich słów, Batler, czy ma pan powody przypuszczać, że ktoś mógł s ą d z i ć , iż podpija pan absynt swego chlebobdawcy?

Efekt, jaki wywarło to pytanie, przerósł wszelkie oczekiwania. Twarz Batlera stała się szaroblada i lokaj spojrział

na komisarza, jak gdyby zobaczył przed sobą zjawę, po czym zwilżył usta językiem, lecz nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Zadowolony Palmu odwrócił się obojętnie na pięcie i skierował w stronę holu. W progu jednak zatrzymał

się jeszcze, spojrział na Batlera i powiedział od niechcienia:

— Otóż to, Batler! Chyba nie sądzi pan już, że ktokolwiek uwierzy w pańskie zapewnienia, że nie widział pan dziś rano niczego osobliwego. Sam pan tego chciał, Batler, sam pan tego chciał!

Zamykane drzwi zagłuszyły brzęk noża do ciasta, który wypadł ze sparaliżowanej ręki lokaja.

* * *

W holu Palmu zaczął wkładać płaszcz. Pospieszyłem się-pięcemu komisarzowi z pomocą i korzystając z okazji, zapytałem:

— Co pan w istocie chciał powiedzieć Batlerowi, panie komisarzu?

— Ostrzegłem go tylko — odrzekł Palmu i roześmiał się.

— Poza tym plotąc androny, zawsze można sporo zdziałać.

I cóż ja mogłem na to powiedzieć? Wyszliśmy z posępnego domu na zewnątrz, gdzie zapadał już

wieczór. Zmierzchało. Zapalały się latarnie. Od morza wiał

surowy wiatr, który przenikał do szpiku kości.

Kokki zabrał auto, gdy pojechał z chłopakami. Ruszyli-

śmy więc krętą, okoloną murem uliczką przez park w stronę miasta.

— Komisarzu, zapomniał pan o węglarzach! — zagadnąłem nieśmiało.

— Po co mi węglarze! — burknął Palmu. — Nie zawra-caj mi głowy. Mogę ich mieć na co dzień, a taka sprawa trafia się tylko raz na jakiś czas!

— Panie komisarzu! — nie ustępowałem. — Przecież oni byli w domu, gdy popełniono morderstwo. Obaj mogli bez trudu dostać się do łazienki przez piwnicę. Zważywszy na tryb życia Brunona Rygsecka, jest bardzo prawdopodobne, że pohańbił kiedyś córę klasy robotniczej. Potem brat dziewczyny zjawił się u Brunona, by żądać satysfakcji, a przy okazji zapoznał się z rozkładem domu. Mógł być przecież węglarzem. I wykorzystać nadarżającą się przypadkiem sposobność, by zemścić się za siostrę.

— Czytujesz tygodniki? — zmiażdżył mnie Palmu. —

Nie potrzeba mi węglarzy i nie chcę słyszeć o nich więcej ani słowa, rozumiano?

— To co pan komisarz zamierza robić? — spytałem przebiegle.

— To, co zawsze, gdy nie mam choćby najgłupszego dowodu, który pozwoliłby mi ująć mordercę. Trzeba stopniowo i cierpliwie eliminować wszystkie nieistotne okoliczności i osoby nie mające z tą sprawą żadnego związku.

Im dalej będziemy się posuwać, tym bardziej morderca będzie się bać. Im bardziej będzie się bać, tym szybciej 188

się pomyli. Już teraz ma na swoim koncie dwa niewybacalne błędy, choć na razie nie możemy na ich podstawie nikogo oskarżyć. Ale mówią nam one, że nerwy go jeszcze zawiodą, i to całkiem. Do diabła, jedyna moja nadzieja, że nie będziemy mieli w tej sprawie trzeciego trupa! Przez chwilę nic nie mówiłem.

— Co to za dwa błędy, które popełnił morderca? — zapytałem cicho. — Jeden to oczywiście ten włącznik, ale drugi?

— Drugi jest równie oczywisty i jest nim śmierć pani Rygseck, ośle jeden — odrzekł Palmu, choć niczego mi to bynajmniej nie rozjaśniło.

Po chwili spróbowałem ponownie.

— Panie komisarzu — zacząłem z nadzieją w głosie. —

Kiedy rozwiązaliśmy zagadkę morderstwa pani Skrof...

— R o z w i ą z a l i ś m y ? — powtórzył Palmu ironicznie. — To j a rozwiązałem zagadkę morderstwa pani Skrof.

Ale mów dalej!

— Tamto morderstwo miało, że tak powiem, podłoże psychologiczne — ciągnąłem. — Moim zdaniem tutaj jest podobnie. Ujawnimy mordercę dopiero wówczas, gdy zdołamy wyjaśnić psychologiczne podłoże jego motywów.

— Przecież nie potrzeba nam do tego żadnej psychologii

— odpowiedział mi bez ogródek komisarz Palmu.

— Morderca ujawnił się już dawno temu. Czyż to nam nie wystarczy?

Tym razem to ja stanąłem jak wryty, rozdziawiłem gębę i wlepiłem w niego wzrok.

— Pierwszy błąd zdradził, że popełniono morderstwo

— zaczął cierpliwie tłumaczyć Palmu. — Zaś drugi błąd 189

zdradził, kto je popełnił. — Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. — Poważnie mówisz, że ciągle nie wiesz, kto zabił

Brunona Rygsecka?

I cóż ja mogłem na to odpowiedzieć? Zacisnąłem zęby i ruszyłem dalej z niezachwianym postanowieniem, że już nigdy się do niego nie odezwę, chyba że w sprawach służbowych.

— Nie martw się — próbował pocieszać mnie Palmu, gdy w posępnym milczeniu dotarliśmy do murów kościoła świętego Henryka. — Przecież to nie twoja wina, że masz szerokie barki, ale ciasną mózgownicę. Przepisu jesz schludnie na czysto notatki i protokoły przesłuchań, i to w zupełności wystarczy. Więcej wcale nie musisz rozumieć.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

— Jutro będzie ciężki dzień — dodał. — Musimy się bardzo uwijać, za to nam w końcu dają stałą pensję. Jest bardzo wiele pytań, na które musimy jeszcze odpowieć, zanim będziemy mogli przypuścić ostateczny atak.

Winnego należy otoczyć i ująć, a imiona niewinnych oczyścić, by stały się bielsze niż śnieg.

Zapomniałem o swoim niezachwianym postanowieniu.

— Jakich pytań na przykład? — spytałem z nadzieją w głosie. Palmu się zlitował.

— Kto i dlaczego spędził noc w pokoju gościnnym? —

zaczął cierpliwie wyliczać. — Kto wydarł kartę z czerwonej księgi, kiedy i dlaczego? Czy Aimo Rykamó w istocie jest tak głupi, na jakiego wygląda? Kiedy i dlaczego do butelki wysypano cyjanku potasu? Dlaczego pani Ryg-seckowra tak bardzo chciała zamieszkać w domu męża?

190

Kto skorzystał najwięcej na jej śmierci? Dlaczego z począt-ku inżynier Vaara tak forsował przerwanie śledztwa? Jak wyglądała przeszłość Batlera, o której tyle się już mówiło?

Dlaczego w zasadzie wszyscy kłamią? Spojrzał na mnie ze smutkiem.

— Czy na przykład przyszło ci do głowy — spytał —

że może ktoś w przyływie szewskiej pasji znokautował

Brunona i poszedł sobie, a potem ktoś drugi przypadkiem zaszedł do łazienki, wepchnął nieprzytomnego do base nu, zrobił mydłem ślad na posadzce i zaciągnął zasuwkę od zewnątrz?

Była to ewentualność, której w ogóle nie wziąłem pod uwagę. Ale Palmu mówił dalej:

— Albo że ktoś zabił Brunona w afekcie, a potem ktoś inny, chcąc go osłonić, upozorował zdarzenie na nieszczęśliwy wypadek? Od samego początku było oczywiste, że każdy próbuje coś ukryć, więc wydało mi się to najbardziej naturalnym wyjaśnieniem.

Skinałem głową, starając się wyglądać możliwie naj-inteligentniej.

— Oczywiście z chwilą, gdy ginie pani Rygseck, po dobre założenie staje się już niepotrzebne — kontynuował spokojnie Palmu. — Tyle chyba sam pojmujesz. Choć może się to wydać bardzo dziwne, zaczynam skłaniać się ku temu, że to konsekwentne łgarstwo było w istocie zwykłym zbiegiem okoliczności. A skoro o tym mowa, to...

Urwał i wyciągnął z kieszeni cienką srebrną papieroś-

nicę, która mgliście przypominała mi tę widzianą na stole podczas lunchu w Kamppi. Palmu pogładził ją niemal czule i dokończył przerwana myśl:

191

— Zapomniałem dać to Kokkiemu. Tylko nie waż mi się jej otwierać, do diabła! W środku jest kilka bar dzo zgrabnych odcisków palców. Irmy Vanne, rzecz ja sna. Uznałem, że nie byłoby to zbyt eleganckie prosić ją o nie, skoro postawili nam tak wyborny lunch. Poza tym nie miałem wówczas uzasadnionego powodu, bo przecież dochodzenie zostało oficjalnie umorzone. Ja jednak mam swoje zwyczaje i lubię gromadzić odciski palców osób, które mnie okłamują. A skoro mogłem postąpić

taktownie, uznałem, że tak właśnie należy zrobić.

Komisarz niemal z rozrzewnieniem uniósł spojrzenie na jesienne niebo. Było już stosunkowo ciemno i latarnie na ulicy rzucały drżące zielonkawe światło.

— To czarująca dziewczyna — dodał Palmu i wes tchnął ciężko. — To nadzwyczaj czarująca dziewczyna i ma piękne oczy. Doprawdy nie chciałbym myśleć o niej źle, ale służba nie drużba. Dlatego zawieszysz teraz tę jej papierośnicę do Kokkiego, aby dołączył jej odciski palców do swojej kolekcji. A jak ci przyjdzie ochota, to pozwalam ci jeszcze potem wybrać się na miłą wieczorną przechadzkę i odnieść to cacko uroczej właścicielce. O ile się nie mylę, w holu Kamppi usiłowałeś pocałować ją w rękę!

Nic nie mogłem poradzić, policzki zaczęły mnie piec. Na szczęście było ciemno i Palmu nie mógł tego zobaczyć.

— A potem przygotujesz mi notatki na jutro rano —

zakończył komisarz z miną niewiniątka, jak gdyby nie wy mierzył mi przed chwilą ciosu poniżej pasa. — Będziesz miał zajęcie na cały wieczór i jutrzejszy ranek. J a nato miast odczuwam potrzebę pogrzenia się w saunie, mam 192

jeszcze sporo do przemyślenia, a jak sam wiesz, nie potrafię się skupić na dwóch rzeczach naraz.

Komisarz Palmu twierdzi, że sauna korzystnie wpływa na jego procesy myślowe. Mnie jedynie rozleniwia, ale o gusta nie ma się co spierać. Tak czy owak było to w jego stylu —

mnie skazać na przymusowe roboty, a samemu szukać rozrywki.

Kiedy się rozstawaliśmy, Palmu zerknął łakomie na postój taksówek na rogu ulicy. Tym razem jednak nie widziałem żadnego powodu, by fundować mu darmową przejażdżkę. Odprowadziłem go wzrokiem, a gdy sapiąc z niezadowolenia, wspiął się do tramwaju i drzwi zamknęły się za nim z hukiem, ruszyłem Zachodnim Wybrzeżem w stronę komendy.

Szedłem powoli pod posepnym niebem, czując się od-trącony i sponiewierany przez wszystkich. Powoli jednak w głowie zaczęła mi świtać pewna myśl. Zacisnąłem zęby i poprzysiągłem sobie, że jeszcze im wszystkim pokażę, iż mnie także na coś stać.

W komendzie Kokki pobrał odciski z wnętrza papiero-

śnicy i mogłem oczywiście odnieść ją zaraz pannie Vanne, w końcu Palmu sam mnie do tego namawiał. Bardzo mnie kusilo, żeby to zrobić, powiedziałem sobie jednak, że nie dam mu się więcej traktować jak chłopiec na posyłki. Palmu nie robił niczego bez ukrytych motywów, a ja wciąż jeszcze z palącym wstydem wspominałem pewną kolację w Savoyu, kiedy dałem się zwieść pięknym dziewczęcym oczom i głupio się wygadałem.

Zacząłem więc przepisywać na czysto notatki, a miałem z tym całkiem sporo roboty. Było już dawno po pół-

nocy, gdy z zadowoleniem złożyłem na biurku komisarza schludny plik czysto zapisanych kartek. Sam Palmu nie dawał znaku życia, choć czasem, zadawszy mi nadgodziny, lubił zatelefonować wieczorem do naszego pokoju, żeby się ze mną podroczyć.

Nie poszedłem jednak od razu do domu, tylko zabrałem się do swojej pracy. Skoro już bowiem Palmu zmusił mnie do ponownego przeczytania notatek, postanowiłem to wykorzystać i przygotować się solidnie do czekającej nas w nadchodzącym dniu pracy. Cóż się zatem okazało?

Za najbardziej oczywisty i niepodważalny fakt uznałem to,

że

Bruno

Rygseck

zginął

między

dziewiątą

t r z y d z i e ś c i p i ę c a d z i e s i ą t ą . Znalezione go w basenie mniej więcej o dziesiątej piętnaście i z d a r z a s i ę , że dorosłego człowieka udaje się przywrócić do życia, jeżeli przebywał w wodzie mniej niż kwadrans, a po wyłowieniu natychmiast podejmie sztuczne oddychanie, tak jak to było w tym przypadku.

Amalia Rygseck i pani Rygseckowa siedziały w tym czasie w sali, czekając na Brunona. Potwierdziły to obie. Nie mogły więc popełnić morderstwa. Żadna też nie miała wyraźnego powodu, aby zabić. Co prawda Bruno otruł kota pani Amalii, ale ta w akcie zemsty zamierzała go ubezwłasnowolnić i zamknąć w zakładzie. Z tego samego powodu pani Rygseckowej raczej nie powinno zależeć na śmierci

męża,

gdyby

bowiem

Bruno

został

ubezwłasnowolniony, mogłaby przejąć cały jego majątek i rozporządzać nim aż do jego śmierci. Inna rzecz, że mał-

żonkowie żyli w separacji, lecz zawsze mogła powiedzieć, 194

że powodem wyprowadzki z domu były początki choroby umysłowej męża.

I n ż y n i e r Erik Vaara przybył o dziewiątej czterdzieści pięć. Do dziesiątej przebywał, jak sam powiedział, na piętrze domu. Miał sposobność i dosyć czasu, by zejść z piętra schodkami prosto do sieni przy łazience i wrócić tą samą drogą. Nienawidził Brunona. Był cholerykiem. Moim zdaniem jednak skrytobójstwo nie pasowało do jego charakteru. Wydawało się prawdopodobne, że to właśnie on znokautował Brunona w łazience i wrzucił go do basenu.

Czy ktoś chciał go osłonić i dlatego upozorował nieszczęśliwy wypadek? Vaara był zbyt dumny, by zacierać ślady. Co Bruno pokazał mu na piętrze?

S t u d e n t Aimo Rykamó przybył około dziesiątej.

Dlatego też nie mógł popełnić zbrodni. Był poza tym na to zbyt głupi albo potrafił niesamowicie dobrze udawać. W tym drugim przypadku na pewno podejrzewał, że Bruno posłużył

się sfałszowanymi wekslami i szantażem przymusił jego siostrę do haniebnego czynu. Chciał jej to jakoś zadośćuczynić i zemścić się na Brunonie. Miał długie karciane. Dziedziczył szóstą część akcji Brunona i dzięki jego śmierci sytuacja finansowa Aima znacząco się poprawiała. Czy nie było możliwe, że przybył już wcześniej i przez piwnicę przekradł się do łazienki? Zdążyłby to zrobić bez trudu, bo pisarz Laihonen i panna Vanne odcięli tę drogę dopiero około dziewiątej pięćdziesiąt pięć. Czyżby był

naprawdę taki głupi, na jakiego wyglądał?

Airi Rykamó zjawiała się dopiero około dziesiątej piętnaście. Ale miała klucz do tylnych drzwi domu. Wiele spraw ukrywała. Do czego doszło między nią a Bruno-195

nem Rygseckiem w sobotnią noc? Czy rzeczywiście była to dziewczyna wrażliwa, niewinna i dumna? Czy może wyrachowana i pozbawiona skrupułów? Z zimną krwią poszła w środku nocy do domu Brunona, nikomu o tym nie mówiąc, choć przeczuwała, czego ten może od niej chcieć.

Pracowała w biurze koncernu, a więc nie była zamożna. Jak wiele znaczyła dla niej dziedziczona po Brunonie szósta część jego akcji? Kochała inżyniera. Czy to właśnie o n a go osłaniała, jeżeli jej postępowanie popchnęło Vaarę do morderstwa?

B a 11 e r, właśnie — **Batler!** Dlaczego najpierw kategorycznie obstawał przy wersji morderstwa, a po śmierci pani Rygseckowej zaprzeczył, jakoby przekręcił włącznik? Któż inny mógł między dziewiątą trzydzieści pięć a dziesiątą zrobić dosłownie wszystko? Sam przyznał, że kradł

pieniądze w hotelu i dlatego stracił pracę. Czego się bał?

Usunął wszystkie ślady w łazience. A może *to o n* osłaniał

mordercę? Ale dlaczego? Jeżeli jednak zamierzał najpierw otruć Brunona, ale w obawie przed

zdemaskowaniem zabił

go w inny sposób, to przecież później, w ciągu dnia, wylałby zapewne absynt z butelki i wtedy pani Rygseckowa by żyła.

(Właśnie, ta przeklęta butelka z absyntem!) Irma Vanne знаła dom. Zaprowadziła pisarza Laiho-nena do piwnicy o dziewiątej pięćdziesiąt pięć. Mogła jednak równie dobrze przyjść już wcześniej, wejść przez piwnicę i wyjść tylnymi drzwiami na spotkanie pisarza. Tylko czy miała powód, by zabijać Rygsecka? Czy jej zdjęcie widniało w czerwonej księdze? Dlaczego wobec tego wmieszała w tę sprawę Laihonena? W czym okłamała ko-196

misarza? (Tego zupełnie nie mogłem pojąć). Ale czy czarująca dziewczyna zawsze musi być zła? Moje uczucia zaczęły się buntować przeciw bezdusznym podejrzewaniom komisarza Palmu.

P i s a r z L a i h o n e n postawił nam lunch w Kamppi.

Nie znał Brunona Rygsecka. Liczył, że odzyska swój rę-

kopis. Przybył dopiero o dziewiątej pięćdziesiąt pięć. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, by on i Irma Vanne byli współnikami zbrodni i razem coś ukrywali. Gdyby Laihonon miał coś na sumieniu, raczej nie szukałby naszego towarzystwa i nie proponował nam lunchu. Poza tym pisarz nie mógł wsypać trucizny do butelki.

N i e z n a j o m y — albowiem i to jest możliwe, że żadna z przesłuchiowanych przez nas osób nie zabiła i wszystko było wyłącznie wynikiem zbiegu okoliczności.

Czy węglarze mieli sposobność, by zabić? Dlaczego stary Rygseck, prezes koncernu Rykamó, wykorzystał stosunki i doprowadził do umorzenia śledztwa? Czy podział akcji koncernu mógł mieć jakiś, na razie jeszcze nie wyjaśniony, związek z tym morderstwem?

* * *

Taką oto listę ułożyłem sobie w myślach, gdy nocą siedziałem za swoim biurkiem w komendzie przy Rynku. Co prawda sen zaczynał mi już mroczyć umysł, napawałem się jednak myślą, że moja lista nie była wcale aż taka głupia.

Nie twierdzą, że wyjaśni cokolwiek czytelnikowi, bo i mnie nie otworzyła oczu. Palmu przeczytał ją później, gdy wszystko było już jasne, i stwierdził, że to bardzo zagmatwany spis, choć znalazł w nim kilka zdań, które 197

pozwalają wywnioskować, kto był mordercą — jeśli znało się opisywane osoby.

W każdym razie mniej więcej o godzinie drugiej w nocy mogłem z czystym sumieniem wrócić do siebie, czyli do mieszkania mojej ciotki. Byłem śmiertelnie zmęczony i snu nie zmały mi ani dwa trupy, ani ciężkie bębnienie jesiennego deszczu o parapet.

Rano jednak zaświeciło słońce i w Helsinkach nastał

promienny, czysty dzień. Nie przeczuwając niczego, wszed-

łem do naszego pokoju równo o dziewiątej i przepełniony radosną żądzą czynu, zacząłem stukać na maszynie. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że jeszcze tego samego dnia wieczorem dostanę kulę w bark, ratując życie komisarzowi Palmu, uśmiechnąłbym się tylko z politowaniem.

Ale i nie mógł tego wiedzieć sam Palmu, który starym zwyczajem spóźnił się dwadzieścia minut, niosąc pod pachą zwędzone z dyżurki gazety. Czytał je dla zabicia czasu z zamyśloną miną, a ja, pomny swoich gorzkich doświadczeń, nie śmiałem mu przerywać, dobrze bowiem wiedziałem, że przesunięcie godziny rozpoczęcia pracy policji z dziesiątej na dziewiątą Palmu nadal jeszcze uważa za osobistą zniewagę.

W międzyczasie na jego biurku zaczynała rosnać mała sterta raportów, fotografii i szkiców wieńczących pracę poprzedniego dnia. Palmu jednak nawet nie zaszczycił ich spojrzeniem, choć mnie zżerała ciekawość, bo czułem, że w tych dokumentach może się kryć niejedna mała sensacja.

Pierwsza z nich gruchnęła, gdy wskazówki zegara zaczęły wreszcie zbliżać się do dziesiątej. Zadzwoił wtedy 198

telefon i Palmu warknął coś do słuchawki, bo nie lubił, gdy mu zakłócano spokój z samego rana. I choć wcale nie był

uprzejmy dla swojego rozmówcy, to gdy odkładał słuchawkę z powrotem na widełki, w jego oczach dostrzegłem głęboką świadomość własnej wartości.

— Pan Gunnar Rygseck, prezes koncernu Rykamó —

rzekł z miną niewiniątka — ma nadzieję spotkać się ze mną w swoim biurze o dziesiątej trzydzieści.

X JL«

Co mówią odciski palców? • Komisarz Palmu błdzi po omacku. • Gościmy w koncernie Rykamó. • Sak na ścianie gabinetu prezesa i mały wielki człowiek za ogromnym biurkiem. • Dlaczego w sprawę zaangażowała osoba na bardzo eksponowanym stanowisku. • Piękny nekrolog Brunona Rygsecka.

• Jedyne naturalne rozwiązanie. • Psychiatria, obciążenie dziedziczne i podział akcji. • Otepienie wczesne Aima Rykamó. • Kto będzie trzeci?

Palmu pozwolił mi spokojnie przetrwać sens przekazanej mi właśnie informacji i przejrzawszy jeszcze ogłoszenia drobne, ziewnął przeciągle i odłożył gazety. Zegar w dy-

żurce wybił dziesiątą i komisarz z roztargnionym wyrazem twarzy przystąpił do przeglądania zgromadzonych na biurku papierów.

Najpierw chwycił dokument z niebieską pieczęcią w nagłówku i po chwili zaczął swój zwyczajowy

monolog:

— No, taaa... Biedaczek! Guz na potylicy, który mógł

powstać zarówno podczas upadku, jak i wskutek uderzenia.

Woda w płucach. A jego żonie separacja wcale nie pomogła.

Cyjanek potasu i brak innych podejrzanych śladów. W

butelce z absyntem silna dawka trucizny. No, ale to wszystko to my sami wiemy.

Wybrał orzeczenie o odciskach palców i dalej bąkał pod nosem:

200

— Batler, biedaku! Łazienka i butelka absyntu świadczą o twych niespokojnych wędrówkach! Poza tym butelka to jeden wielki podręcznik historii. Każdy brał ją w swoje łapska. Za to słoiczek po cyjankali czysty jak śnieg. Żadnych śladów. Morderca miał rękawiczki, ale i to już wiemy. I popielniczka w pokoju gościnnym. Oj, oj, te piękne oczy!

Komu jak komu, ale mnie panna Vanne mogła śmiało wyznać, że spędziła tam noc. Jeszcze nigdy nie nadużyłem niczyjego zaufania.

— A więc to I r m a Va n n e była nocą w pokoju go-

ścinnym? — Oczy rozwarły mi się szeroko, a na czole wystąpiły kropelki potu. — Ale przecież Batler w i d z i a ł , jak w sobotę wieczorem wychodziła z domu, zamknął za nią drzwi!

— Batler! — powtórzył komisarz z czułością. — Tak, tutaj Kokki wyjawia nam tajemnicę jego ponurej przeszłości.

Nie ukradł nic z hotelu, jak się okazuje, tylko próbował

wyłudzić pieniądze od pewnego gościa. A to duża różnica, bardzo duża. No, ale trafił chłopak jak kulą w płot, bo gość okazał się nie w ciemną bity i skontaktował się poufnie z dyrektorem hotelu, który Batlera wylał. Biedny Batler, boję się, żeby znów nie trafił tam, gdzie nie trzeba!

— Ale wobec tego panna Vanne... — zacząłem, wracając myślami do wstrząsającej rewelacji.

— Lataj se jeszcze, Pegazie, wszystko jest tylko na razie

— przerwał mi Palmu rymoklectwem bardzo niskiej próby, z czego wywnioskowałem, że jest w doskonałym humorze. —

Tacy już jesteśmy, my, mężczyźni, zawsze w pierwszej kolejności podejrzewamy niegrzeczne dziewczynki. Ale mogę cię zapewnić, że w czerwonej księdze 201

Brunona Rysecka nie było fotografii panny Vanne. Mimo to będę musiał jej powiedzieć kilka gorzkich słów, bo łga-rzy nie cierpię. No, ale co jeszcze mówią odciski palców? Ano mówią, że to inżynier Vaara wydarł brakującą kartę z czerwonej księgi, ślady są bardzo wyraźne i świadczą o wielkiej żądzy czynu. I to chyba wszystko. Czyli nic, czego bym się już wcześniej sam nie domyślił.

— Panie komisarzu! — zacząłem. — Mówi pan, że to inżynier Vaara wydarł kartę z czerwonej księgi. A to przecież oznacza, że było na niej zdjęcie Airi Rykamó! T e r a z rozumiem, dlaczego postanowił zabić Brunona Rygsecka!

— Co ty tam rozumiesz, nic! — Palmu po ojcowsku sprowadził mnie na ziemię. — Czasem błądzimy po omacku jak lunatycy, choćbyśmy wierzyli wyłącznie własnym oczom. Chodź!

Rzucił papiery na biurko i zdjął z wieszaka kapelusz, nie wyjaśnwszy mi swoich zagadkowych słów. Ruszyłem za nim rzeczywiście jak lunatyk.

— Nie możemy wielkim panom kazać na siebie cze kać! — wyjaśnił, gdy ruszyliśmy ku centrum miasta, do wielkiego pałacu koncernu Rykamó. — Prezes Rygseck to naprawdę bardzo wielki pan i nie wolno nam go drażnić.

Niejakie pojęcie o potędze koncernu wyrobiłem sobie dopiero wówczas, gdy spostrzegłem, jak długa i zawiła droga prowadzi przed oblicze jego prezesa. Musieliśmy wpisać się na listę gości, podając imiona, nazwiska i godzinę przybycia, potem podejrzliwy portier upewnił się jeszcze telefonicznie, że w istocie jesteśmy oczekiwani, i gdy wreszcie wspaniała, bezgłośna winda zawiozła nas na najwyższe piętro do auli z zielonego marmuru, znów 202

poczułem, że buty mam nieproporcjonalnie wielkie, a rę-

kawy marynarki wytarte.

W auli czekał już na nas z zegarkiem w ręku inżynier Vaara. Widząc nas, odetchnął z ulgą.

— Przybyliście panowie punktualnie — rzekł. — To dobrze. Pan prezes Rygseck nie lubi czekać.

— Punktualność jest grzecznością królów — skwitował

skromnie Palmu. — Co prawda jestem zdeklarowanym demokratą, niemniej i od królów możemy uczyć się rzeczy wartych naśladowania.

Inżynier jednak nie słuchał, tylko popędził nas i poszli-

śmy, zostawiając za sobą trzask maszyn do pisania i zgrzyt kalkulatorów w bocznych salach. Fakt zbliżania się do najświętszego przybytku wielkiego koncernu podkreślała pogłębiająca się z każdym krokiem cisza. Nagle drogę zagroził nam przestraszony strażnik, lecz inżynier Vaara uspokoił go, szepecząc mu coś na ucho — na pewno hasło!

Przeszliśmy przez pomieszczenie, którego ściany zdobiły ciemne portrety. Dalej czekała już na nas pani w białej bluzce i okularach, która spojrzawszy z przyganą na nasze buty, podeszła na palcach do

ciemnych, lśniących drzwi i cicho zapukała. Z wnętrza dobiegło nas coś w rodzaju kichnięcia i weszliśmy do środka. Inżynier Vaara wspiął się na palce, zanim jeszcze otwarły się drzwi, ja zaś byłem mokry od potu.

W dużej sali, gdzie w hermetycznym cieple rozpływało się padające z szerokich okien czyste światło jesiennego przedpołudnia, stało gigantyczne biurko, a za nim w ponurej samotności

siedział

mały

człowieczek

o

twarzy

pomarszczonej i bladej, ale oczach jasnoniebieskich, nieco 203

wytrzeszczonych i zdumiewająco dużych. Oczy te patrzyły na nas teraz z irytacją i wcale mnie to nie zdziwiło, bo na biurku dostrzegłem cztery aparaty telefoniczne i rząd guzików-dzwonków. Człowieczek był całkiem łysy, za to matka natura, chcąc mu zapewne wynagrodzić to skąpstwo, umieściła mu w uszach gęste siwe kępkę.

Na ścianie za jego plecami wisiał poczerniały i wy-

świechtany sak domokrażcy, symbolizujący legendarną przeszłość koncernu Rykamó.

— Chcę rozmawiać w cztery oczy z panem komisarzem Palmu — odezwał się po chwili mały wielki człowiek za biurkiem. Głos miał opanowany i *dostojny*, nawykły do rozkazywania i egzekwowania respektu.

Inżynier Vaara poczerwieniał i wspiął się na palce. Bez słowa ruszyliśmy obaj potulnie w stronę drzwi i mimowolnie odetchnąłem z ulgą. Pospieszyłem się jednak.

— Obecność mojego pomocnika podczas naszej rozmowy jest wysoce pożądana, panie prezesie — odrzekł

spokojnie Palmu.

Zdumiony stanąłem w drzwiach, czekając na grzmoty i błyskawice, lecz burzy nie było. Mały wielki człowiek za biurkiem skinął tylko głową i inżynier Vaara zniknął, zerknąwszy przedtem na Palmu po raz pierwszy z szacunkiem.

— Niechże pan siada, panie komisarzu! — odezwał się prezes Rygseck donośnym, ciepłym głosem, modulując go jak wyborny aktor. — Słyszałem o panu od pańskich przełożonych — dodał i zamilkł, by sens wypowiedzia nych właśnie słów tym głębiej zapadł w świadomość jego rozmówcy.

Palmu rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko biurka. Ja sam stanąłem za fotelem i nie usiadłbym pewnie, choćby mi kazano. Robiłem wszystko, by zachowywać się tak, jak gdyby mnie tam wcale nie było.

— Wie pan może, że jestem kuternogą — zagał ciepło prezes z nutą przeprosin w głosie. — Trudno mi się poruścić i dlatego ośmieliłem się pana fatygować tu do mnie.

Inaczej oczywiście spotkałbym się z panem w pańskim urzędzie, jak w takich sytuacjach nakazuje zwyczaj.

Wydawało mi się, że śnię. Prezes Rygseck był potężnym człowiekiem, który przywykł podporządkowywać sobie innych. Kiedy mówił, łatwo się zapominało, że za wielkim biurkiem siedzi kulawy karzeł, który mógł co najwyżej przekuścić kilka kroków o lasce.

— Nasza rozmowa jest poufna — ciągnął prezes. —

Proszę sobie wybrać cygaro z pudełka przy pana łokciu.

Mam panu dużo do powiedzenia.

Palmu wybrał sobie cygaro z pudełka przy swoim łokciu.

Powąchał je z szacunkiem, obciął końcówkę i zapalił.

Uśmiechnął się i rzekł naiwnie:

— Panie prezesie. Słyszałem, że wielcy przedsiębiorcy mają różne cygara, którymi częstują swoich klientów stosownie do ich wartości. Ośmielę się być nieuprzejmy i zapytam, do której klasy należą cygara z tego pudełka?

Na obliczu prezesa Rygsecka nie drgnął ani jeden mięsień.

— Panie komisarzu — odrzekł cicho — u siebie podej muję wyłącznie bardzo ważnych gości!

Uznałem, że przygana była i taktowna, i trafna. Palmu ukłonił się lekko, uznając swoją porażkę.

— Panie komisarzu — ciągnął mały wielki człowiek cicho, lecz dobitnie. — Zaprosiłem pana tutaj, gdyż chcę porozmawiać z panem w cztery oczy o śmierci mojego bratanka Brunona Rygsecka i o tragicznym wypadku, do którego doszło niedługo potem w jego domu. Proszę pana, aby zechciał wysłuchać mnie spokojnie, nade wszystko zaś pragnę podkreślić, że nie chcę pana w żaden sposób urazić czy podać w wątpliwość pańskich kompetencji za wodowych. Jestem jak najdalszy od podobnych insynuacji.

Prezes Rygseck zawiesił głos, aby jego słowa głębiej zapadły w świadomość komisarza, i kontynuował:

— Śmierć mojego bratanka wciąż okrywa mrok tajemnicy. Co do tego, jak się zdaje, obaj jesteśmy zgodni. Kiedy dochodzi do takiej tragedii, policja musi wrszczać docho dzień, to zrozumiałe i naturalne. Inżynier Vaara słusznie postąpił, sprowadzając pana do domu Brunona. Jest jed nak równie zrozumiałe i naturalne, że usłyszawszy jego sprawozdanie z całego zajścia oraz z pańskiego zachowania, panie komisarzu, uznałem za konieczne zasięgnąć opinii specjalisty i zapytać, jak daleko w istocie sięgają uprawnienia policji kryminalnej w zgłębianiu okoliczności niewątpliwego wypadku. Traf chciał, że osoba, do której zwróciłem się z tym pytaniem — ponieważ łączą mnie z nią niejaka zażyłość i wzajemne zaufanie — zajmuje, że się tak wyrażę, bardzo eksponowane stanowisko. Nie moja to wina, że wspomniana osoba zechciała dokładniej zorientować się w sprawie i dlatego też skontaktowała się z pańskim przełożonym. Nie miałem wszak najmniejsze go zamiaru utrudniać panu wykonywania uzasadnionych czynności, a kiedy potem doszło jeszcze do drugiej trage-

dii, pierwszy wyraziłem ubolewanie z powodu umorzenia śledztwa.

Prezes ponownie zawiesił głos i spojrzął na komisarza, spodziewając się być może słów sprzeciwu, Palmu jednak milczał, jak gdyby interesowało go wyłącznie cygaro, i tylko jego zmrużone oczy mówiły mi, że zachowuje najwyższą czujność.

— Może to pana dziwi, panie komisarzu — prezes Rygseck podjął swój monolog jeszcze cieplejszym tonem — że tłumaczę panu to wszystko, pragnę jednak na samym po czątku rozproszyć wszystkie ewentualne nieporozumienia, do jakich mogłoby między nami dojść, i zapewnić pana, że od tej pory będę się odnosił do pańskiego śledztwa z pełną solidarnością. Pierwszy będę się z panem cieszyć, jeżeli zdoła pan kiedyś całkowicie wyjaśnić te tragiczne zdarzenia.

Prezes spojrzął znów na komisarza, dając do zrozumienia, że to koniec wstępu i jeśli Palmu chce, to właśnie teraz ma szansę przedstawić komentarze.

— N i e m n i e j — podjął z naciskiem mały wielki człowiek — to już zupełnie inna sprawa, czy rzeczywiście zdoła pan kiedykolwiek owe tragiczne zdarzenia całkowi cie wyjaśnić. Nie wiem, jak daleko zaszło pańskie docho dzień. Nie wiem i nawet nie chcę wiedzieć, co pan tam znalazł i co uznał za dowody w tej sprawie. Nie zamie rzam mieszać się do pańskiego śledztwa i nie wyobrażam sobie wręcz, bym mógł panu w czymkolwiek pomóc, jest pan bowiem specjalistą w jednej dziedzinie, ja zaś w zu pełnie innej, i niech szewc skóry, a krawiec igły pilnuje, jak głosi stare przysłowie.

207

Ludowe porzekadło wywołało na obliczu prezesa Ryg-secka cień uśmiechu. Palmu nie potrafił jednak należycie docenić jego wyrozumiałości, więc mały wielki człowiek podjął swój wywód:

— Mimo to są pewne sprawy, czy może pewne ewentualności, na które chciałbym zwrócić pańską uwagę. Nie mam wątpliwości, że w trakcie dochodzenia przyszła panu do głowy myśl, że mój bratanek był pod pewnymi względami człowiekiem umysłowo nie zrównoważonym.

Cieżko mi mówić o tych sprawach, wolałbym jednak, by pan nie wyciągał zbyt pochopnych wniosków. Z pewnością słyszał pan już o tej dziwacznej zabawie, do której Bruno nakłonił swoich przyjaciół i której inżynier Vaara, jako postronny obserwator, miał sekundować. Słyszał pan już, że Brunonowi strzeliło do głowy, by otruć starą kotkę mojej siostry Amalii. Mimo to przesadą byłoby uważać go za osobę psychicznie chorą. Gdyby sam, z w ł a s n e j i n i e p r z y m u s z o n e j w o l i, chciał na pewien czas odizolować się od świata, od szargającego nerwy środowiska miejskiego, nie miałbym oczywiście nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie — przyznam, że od dłuższego czasu było to moim pobożnym życzeniem. Rozmawiałem jednak o tym z Brunonem wyłącznie poufnie i po przyjacielsku i nie przyszłoby mi nawet do głowy, żeby próbować zmusić go do tego groźbą czy szantażem. Zapewniam, że nasze kontakty były jak najlepsze. Jego życie prywatne nie mogło mnie interesować. Swoje finanse oraz zobowiązania wobec kierowanego przeze mnie koncernu pielęgnował bez zarzutu.

Co więcej, rzekłbym

208

wręcz, że w interesach wykazywał się niekiedy wyjątkową przenikliwością i ostrością spojrzenia.

Mały wielki człowiek zamilkł i zatopił się we wspo-mnieniach. Po chwili cichym westchnieniem zakończył ten nekrolog, który stanowił najlepsze świadectwo, jakie do tej pory wystawiono publicznie Brunonowi Rygsecko-wi, i zaczął z innej beczki:

— Jednak moja siostra Amalia miała odmienne zdanie.

Nie zamierzam w żaden sposób jej ganić, ale przyznam, że ścierałem się z nią także w innych kwestiach. Jest starsza ode mnie, w ogóle jest najstarsza z rodzeństwa, i pamięć naszego ojca była dla niej zawsze największą świętością. Nie mogę zaprzeczyć, że jej konserwatywność i bigoteria nie zawsze pasują do dzisiejszego świata, który tak bardzo się zmienił. Amalia nie tolerowała Brunona i niestety on sam był temu po części winien, gdyż nie zawsze okazywał jej szacunek i poważanie należne najstarszemu żyjącemu członkowi rodu. Z racji trybu życia, jaki prowadził mój bratanek, Amalia zamierzała go ubezwłasnowolnić i umieścić w zakładzie zamkniętym, a sprzymierzeńca znalazła w osobie byłej żony Brunona, choć nigdy w pełni ich małżeństwa nie aprobowała. Nie wątpię, że moja siostra dała panu do zrozumienia, iż otrucie jej kotki stanowi bezsporny dowód na chorobę psychiczną Brunona. Sam nie potrafię traktować tego aż tak poważnie i wolałbym raczej powiedzieć, że ten miauczący potwór i mnie nieraz dał się mocno we znaki!

Spojrzał na nas, jak gdyby szukając zrozumienia, i na jego pomarszczonej twarzy znowu pojawił się cień uśmiechu. Zaraz jednak spoważniał.

209

— Ale nie wykluczam, że psychiczny nacisk, jaki moja siostra wywierała na Brunona, zrobił swoje. Co prawda Bruno drwił sobie tylko z tego i groził, że podejmie wo bec ciotki takie same działania, jeśli ta będzie obstawać przy swoich zamiarach. W głębi duszy był to jednak czło wiek wrażliwy, miał skłonności do depresji, do głębokiej melancholii. Przed przygodnymi znajomymi skrętnie to

ukrywał i owszem, starał się przed nimi zgrywać kogoś zupełnie innego, przybierając pozę lekkomyślnej bez troski, lecz w kręgu rodziny, gdy rozmawiało się z nim w cztery oczy, nietrudno było spostrzec ów melancholijny rys jego charakteru. Była to taka jego wstydliva, tajona choroba, skutek samolubnego zażywania rozkoszy życia.

Jedynym na nie lekarstwem jest i zawsze była sumienna praca dla dobra ogółu, no ale o pracy Bruno nawet sły szyć nie chciał. Sam pan widzi, że nie kryję przed panem niczego, i mam nadzieję, że mi pan uwierzy, panie komi sarzu, iż w najgorszych chwilach mojemu bratankowi nie były obce nawet myśli samobójcze, choć przed światem grał beztroskiego szalawiłę.

Mały wielki człowiek starannie złączył palce obu dłoni i wbił wzrok w powietrze ponad głową komisarza, mniej więcej na wysokości guzika mojej kamizelki. Mimowolnie zadrżałem z przejęcia, przeczuwałem bowiem w jego opowieści nowe, zaskakujące zwroty.

— I jeżeli biednego Brunona cokolwiek mogło prze razić — odezwał się znów ściszym głosem — to na pewno myśl o przymusowym zamknięciu w jakimś za kładzie. Wspomniałem już, że nie był szczególnie stabilny psychicznie. W niedzielę wieczorem moja siostra złoży-210

ła mu wizytę w najmniej stosownym momencie. I choć Bruno był omroczony alkoholem, doskonale wiedział, co moja siostra miała na myśli, mówiąc, że następnego dnia rano przyjdzie się z nim porachować. Czuł, że posunął się za daleko, i bał się. Nic dziwnego, że gdy w nocy nie mógł

zmrzyć oka i przewracał się niespokojnie z boku na bok, w głowie zaświtała mu myśl, by uwolnić się od tego wszystkiego, by bezboleśnie pozbyć się za jednym zamachem wszystkich problemów.

Palmu wyjął cygaro z ust i odchrząknął przepraszająco, jak gdyby chciał coś wtrącić, ale prezes Rygseck uniósł

ostrzegawczo dłoń i szybko podjął wątek:

— Wiem, co pan chce powiedzieć, proszę jednak pozwolić mi najpierw dokończyć moją myśl. Jestem już stary, sen nie nawiedza mnie już tak chętnie, a wydarzenia wczorajszego dnia wstrząsnęły mną chyba bardziej niż jakiegokolwiek inne w ciągu ostatnich lat. Nic dziwnego, że w nocy nie mogłem zmrzyć oka i cały czas myślałem, a im dłużej myślałem, tym bardziej naturalne i prawdopodobne wydawało mi się wyjaśnienie, które zaraz panu przedstawię.

Spróbowałem wczuć się w stan psychiczny Brunona i oczami wyobraźni widziałem, jak w jego zamroczonej głowie myśl o samobójstwie staje się coraz bardziej natrętna.

Bruno miał przecież w domu cyjanek potasu, jakaż to prosta i bezbolesna śmierć, odpoczynek, zapomnienie i wolność od wszystkich kłótni świata. Podjął więc decyzję, w nocy wstał

z łóżka i wsypał cyjanek do butelki swojego ulubionego trunku, do absyntu. Ale — proszę zwrócić na to uwagę! —

Bruno miał zapewne bujną wyobraźnię, brakło mu jednak zupełnie odwagi,

i gdy przez jakiś czas bawił się jeszcze tą myślą, postanowił

w końcu rzecz przełożyć na później. W razie gdyby podjął

ostateczną decyzję, butelkę absyntu miałby zawsze pod ręką, byłaby ona niejako jego wyjściem awaryjnym, gdyby się okazało, że moja siostra zdoła go jednak umieścić w szpitalu psychiatrycznym.

Mały wielki człowiek szukał spojrzeniem zrozumienia u komisarza, Palmu jednak nie skinął głową, nie drgnął nawet, tylko z nieobecną miną wpatrywał się w szary wałeczek popiołu na końcu cygara.

— Teraz na pewno myśli pan — dodał zaskakująco prezes Rygseck — że próbuję przekonać pana do hipotezy o samobójstwie Brunona. Nic bardziej mylnego, gdyż jestem wręcz przeświadczony, że koniec końców mój bratanek nie byłby zdolny odebrać sobie życia. Jak już powiedziałem, był

to wielki tchórz, to był jego słaby punkt. Jestem więc przekonany, że nazajutrz, kiedy z jasną głową zaczął

rozważać tę sprawę na zimno i obiektywnie, śmiał się tylko z tych swoich nocnych pomysłów. Niemal na pewno postanowił zwrócić się w zaufaniu do mnie, byśmy wspólnie spróbowali udobruchać moją siostrę. Bruno bowiem, o czym już wspominałem, nie był umysłowo chory. Moim zdaniem był wręcz ponadprzeciętnie inteligentny.

— Hm — skwitował zamyślony Palmu, poprawił się nieco w fotelu i strzepnął do popielniczki popiół z cygara.

— Rozumie pan, do czego zmierzam — podjął mały wielki człowiek tonem spokojnym i wyważonym. — Na-stępного dnia w sprawę wdał się ślepy traf, przeznaczenie, los czy jak to tam nazwiemy. Brunona obudzono 212

wcześniej niż zwykle i nie wątpię, że był z tego powodu niespokojny i zły. Krok miał wciąż niepewny po przepiciu, na podłogę w łazience upadło śliskie mydło...

Palmu nadal się nie odzywał. Mały wielki człowiek spojrzał na niego już z pewnym zdziwieniem. Po chwili dodał jeszcze:

— Dusza ludzka ma nader dziwną budowę. Dzisiejsza nauka na wiele sposobów próbuje rozjaśnić jej mroczne zakamarki. Przedstawiciele pewnej gałęzi wiedzy twierdzą, że w każdym człowieku drzemie utajony p o p ę d ś m i e r c i . Kto wie? Może owe nocne myśli samobójcze wycisnęły na Brunonie niezmywalne już piętno i tamtego ranka pokierowały jego bezwiednymi krokami? Może to nocna świadomość powiodła go ku śmierci, choć świadomość dzienna — chłodny, rozumowy osąd — dawno już odrzuciła myśl o samobójstwie? Są chyba psychiatrzy, którzy doszli do podobnego wniosku, badając zaskakujące przygody, jakie przytrafiają się ludziom. Nie jestem naukowcem, wydaje mi się jednak, że podobne założenie nie może znacznie odbiegać od prawdy. I teraz zwracam się do pana z takim pytaniem, panie komisarzu, bo jest pan człowiekiem odpowiedzialnym i prawym: czyż moje założenie w zupełności nie wystarczy, aby przekonująco wyjaśnić zagadki obu śmierci?

Jest rozsądne i klarowne i jeśli by pan uznał, że mógłby je zaakceptować, tym lepiej świadczyłoby to o pańskiej przenikliwości.

Głos miał ciepły i bezpośredni, a spojrzenie szczere, gdy przemawiając rozsądnie, jak mężczyzna do mężczyzny, wyciągał niejako do komisarza rękę. Lecz Palmu nie odpowiedział mu wprost.

213

— Mówiąc o Brunonie Rygsecku, panie prezesie —

rzekł cicho — nie uznał pan za stosowne wspomnieć o pewnych obciążeniach dziedzicznych.

Oczy małego wielkiego człowieka błysnęły nagle ostro i bezlitośnie.

— Nie, nie uznałem za stosowne o tym wspominać —

odrzekł zmienionym głosem.

— A przecież jest rzeczą ogólnie wiadomą, że pański ojciec zmarł na nieuleczalną chorobę psychiczną — powiedział Palmu. Takt i delikatność w doborze słów, czego tak piękną próbkę dał nam prezes Rygseck, nie należały bynajmniej do najmocniejszych stron mojego przełożonego.

Ale mały wielki człowiek nie rozeźlił się. Zerknął tylko z szacunkiem na wiszący za jego plecami brudny sak i odpowiedział spokojnie:

— Nie przeczę, że po dopełnieniu dzieła swojego żyć cię, czyli po stworzeniu spółki rodzinnej, dziś jednego z największych koncernów przemysłowych tego kraju, mój ojciec załamał się psychicznie. — Po krótkiej chwili prezes podjął: — Nie zamierzam także ukrywać faktu, że średni nasz brat, to jest ojciec Brunona, przysporzył nam wielu zmartwień chorobą alkoholową. Z kolei najmłodszy z braci, ojciec Airi i Aima, był marzycielem o słabym charakterze, który roztrwonił swój majątek na przeróżne no winki i nierentowne przedsięwzięcia. Moja siostra Amalia też ma swoje idiosynkrazje, a o sobie mogę powiedzieć tyle, że bardzo źle się czuję w pomieszczeniu z lustrem i że odczuwam nienaturalny lęk przed niespodziewanym dźwiękiem. Pewnie dziwił się pan przed chwilą, że z niejakim znawstwem wypowiadam się o zagadnieniach

psychiatrycznych. Muszę przyznać, że zainteresowanie tą dziedziną wiedzy obudziły we mnie między innymi moje osobiste dziwactwa. Niemniej...

Prezes Rygseck wparł się mocno dłońmi w blat biurka i z wymuszonym uśmiechem wychylił do przodu.

— Niemniej muszę zwrócić pańską uwagę na to, że my, dzieci sławnego ojca, właściciele wielkiego kapitału, zawsze będziemy żyć w świetle jupiterów. Nasze słabości i osobliwości nabierają w tym świetle nienaturalnych rozmiarów. Jesteśmy obiektem plotek i wyolbrzymionych sensacji. O każdym człowieku, który dobił się sławy w tej czy innej dziedzinie, czy będzie to przemysłowiec, generał czy polityk, opowiada się niestworzone bajeczki, dobre i złe.

Nie zawaham się stwierdzić, że szary człowiek kompensuje sobie tym sposobem własną tajoną słabość i nader chętnie doszukuje się słabości u bliźnich. Dlatego też nie chciałem wspominać o obciążeniach dziedzicznych, założyłem bowiem, że pan, jako człowiek inteligentny i przenikliwy, potrafi oddzielić ziarno od plew i nie będzie się zajmował nieistotnymi plotkami, które krążą o Rygseckach.

— Plotka jest jak dym — przyznał skwapliwie Palmu —

mąci jedynie widzenie. Skoro jednak mowa o obciążeniach dziedzicznych, zwrócił pan zapewne uwagę także na rozwój umysłowy

pańskiego

bratanka

Aima

Rykamó.

Niewykluczone, że wykwalifikowany psychiatra dostrzegłby w nim objawy choroby, której naukowa nazwa brzmi demen... dementoks...

— *Dementia praecox* — dopowiedział życzliwie rozba-wiony prezes Rygseck i uśmiechnął się. — Czyli inaczej: 215

otępienie wczesne. Obawiam się jednak, że pan przesadza, panie komisarzy. Aimo może nie jest błyskotliwy, ale ma dobre serce i jest uczciwym chłopcem. Nie mam wątpliwości, że jeszcze zmeźnieje. No i sam pan widzi, panie komisarzy, że obciążenia dziedziczne nie przeszkodziły mi w osiągnięciu wysokiej pozycji prezesa wielkiego koncernu.

Palmu z szacunkiem skłonił głowę.

— Koncern jest spółką rodzinną, o ile mi wiadomo —

powiedział. — Posiadaczami akcji mogą być wyłącznie potomkowie pańskiego ojca w linii prostej. Pozwolę sobie zapytać, kto ma w koncernie decydujący głos?

Po raz pierwszy w trakcie całej rozmowy mały wielki człowiek poruszył się niespokojnie, a na jego pomarszczonej bladej twarzy pojawił się lekki rumieniec.

— Nie pojmuję powodów pańskiej ciekawości — od rzekł z irytacją w głosie. — Jak już jednak wspomniałem na początku tej poufnej rozmowy, pragnę być z panem cał

kowicie szczerzy. Moja siostra posiada czwartą część udziałów, ja zaś prawie połowę, gdyż większa część akcji mojego najmłodszego brata przeszła na moją własność drogą legalnego zakupu jeszcze za jego życia. Bruno dysponował

czwartą częścią akcji, a Aimo i Airi mają oboje po kilka sztuk, co nadal daje im prawo głosu na zebraniach zarządu, na których decyzje przechodzą zwykłą większością.

Palmu wyciągnął z kieszeni krótki ołówek i brudny karteluszek, na którym zapisał jakieś ułamki. Po chwili uniósł głowę i powiedział przepraszająco:

— Mój mózg pracuje dość wolno, jeżeli jednak strasznie nie pogubiłem się w rachunkach, w wyniku śmierci 216

Brunona Rygsecka pan, panie prezesie, zdobędzie pełną i niczym nie ograniczoną władzę w spółce. Pozostali akcjonariusze nie mają już w tej chwili nic do powiedzenia.

— Prosta arytmetyka! — rzucił prezes Rygseck z za mierzoną oschłością, a jego oczy błysnęły bezlitośnie.

— Pragnę jednak zauważyć, że akcjonariusze naszej spółki

już przedtem solidarnie popierali zarówno mnie, jak i moje decyzje. Nigdy nie miałem kłopotów z uzyskaniem niezbędnej większości głosów do przeprowadzenia swej woli. Mimo że dziedzicę trzecią część akcji Brunona, gro madząc tym samym pakiet większościowy, jako pierwszy wyrażam szczerzy smutek z powodu jego tragicznej śmierci. Nie muszę chyba dodawać, że również w przyszłości będę tak jak do tej pory brał pod uwagę życzenia pozostałych akcjonariuszy oraz ich opinie, które mają pełne prawo wyrażać.

Palmu uparcie milczał, wpatrując się w rozmiękłą od nikotyny końcówkę cygara. Ostrożnie umieścił je między wargami i raz jeszcze się zaciągnął. Prezes Rygseck zaczął

zdradzać objawy zniecierpliwienia.

— Uważam, że zaspokoilem pańską ciekawość — powiedział, siląc się na poprzedni serdeczny ton. — Nie miałem jednak jeszcze okazji zapoznać się z pańską opinią w tej sprawie, a po to pozwoliłem sobie pana tu zaprosić. Zupełnie otwarcie przedstawiłem panu hipotezę, która najzupełniej zadowalająco wyjaśnia śmierć mojego bratanka i związany z nim kolejny nieszczęśliwy wypadek, a popchnęła mnie do tego jedynie chęć zadość uczynienia prawdzie. Jest pan człowiekiem bezstronnym, panie komisarzu, i nie wierzę, aby dysponując wyłącznie 217

niesprecyzowanymi i niewiarygodnymi podejrzeniami, chciał pan w dalszym ciągu robić z tej sprawy skandal, kiedy można ją wyjaśnić całkiem naturalnie i zrozumiale. Palmu odłożył niedopałek cygara do popielniczki, poprawił się w fotelu i wbił zmrużone oczy w siedzącego za potężnym biurkiem małego wielkiego człowieka.

— Morderstwo jest zawsze morderstwem!

— powiedział.

Prezes Rygseck zrzucił wreszcie maskę i jego drobna postać uniosła się nad biurkiem.

— Żądam dowodów! — wykrzyknął i walnął pięścią w stół. — Jeżeli oczywiste i niepodważalne dowody nie wykażą, że istotnie popełniono morderstwo, pozostanę przy swoim naturalnym wyjaśnieniu, które panu przedstawiłem. I nie pozwolę, by pieniądze helsińskich podatników marnowano na prowadzenie jałowych dochodzeń, które nie posuwają się ani na jotę do przodu, robią natomiast dużo złego szumu i dają asumpt do plotek! Mam nadzieję, że pan zrozumiał, co mam na myśli!

— Morderstwo jest jak lawina kamieni — odrzekł Palmu z niewzruszonym spokojem — morderstwo jest jak choroba zakaźna. Każde nie wyjaśnione zabójstwo pociąga za sobą kolejne. Mamy już dwa trupy. Ta lawina nie zesła jeszcze do końca. Kto b ę d z i e t r z e c i ?

Mały wielki człowiek opuścił nagle ręce, rozparł się w fotelu i uśmiechnął sztucznie.

— Panie komisarzu — odezwał się znowu z uprzedzą jącą grzecznością — jest pan mężnym człowiekiem i nie bez kozery pańscy przełożeni wypowiadali się o panu w samych superlatywach. Zawsze jestem gotów uszano-218

wać w drugim człowieku obowiązkowość i niezłomność przekonań. Niechże pan zatem kontynuuje swoje śledztwo.

Proszę się wywiązać z powierzonego panu zadania, ja zaś będę liczyć na pańską dyskrecję, ufając całkowicie, że zrobi pan, co w jego mocy, by uniknąć rozgłosu. I nie przyniesie to panu wcale ujmę, jeśli w końcu potwierdzi pan hipotezę, którą przed chwilą przedstawiłem. Pierwszy wtedy pospieszę z gratulacjami.

Umilkł i spojrzał na Palmu z rozbawieniem i ciekawo-

ścią, jak gdyby miał w rękawie jakąś niespodziankę.

— Nie rozmawiajmy zatem więcej o tej sprawie — powiedział. — Nie był to jednak jedyny powód, dla którego pana tutaj zaprosiłem. Mam dla pana coś jeszcze. Chciałem jednak wyrobić sobie pogląd o pańskim charakterze, o pańskiej sumienności i obowiązkowości. I dane mi było osobiście stwierdzić, że pochlebne opinie pańskich prze-

łożonych nie były wcale przesadzone. Przejdźmy zatem do r z e c z y !

JL JE* •

Komisarz

Palmu

otrzymuje

propozycję

objęcia

intratnej posady stróża nocnego. • „Wszystko to będzie twoje, jeżeli...” • Wstrząsająca opowieść o braterskiej miłości. • Zaćma inżyniera Vaary i niewłaściwa dziewczyna w sypialni Brunona. • Szczere wyznanie i skutki skrajnej oszczędności. • Airi Rykamó podziwia swoje piękne ciało. • Do czego zatem doszło w sobotnią noc?

Mały wielki człowiek za biurkiem z przyjemnością przyglądał się naszym pełnym napięcia twarzom. Wreszcie spojrzął na komisarza niemalże figlarnie i rzekł:

— Ta sprawa zaprzęta mnie od dawna. Aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, podkreślę raz jeszcze, że nie ma to żadnego związku z tymi tragicznymi wydarzeniami, o których rozmawialiśmy w pierwszej części naszego spotkania. Panie komisarzu, jest pan w kwiecie wieku i przed panem jeszcze wiele lat pracy na ważnym stanowisku, ale czy przyszło panu kiedyś do głowy, że prędzej czy później nadejdzie przecież dzień, w którym zostanie pan emerytem?

— Emerytem?... — wyszeptał Palmu. Ręce mu zadrżały, a twarz powoli oblała się rumieńcem.

— Ma pan za sobą piękną karierę — podjął prezes Rygseck, wyraźnie zadowolony, że zdołał zbić komisarza z pantałyku — ale społeczeństwo nie jest zdolne płacić 220

wysokich pensji zasłużonym urzędnikom administracji państwowej. Nie sędzę więc, aby mógł pan cokolwiek odłożyć na stare lata. Natomiast prywatny przedsiębiorca może zagwarantować swoim najlepszym pracownikom zupełnie inne warunki i możliwości.

Prezes Rygseck znów zawiesił głos i spojrzął na Palmu z badawczą ciekawością.

— Wie pan, że kierowany przeze mnie koncern to po-tentat — podjął. — Organizacja i rozwój to dwa zasadnicze składniki jego powodzenia. Sprawa wygląda tak, że już od dłuższego czasu planujemy centralizację i ujednoczenie systemu nadzoru w naszych fabrykach, magazynach, zakładach i biurach. Na razie jest tak, że każda fabryka czy zakład naszego koncernu w zasadzie niezależnie prowadzi u siebie dozór nocny, utrzymuje służbę strażniczą i tworzy dla niej własne regulaminy, czego skutkiem są zamieszanie, nadmierne koszty, a nawet nadużycia. Będzie nam więc niedługo potrzebny energiczny i odpowiedzialny człowiek z doświadczeniem, aby to wszystko scentralizować i zorganizować od nowa. Praca ta początkowo wiązałaby się z koniecznością częstego podróżowania, aby zapoznać się z warunkami panującymi w różnych rejonach kraju i tak dalej, ale po reorganizacji sprowadzałaby się właściwie wyłącznie do nadzorowania i przeprowadzania inspekcji terenowych, najogólniej zaś — do gwarantowania, że cały system funkcjonuje bez zarzutu. Rozglądaliśmy się już za odpowiednią osobą, zdolną podjąć się tego trudnego i odpowiedzialnego zadania, i nie muszę chyba dodawać, że zaakceptowanemu przez nas kandydatowi zagwarantujemy nie tylko ciekawą pracę, lecz także god-221

ne jego prestiżu warunki finansowe. Panie komisarzu, nie wykluczam, że w niedalekiej przyszłości zaproponujemy objęcie tego stanowiska właśnie panu.

Pąs zniknął już z oblicza komisarza. Palmu wbił wzrok w podłogę, jak gdyby tam właśnie szukał owej świetlanej wizji przyszłości, którą przed nim nakreślił mały wielki człowiek.

— I mam nadzieję, że kiedy ten czas nadejdzie — za kończył prezes Rygseck spokojnym tonem — poważnie ustosunkuje się pan do naszej propozycji, którą być może panu złożymy. To nie ulega kwestii, że tak grun townie rozwiązanie wymaga głębokiego namysłu obu stron. Żywię jednak nadzieję, że już teraz wystarczająco jasno przedstawiłem panu własne zamiary i stanowisko w tej sprawie.

Podparł się na swojej lasce i z trudem uniósł z fotela.

Jedną stopę prezesa Rygsecka zakrywał nieforemny, okuty metalem but. Ze szczerym, ciepłym uśmiechem mały wielki człowiek wyciągnął dłoń do komisarza. Palmu jednak nie był jeszcze gotów się z nim pożegnać.

— Doceniam pańską łaskawą propozycję, panie preze sie — powiedział i skłonił głowę z szacunkiem. — Jeżeli jednak nie ma pan nic przeciwko, prosiłbym, aby podyk tował pan swojej sekretarce jakąś notatkę w tej sprawie.

Nakreślił pan przede mną piękną wizję przyszłości, ale pewnie nie przyszło panu do głowy, że ta wizja pryśnie jak mydlana bańka, jeżeli przypadkiem także panu zda rzy się niespodziewanie odejść z tego świata.

Głos komisarza był ciepły i rzeczowy. Mimo to mały wielki człowiek wzdrygnął się i mocniej oparł na swojej 222

lasce. Zaraz się jednak opanował i na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

— Moje zdrowie nie jest tak dobre, jak bym sobie tego życzył — powiedział. — Ale przyświecała mi w życiu tylko jedna gwiazda przewodnia, a mianowicie p r a c a , moje wiekopomne dzieło, koncern Rykamó, chluba nasze go rodu. Koncern przetrwa, choćby i mnie zabrakło. Ale pańska uwaga jest słuszna, panie komisarzu, od dawna już planuję odpoczynek, krótki urlop. Kto wie, może na zimę pojedę z siostrą na jakiś czas do cieplejszych krajów.

Proszę się jednak nie obawiać, w żaden sposób nie wpły nie to na nasze plany.

Mężczyźni spojrzeli na siebie z respektem. Palmu uścisnął wyciągniętą dłoń i z nienaganną kurtuazją wy-cofaliśmy się przez ciemne drzwi do korytarza. Kiedy je zamykaliśmy, mały wielki człowiek, wsparty na lasce, stał

jeszcze przy swoim gigantycznym biurku.

— Widziałeś ten jego but? — szepnął mi Palmu w korytarzu. — Zauważyłeś, jaki miał kształt?

— Szeroki, tępo zakończony, niemal okrągły i okuty metalem — odrzekłem, nie wiedząc, co myśleć o pytaniu komisarza.

— W tej sprawie tak często wspomina się o złych mocach — powiedział Palmu, ciągnąc mnie za sobą — że wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten but zakrywał... czarcie kopyto!

* # *

Głowę miałem już ciężką od bijących się ze sobą myśli i chciałem wyjść na świeże powietrze, komisarz jednak poczuł

nagle wzmożoną potrzebę czynu.

223

— Proszę nas zaprowadzić do pana inżyniera Vaary —

rozkazał w korytarzu strażnikowi, który z szacunkiem zszedł nam z drogi.

Mężczyzna posłuchał bez szemrania. Długi czas spę-

dzony przez nas w najświętszym przybytku koncernu był dla strażnika najlepszym poręczeniem.

Przeszliśmy przez kreślarnię na parterze i znaleźliśmy się w pokoju, w którym za biurkiem, naprzeciw żwawo pracującej maszynistki, siedziała panna Airi Rykamó.

Strażnik nas zostawił, a wtedy panna Rykamó uprzejmie wstała i spojrzała wyczekująco na komisarza. Palmu spytał o inżyniera Vaarę i dziewczyna bez słowa skinęła głową w stronę bocznych drzwi, jak gdyby dostała nagle skurczu wargi. Gdy weszliśmy do sąsiedniego pokoju, inżynier powitał nas, wstając zza biurka ze zdziwioną i niechętną miną.

— Nie, panie inżynierze, jeszcze nie zgodziłem się u was na nocnego stróża — palnął komisarz, rozsiadając się bez pytania w fotelu — choć w obecności świadka otrzymałem obietnice, które nie wiążą żadnej ze stron.

Proszę się nie fatygować i nie wyjmować cygar z szufla dy! I tak na pewno nie dorównują tym, którymi częstuje swoich gości pański przełożony.

Ręce inżyniera spoczywały spokojnie na biurku i Vaara nawet nie zamierzał wyciągnąć cygar, ale komisarz Palmu ma osobliwe poczucie humoru, jak to już wcześniej wielokrotnie przyszło mi stwierdzić.

— Tak — ciągnął Palmu — powinniśmy zacząć powoli odkrywać swoje karty. A zatem wczoraj rano, za kwa drans dziesiąta, wzburzony i rozgoryczony zjawił się pan 224

w domu Brunona Rygsecka. Usłyszawszy, że gospodarz bierze kąpiel, wykorzystał pan sposobność i wszedł na piętro do jego sypialni, wyciągnął pęk kluczy z kieszeni spodni Rygsecka i otworzył pan

środkową szufladę biurka. Czego pan tam szukał?

Palmu zawiesił na chwilę głos, zaraz jednak sam odpowiedział na to retoryczne pytanie:

— Nie, bynajmniej nie szukał pan tam cygar! Wydarł

pan tylko ostatnią kartę z czerwonej księgi Brunona Ryg secka, z jego wspominkowej kolekcji, że tak się wyrażę, choć trzeba przyznać, że kolekcjonował wspomnienia dość nietypowe. Potem czekał pan jeszcze chwilę na po wrót gospodarza, by spuścić mu zasłużone manto, ale był pan zdenerwowany i szybko znudził się czekaniem, więc wrócił pan na dół, do zajmującego towarzystwa obu pań Rygseck. Wtedy też dołączył do was Aimo Rykamó, co z pewnością wcale pana nie ucieszyło. Jednak pań ski szacunek do niego z pewnością wzrósłby niepomier nie, gdyby pan tylko potrafił przewidzieć, że chwilkę wcześniej nasz student Aimo dokonał nader wymyślnej zbrodni!

Inżynier Vaara wyskoczył niemal zza biurka, a na jego twarzy odmalował się wyraz bezgranicznego, tępego oszo-

łomienia:

— Aimo?! Aimo to zrobił?!

Ja natomiast musiałem mocno potrząść skronie, bo znów poczułem się jak lunatyk.

— Pewnie pan się zdziwił, co? — plótł dalej Palmu dobrodusznym tonem. — No, ale nie mówmy teraz o tym, c o tak naprawdę pan podejrzewał, kiedy wyważył drzwi 225

łazienki i razem z całą resztą poganiał Batlera, żeby jak najszybciej usunął wszystkie ślady. Choć nietrudno to zgadnąć, jeśli sobie przypomnieć, że niemal w tym samym momencie do łazienki wpadła pańska luba, zupełnie roztrzęsiona i rozhisteryzowana. Inżynier natychmiast się najeżył.

— Jeżeli myśli pan o panie Rykamó — rzekł oschle

— to stwierdziliśmy oboje, że absolutnie nic nas nie łączy.

Nie widzę powodu, by mieszać ją do tej sprawy.

— No, ale kiedy to właśnie przez nią wszystko się stało

— zdziwił się niewinnie Palmu. — Oj, dzieci, dzieci! Ale pomówmy o Aimie. To dobroduszny i uczciwy chłopak, to mu trzeba przyznać. Gdy tylko pojął, że Bruno posłu żył się sfalszowanymi przez niego wekslami, aby, że tak powiem, pozbawić czci jego siostrę, dłużej się nie zasta nawiał. Bruno wciągnął go w hazard, był złym duchem jego życia, zhańbił jego siostrę. Czy muszę mówić dalej?

Inżynier spuścił głowę, obejmując rękoma głowę. Twarz mu drżała, ale nic nie powiedział.

— A co czyni z tej sprawy prawdziwą tragedię — pod jął Palmu współczującym tonem — to fakt, że pomyliliście się obaj, i pan, i Aimo. Okazało się bowiem, że zamor dowany wcale nie był aż tak

złym człowiekiem, jak są dziliście. Bruno Rygseck palcem nie tknął Airi Rykamó.

I z tego powodu nawet ja nie mogę panu wybaczyć. Bo przecież warunkiem koniecznym miłości dwojga ludzi jest obopólne z a u f a n i e .

Inżynier uniósł powoli głowę.

— Nie wiem, o czym pan mówi, panie komisarzu! —

rzucił z goryczą. — Nie było miejsca na pomyłkę. Jestem 226

z zawodu inżynierem i mam w zwyczaju wierzyć w to, co widzę na w ł a s n e o c z y !

— Istnieją różne bielma i zaćmy — odrzekł spokojnie Palmu. — Wie pan, że Airi Rykamó poszła w nocy do domu Brunona i zabawiła u niego jakiś czas. Wie pan może również, że miała klucz od tylnych drzwi, aby nikt jej nie zobaczył. Między tą dwójką doszło do czegoś, o czym ani pan, ani ja nic nie wiemy, gdyż Bruno Rygseck już nam tego nie powie, zaś Airi Rykamó uważa, że wiąże ją jakaś idiotyczna przysięga. Jeżeli jednak wyobraża pan sobie, że tak czysta i dumna dziewczyna jak ona uległaby w tak haniebnym sposobie szantażyście, by uratować swojego głupiego brata przed konsekwencjami podrobienia kilku weksli, której to sprawie pan prezes Rygseck nigdy nie pozwoliłby ujrzeć światła dziennego, to jest pan w istocie bałwanem i sam jest pan sobie winien, że stracił ukochaną!

— Przecież sam w i d z i a ł e m ! — jęknął inżynier. Jego nieszczęśliwe oczy wyrażały cierpienie, a pewność siebie chwiała się już w posadach.

— Wobec tego proszę mi wreszcie pokazać to zdjęcie! —

zdenewował się Palmu. — Idę o zakład, że natychmiast wskażę panu błąd, a od tej pory już nigdy więcej nie będzie pan święcie wierzył w to, co pan widzi na własne oczy.

Nie spuszczać z komisarza nieruchomego spojrzenia, inżynier drżącymi dłońmi otworzył boczną szufladę biurka i wyciągnął z niej złożoną kartę z naklejonym zdjęciem. Jej brzeg nosił nierówny ślad po wydarciu. Vaara szybko rzucił

zdjęcie na blat, po czym zacisnął pięści i odwrócił wzrok.

227

Zdjęcie przedstawiało Airi Rykamo. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Naga dziewczyna leżała na łóżku i uśmiechała się do fotografa.

— Fachowa robota! — zachwycił się Palmu. — Bruno najzupełniej słusznie liczył na to, że Airi Rykamo będzie zbyt dumna, by prosić pana o jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Przecież ta biedna dziewczyna nie potrafiła nawet prze czuć podobnego świństwa. Gdybym jednak nosił przy sobie szkło powiększające, jak nasz przyjaciel detektyw Kokki...

W inżyniera wstąpiło nowe życie. Na stoliku w głębi pokoju szybko namacał dużą lupę i wręczył ją komisarzowi.

Palmu przez chwilę uważnie badał zdjęcie, po czym zaczął

wykład:

— A więc to była zbrodnia Brunona Rygsecka. Nie do tykając nawet dziewczyny, pozbawił ją czci i zburzył przy okazji szczęście dwojga ludzi. Bruno interesował się foto grafią. Na pewno miał gdzieś jakieś stare, zrobione latem okolicznościowe zdjęcie panny Rykamo. Miał natomiast całą kolekcję trochę innych ujęć w trochę innych pozy cjach, czego dowodem jest ta jego czerwona księga wspomnień. Wystarczyło więc już tylko zlecić sprawę sprawne mu retuszerowi, mówiąc mu, że chodzi o niewinny żart.

To żadna sztuka odpowiednio powiększyć i połączyć dwa różne zdjęcia, przydając twarzy Airi Rykamo taki czy inny, dość nieskromny korpus. Po sfotografowaniu tak połączonych zdjęć powstaje naturalnie wyglądająca fotografia i oszustwo bardzo trudno spostrzec, zwłaszcza gdy wyretuszować jeszcze miejsce zetknięcia się zdjęć składowych, tak jak to zrobiono i w tym przypadku. A pan, biedaku, 228

oczywiście od razu postradał całą wiarę w człowieka, bo na domiar złego dziewczyna na zdjęciu promiennie się uśmiecha. Męska godność nie pozwoliła panu zbyt dokładnie przyjrzeć się tej fotografii.

Inżynier Vaara drżącymi rękoma ujął szkło powiększające i przyjrzał się zdjęciu. Po chwili zwiesił bezwładnie ramiona. Uszy mu poczerwieniały, lecz na jego twarzy malował się wyraz nieopisanego ulgi.

— Zachowałem się jak bałwan! — stwierdził zwięźle.

— Myśli pan, że Airi kiedykolwiek mi to wybaczy?

Oblicze komisarza Palmu przybrało twardy, zdecydowany wyraz.

— Nie w tym teraz rzecz! — warknął. — Zapomina pan, że naszym zadaniem jest wyjaśnienie zagadki mor derstwa. Pan zamierzał spuścić Brunonowi jedynie po rządne manto, Aimo Rykamó zrobił dużo więcej. Przy puszczał, że już w niedzielę wieczorem, gdy dotarło do niego to, co i panu się zdawało, zabrał niepostrzeżenie słoiczek z cyjankali i wsypał całą zawartość do butelki z absyntem. Biedaczek Aimo inteligencją nie grzeszy. Miał

jednak całą noc na wykoncypowanie, co mogłoby się stać, gdyby Bruno umarł wskutek otrucia. Podejrzenia mogłyby się skupić na jego siostrze, której chciał przecież zadość uczynić za swoją winę wobec niej. Dlatego rano, gdy Airi jeszcze spała, wyjął z jej torebki klucz do tylnych drzwi i zakradł się do domu Brunona w porze kąpieli gospo darza. Ten niczego nie podejrzewał, gdy Aimo niespo dziewanie wszedł do łazienki, więc chłopak bez trudu ogłuszył kuzyna i wrzucił go do basenu. Potem mydłem zrobił ślad na podłodze, aż taki głupi to on jednak nie 229

jest, a wychodząc, zaciągnął zasuwkę w drzwiach dzięki sztuczce, której nauczył się pewnie z jakiejś książki lub filmu. Ale i za bardzo mądry Aimo też nie jest, więc bezmyślnie przekręcił włącznik przy drzwiach, gasząc światło w łazience. A potem wyszedł tylnymi drzwiami, okrążył dom, zadzwonił do głównych drzwi i już od progu poprosił Batlera o kieliszek czegoś mocniejszego. Może się bał, że ktoś go widział, gdy okrążał dom, chciał więc od razu oddalić od siebie wszelkie podejrzenia.

— Czy Aimo miałby aż tyle zimnej krwi? — powątpiewał jeszcze inżynier.

— Bieg myśli Aima Rykamó jest stosunkowo wolny, on sam zaś zdradza objawy otępienia wczesnego — rzekł

Palmu, strojąc się bez skrpułów w piórka prezesa Ryg-secka. — To nie zimnokrwistość, lecz zwykła ociężałość umysłowa i głupota. Zauważył pan może, że przedwczoraj posiłkował się kieliszkiem tym częściej, im bardziej sobie uzmysławiał skutki swojego czynu. Chyba pan widział, że biedak był zupełnie pijany!

— To dlaczego A ir i tak okropnie się złąkla? Dlaczego ona pojawiła się w domu Brunona zaledwie chwilę po popełnieniu zbrodni? — indagował inżynier.

— Być może pańskie zachowanie sprawiło, że tknęło ją złe przecucie — wyjaśnił komisarz. — Pojęła, że doszło do jakiegoś strasznego nieporozumienia, i chciała pana powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego. Ale na pewno jeszcze bardziej się złąkla, gdy Aimo, jej rodzony brat, ukradkiem podał jej klucz do tylnych drzwi domu i kawałek sznurka, którym zaciągnął zasuwkę w łazience, prosząc, by schowała je w swojej torebce. Dalej biedny 230

Aimo nie potrafił już wybiec myślą. Airi Rykamó chciała pomóc bratu, dlatego gdy zapytałem o klucz, oddała mi go od razu z dumną miną, ściągając podejrzenia na siebie. Sam pan ją przecież podejrzewał.

— Ale... ale... — wyjąkał inżynier — jak pan wyjaśni fakt, że po południu Aimo sam zaproponował absynt ciotce Amalii?

— Wcale nie tak trudno to wyjaśnić, jak się panu zdaje

— roześmiał się Palmu. — Aimo nie miał sposobności, by nie wzbudzając podejrzeń, wylać zawartość butelki. Nie miał

jednak także najmniejszego zamiaru otruć ciotki. Po prostu alkohol uderzył mu do głowy, stał się arogancki i zgrywał się na dowcipnisia. I musiało to być dla niego strasznym zaskoczeniem, gdy nagle pani Rygseckowa poprosiła o kieliszek absyntu. Gdyby Aimo był inteligentniejszy albo szybszy, oczywiście stłukłby butelkę lub wpadł na jakiś inny pomysł. Ale mózg biedaka nie pracował zbyt sprawnie.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

— Nie, nie i nie! — sprzeciwił się nagle i kategorycznie inżynier Vaara, po czym obrócił się do komisarza z wypi saną na twarzy żądzą czynu. — Nigdy nie zdoła pan tego udowodnić!

Palmu wzruszył ramionami.

— Wie pan dobrze, panie inżynierze — odrzekł łagodnie — że taką sprawę można rozwiązać jedynie przyznań się do winy. Aimo Rykamó ma miękki charakter.

Wystarczy, że zamkną mnie z nim na jakiś czas w jego celi, już ja mam swoje sposoby, by uzmysłwić mu sytuację, w jakiej się znalazł. Dowiedzie się, że w najgorszym razie

będę zmuszony zatrzymać jego siostrę za pomocnictwo w zabójstwie. To mu ostatecznie rozwiąże język!

— A-Airi? — wyszeptał inżynier i pobleadł.

— Jak najbardziej, przecież ukryła dowody i pomogła zabójcy — stwierdził Palmu łagodnym tonem. — Byłoby to bardzo przykre, gdyby do tego doszło. Niechże pan sobie tylko spróbuje wyobrazić, jaką hańbą okryłyby się ród Rygsecków i cały koncern. Dlatego wcale się nie dziwię, że pan prezes próbował kupić moje milczenie w zamian za przyjęcie posady stróża nocnego. Zapomina pan również, że Aimo i Airi Rykamó są spadkobiercami Brunona. Świat wytłumaczy sobie to wszystko w najgorszy możliwy sposób.

Erik Vaara wparł się obiema dłońmi w blat biurka i wbił

spojrzenie w komisarza. Poza ważności i dumy opadła z niego niczym zbyt obszerna szata. Teraz inżynier był

wyłącznie młodym mężczyzną o ponurych, poważnych oczach i myślach, z którymi wyraźnie się zmagał, jak gdyby stanął w obliczu ciężkiej decyzji.

— Aimo Rykamó jest już pod strażą — dodał bezlitośnie Palmu. — Przyszedłem do pana jedynie się upewnić, że on i pan działaliście w dobrej wierze. Niewykluczone, że ów pański straszliwy błąd zostanie mu poczytany za okoliczność wpływającą na złagodzenie kary, ale żaden sędzia nie przymknie oka na fakt, że była to jednak drobniuzgowo zaplanowana zbrodnia. A teraz, jeżeli pan pozwoli, muszę skorzystać z telefonu i wydać kilka poleceń!

Palmu wychylił się w fotelu i wyciągnął rękę do aparatu, lecz inżynier Vaara chwycił go gwałtownie za ramię.

232

— Nie, nie! — powiedział i na czoło wystąpiły mu kropelki potu. — Proszę zaczekać! Niechże mi pan da chwilę do namysłu!

— Chwilę do namysłu! Zwariował pan? — parsknął

Palmu. — Przeszkadza mi pan w wykonywaniu obowiązków służbowych!

Rozedrgane oblicze inżyniera powoli się uspokoiło i przybrało w końcu twardy, niezgłębiony wyraz.

— Jest pan bardzo przebiegły, panie komisarzu! — wy rzekł głucho, patrząc mu prosto w oczy. — Mówi pan, że jedynie przyznanie się mordercy może zakończyć to dochodzenie. Jest pan szantażystą, i to okrutniejszym od Brunona Rygsecka! Aimo to brat Airi, ja zaś wyrządziłem jej już zbyt wiele krzywdy i nie mogę dłużej się na to godzić. Stać mnie jeszcze na tyle odwagi cywilnej. Po pełniłem straszliwy błąd i zniszczyłem sobie życie, ale zapewniam pana, panie komisarzu, że działałem w dobrej wierze!

Palmu nieznacznie skinął głową. Spojrzał na inżyniera ze współczuciem.

— Tak, panie komisarzu! — ciągnął Vaara. — Pan się tego domyślał. To ja zabiłem Brunona Rygsecka!

Napięcie opadło. Palmu rozparł się znów w fotelu. Ja zaś

— cóż, ja przewróciłem kolejną kartkę w swoim notesie, bo cóż innego mogłem w takiej chwili zrobić?

— Proszę wszystko opowiedzieć! — polecił mu cicho komisarz.

— Zaznaczę jeszcze raz, to było zabójstwo w afekcie! —

podkreślił inżynier. — Wie pan już, co myślałem o Brunonie i Airi. Kiedy pokazywał mi to zdjęcie, był pi-233

jany. A ja chciałem, żeby był trzeźwy, gdy dostanie to, na co sobie zasłużył. Dlatego zaraz na drugi dzień, w poniedziałek rano, zjawiłem się ponownie w jego domu. Kiedy był w łazience, poszedłem do niego na piętro i wydarłem z tej jego książki to przekłete zdjęcie. Ale na jego widok znowu się wściekłem, rozbiłem mu więc sprzęt fotograficzny i już przestałem nad sobą panować. Zbiegłem po schodkach do łazienki. Bruno właśnie wyszedł z basenu i przewiązywał

plaszcz kąpielowy paskiem. Zobaczyłem tę jego obrzydliwą gębę i wbiłem w nią całą swoją nienawiść. Wpadł z powrotem do wody, uderzając paskudnie o krawędź basenu.

Byłem przekonany, że... że to jego koniec. Nie miałem w ogóle wyrzutów sumienia. Zastanawiałem się tylko, jak tę śmierć upozorować na nieszczęśliwy wypadek. Nie chciałem niszczyć sobie życia z powodu takiego łajdaka jak on, choć kiedy myślałem o Airi, było mi już wszystko jedno. Ale namoczyłem mydło i zrobiłem ten ślad na podłodze. Jestem inżynierem, więc od razu się zorientowałem, jak można zaciągnąć zasuwkę drzwi od zewnątrz. — Pan Vaara uśmiechnął się smętnie. — Nie wie pan zapewne, że pochodzę z biednego domu. Moja matka była ubogą wdową po skromnym urzędniku państwowym. Wiek szkolny wyrobił we mnie nawyk oszczędzania wszystkiego. To wchodzi w krew, proszę mi wierzyć, i człowiek nie może się już potem tego nigdy oduczyć. Dlatego mam w zwyczaju rozplątywać i chować do kieszeni każdy sznurek, jaki wpadnie mi w rękę. Robię to mimowolnie, nawykowo, myśląc o czymś zupełnie innym. Potem w domu wyciągam z kieszeni najróżniejsze śmieci. — Inżynier znowu się zaśmiał.

również ten głupi błąd z włącznikiem. Wychodząc z łazienki, mimowolnie go przekręciłem, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. W moim mieszkaniu kontakt w łazience także jest na zewnątrz, tak jak w większości nowych domów. Oszczędność wchodzi w krew.

Na chwilę zapadło milczenie. Poblądły bardzo inżynier wpatrywał się gdzieś w dal i twarz miał posępną, jak gdyby oczami duszy ponownie oglądał swoje trudne dzieciństwo, z którego ciężką pracą zdołał się podźwignąć, a nawet zyskać nadzwyczajną pozycję. Teraz jednak wszystko przepadło. W kącikach jego ust pełgał gorzki uśmiezek.

— No, a cyjanek potasu w butelce z absyntem? — spytał Palmu głosem serdecznym i bardzo cichym, jak gdyby mówił już tylko do siebie.

Inżynier Vaara nieco się zmieszał.

— Z tą sprawą nie mam już absolutnie nic wspólnego!

— zaprzeczył kategorycznie. — Nie widzę innego wyjścia, jak tylko zgodzić się z hipotezą pana prezesa Rygsecka, że Bruno rozważał samobójstwo i sam w nocy wsypał cyjanek do butelki, choć ostatecznie raczej na pewno nie odebrałby sobie życia. Zabiłem go, nie przeczuwając, że stanę się przez to pośrednio współwinny śmierci niewinnego człowieka.

Nastała cisza, która z każdą chwilą przybierała na wadze.

Palmu poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Rozumie pan chyba, że po tym, co pan powiedział, muszę pana aresztować — rzekł. — Nie chciałbym ściągać na nas większej uwagi, aniżeli to konieczne, ale oczywiście dam panu czas na wydanie niezbędnych poleceń w swoim biurze.

— Mam tylko jedną prośbę — powiedział inżynier. —

Airi... panna Rykamó musi się o wszystkim dowiedzieć.

— Ależ to się rozumie samo przez się! — przyznał pospiesznie Palmu. — Może będzie panu łatwiej, jeżeli ja, jako osoba postronna, wszystko jej wyjaśnię. Potem oczywiście dam państwu chwilę czasu na rozmowę w cztery oczy.

Do środka weszła Airi Rykamó z wysoko uniesioną głową. W kąciku ust wciąż miała ten dziwny przykurcz.

Nieszczęśliwe oczy inżyniera na próżno szukały jej zimnego spojrzenia.

— Panno Rykamó! — zagał uprzejmie komisarz. — Jestem zmuszony pokazać pani pewne zdjęcie, które pani kuzyn Bruno Rygseck zaprezentował w niedzielę wieczorem panu inżynierowi Vaarze.

— Zdjęcie? — zdumiała się dziewczyna.

— Może to być dla pani nieprzyjemnym szokiem, lecz jak już wspomniałem, jestem zmuszony popełnić tę nie-dyskrecję.

Z tymi słowami Palmu wręczył fotografię pannie Rykamó, badawczo zaglądając jej w oczy.

Na twarz dziewczyny wystąpiły gorejące plamy, a w jej brązowych oczach zalśniły czyste łyzy bezsilnej furii.

— Przecież to nie jestem ja! — wykrzyknęła oburzona.

— Czy ja niby tak wyglądam?!

— Domniemywam, że pan inżynier nie miał możliwości porównania zdjęcia ze stanem faktycznym! — odrzekł ru-basznie Palmu. — Przecież to tylko prosty inżynier, który wierzy wyłącznie w to, co widzi na własne oczy!

Dziewczyna w mig wszystko pojęła. Pąs na jej twarzy stał się jeszcze ciemniejszy.

236

— A więc to d l a t e g o Bruno wymógł na mnie obietnicę, żebym nikomu nic nie mówiła! — rzekła głosem drżącym ze złości. — Erik! I ty mu uwierzyłeś?! Jak mogłeś...

jak mogłeś przypuszczać, że mam tak brzydkie ciało!!!

Takie są kobiety. Więcej nie powiem.

— Tak, zdjęcie jest sfalszowane! — przyznał taktow nie komisarz. — Wobec tego nie ma chyba już pani nic przeciwko temu, by opowiedzieć nam wreszcie, co się na prawdę wydarzyło między panią a Brunonem Rygseckiem w nocy z soboty na niedzielę. Zakładam, że czuje się pani zwolniona z danego mu słowa.

Dziewczyna ściągnęła usta.

— Chce pan przez to powiedzieć, że inaczej Erik nie uwierzy, że zdjęcie jest nieprawdziwe? — głos Airi Ry-kamó zgrzytnął jak nóż po szkle.

— Nie chcę tego wiedzieć, jest mi to najzupełniej obojętne! — wtrącił pospiesznie Vaara. — Byłem bezmyślny i szalony! I teraz przyjdzie mi za to zapłacić bardzo gorzką cenę. Airi, czy ty mi kiedykolwiek wybaczysz?

Dziewczyna zawahała się. Patrzyła na przemian to na komisarza, to na inżyniera. Palmu uznał, że musi ratować sytuację.

— Panno Rykamó! — rzekł ostrym tonem. — Dostyc zle go juz sie stalo przez pani krnabrnośc i panięnską dumę!

Jak sama mogła pani stwierdzić, bład pana inżyniera ma zrozumiałe wytłumaczenie. Natomiast skutki pani wynios łości okazały się katastrofalne. W przyplýwie desperacji pan Vaara przyznał przed momentem, że to on zabił pani kuzyna Brunona Rygsecka!

Dziewczyna zbladła i skamieniała.

237

— Eriku, ty też?... — wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem. — Bałam się tego, lecz nie chciałam dać wiary!

— Bałaś się c z ego? ! — wykrzyknął inżynier zupełnie odmienionym, chrapliwym głosem.

Palmu szybko go uciszył.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć, panno Rykamó!

— warknął na dziewczynę. — Dość już pani złego na-wyczyniała! Tylko pani bezwarunkowa szczerosc może jeszcze pomóc panu inżynierowi!

Co prawda zupełnie nie pojmowałem, w czym ta jej szczerosc mogłaby jeszcze pomóc inżynierowi po tym, jak szczerze przyznał się do winy, niemniej machinalnie przewróciłem kartkę w swoim notatniku.

— Tamtego wieczoru poszłam do Brunona — zaczęła dziewczyna cicho. — Dostałam się do domu tylnymi drzwiami, Bruno wcześniej dał mi klucz. Wiedziałam, czego ode mnie chce. Gdy jednak usiłował mnie poca łować, wyciągnęłam z torebki pistolet Aima i zapowie działałam mu, że jeśli jeszcze raz spróbuje mnie dotknąć, strzelę do niego bez zastanowienia! Bruno był tchórzem i wszyscy o tym wiedzieli, choć starał się to ukrywać. Od rzekł mi, że nie odważyłabym się go zabić. Powiedziałam mu wtedy, że wcale bym go nie zabiła, tylko strzeliłabym mu w brzuch, żeby długo cierpiał i leczył się w szpitalu.

Zrobiłabym to w obronie koniecznej i dlatego nie wymie rzono by mi nawet kary, jeśli by Bruno w ogóle odważył

się zawiadomić o tym policję. I... i pewnie rzeczywiście bym strzeliła, gdyby śmiał tylko mnie dotknąć. Ale nie dotknął. Bruno był wielkim tchórzem!

238

— Jest pani nadzwyczaj zimnokrwistą kobietą, panno Rykamo! — stwierdził spokojnie Palmu. —

Proszę mówić dalej!

— Zmusiłam go do napisania tego dokumentu. Zgodził

się to zrobić pod warunkiem, że oboje przysięgniemy, iż nigdy nikomu nie zdradzimy, jakim sposobem go zdobyłam.

Nie chciał, żeby się wszyscy dowiedzieli, jak wielkim jest tchórzem. Drwiliby sobie z niego, tak mi powiedział.

Zgodziłam się, nie przeczuwając nawet, że może mieć w tym jakiś ukryty cel. On zaś mi obiecał, że powie wszystkim uczestnikom gry, iż w celu zdobycia tego dokumentu popełniłam przestępstwo, i to tak wymyślne, że nie może mi nic zrobić. A nazywając je występkiem przeciw moralności, Bruno miał na myśli to, że wykorzystałam jego moralną słabość, czyli tchórzostwo. Dobrze zrozumiałam, co chce przez to powiedzieć, lecz pozostali nie mieli pojęcia.

— Iw ogóle nie przyszło pani do głowy, że z powodu owej zmowy milczenia może się pani ukazać pozostałym osobom w bardzo złym świetle? — przerwał jej Palmu.

— Oczywiście, zdawałam sobie z tego sprawę — odrzekła dziewczyna. — Sądziłam jednak, że niech się dzieje, co chce, ja mogę zawsze polegać na moim Eriku, który nigdy nie uwierzy, abym zrobiła coś naprawdę złego. Przy okazji był to dobry sposób na sprawdzenie jego zaufania do mnie, lecz okazał się niegodny pokładanych w nim nadziei.

— Airi! — wyszeptał z rozpaczą inżynier Vaara.

Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała.

— Przecież nie mogłam wiedzieć, że Bruno może mu coś p o k a z a ć , coś, co by wskazywało, że ja... ech! Przy puszczałam, że może zostawiłam w jego gabinecie chu-239

steczkę do nosa albo coś takiego. Byłam niewymownie zawiedziona, Eriku, że uwierzyłeś Brunonowi, nie prosząc mnie nawet o wyjaśnienie. I gdy rano usłyszałam, że wybierasz się do niego, bardzo się zaniepokoiłam i pojechałam zaraz za tobą. Bałam się... tak, bałam się tego.

Dlatego nie chciałam nic powiedzieć panu komisarzowi.

Dlatego dałam mu klucz do tylnych drzwi, aby podejrzewał

mnie. Eriku, oj, Eriku, powiedz, że to nieprawda!

Dziewczyna przestała się wreszcie hamować, podskoczyła nagle do inżyniera i zatopiła zapłakaną twarz w jego ramieniu. Ale Erik Vaara tak bardzo był oszołomiony, że nie mógł nawet jej objąć.

— To... to ty się bałaś o mnie! — wyjąkał. — Ale przecież pan komisarz dał mi do zrozumienia, że Aimo wyjął ten klucz do tylnych drzwi z twojej torebki, a potem w sali oddał

ci go i przez to stałaś się jego pomocnicą.

— Aimo?! — dziewczyna oderwała załzawioną twarz od marynarki inżyniera i spojrzała mu prosto w oczy. — Co ty wygadujesz? Aimo nigdy w życiu nawet nie trzymał w ręku klucza do tylnych drzwi!

Prawda objawiła się inżynierowi nagle, jak w świetle błyskawicy. Zacisnął dłonie w pięści i z czerwoną twarzą postąpił krok w stronę komisarza.

— Stary... stary... pomarszczony grzyb! — wysapał głosem nabrzmiętym od zapiekłej nienawiści. — Pan mnie okłamał! Pan nawet Aima nie podejrzewał! On i Airi nie mają z tą sprawą absolutnie nic wspólnego!

— To prawda! — przyznał spokojnie Palmu. — Opowiedziałem panu tylko piękną bajkę o kochającym się rodzeństwie. A p a n się p r z y z n a ł !

*3-

Palmu nie przyjmuje więcej oświadczeń

o przyznaniu się do winy. • Batler znika, a komisarz pielęgnuje angielskie obyczaje. • Pytanie o narzędzie zbrodni i sznurek Fazera. • Irma Vanne pomaga panu Laihonenowi w pracy twórczej. • Noc w pokoju gościnnym i kroki w sypialni, a o łazience ani mru-mru. • Irma Vanne dostaje areszt domowy i komisarz zarabia na darmowy kurs.

— To pan... pan komisarz podejrzewał A i m a? — rzekła Airi Rykamo i ni stąd, ni zowąd parsknęła histerycznym śmiechem.

Palmu uspokajająco wyciągnął rękę.

— Musiałem sięgnąć po nadzwyczajne środki, by wreszcie dotrzeć do prawdy — przyznał otwarcie. — Jak na mój gust to za dużo już w tej sprawie było mataczenia.

Udało mi się zasugerować panu inżynierowi, że zaaresz tuję pani brata, a panią obciążę współwiną za tę zbrodnię, co na zawsze zszarga reputację Rygsecków, choćby nawet Aimo uniknął wyroku. To popchnęło pana inżyniera do czynu, no i zaraz przyznał się do winy jak na mężczyznę przystało.

Zdruzgotany inżynier nie odrywał wzroku od Airi Rykamo.

— Airi, musisz mnie zrozumieć — wychrypiał cicho.

241

— To... to on się przyznał tylko po to, żeby nas ratować?

— spytała panna Rykamo i całkiem pobladła. — Ale zaraz!...

— Jej twarz przybrała nagle osobliwy wyraz. — Panie komisarzu, muszę się panu...

— Przyznać, że tak naprawdę to ja to zrobiłam —

dokończył za nią Palmu ze stoickim spokojem. — Nie, bardzo dziękuję, panno Rykamo. Nie przyjmuję już więcej oświadczeń o przyznaniu się do winy. Pan inżynier słusznie liczy, że lepiej na tym wyjdzie od pani, potrafi bowiem przekonać sąd, iż popełnił zabójstwo w afekcie, a nie z premedytacją. Chyba nie chce się pani licytować z jego męską szlachetnością?

Młodzi ludzie wpatrywali się w niego, nic nie rozumiejąc, a na ich twarzach malowało się to zdumienie, to znów strach i nadzieja. Gdy Palmu nasycił się już ich minami, dopowiedział spokojnie:

— Bo chyba pani sobie nie wyobraża, że choć przez moment wierzyłem w szlachetne wyznanie pana inżyniera?

Nakłoniłem go do tego podstępem, aby pani, droga panno Rykamo, bez zawiłych wyjaśnień sama spostrzegła, że może pani jednak trochę na inżynierze polegać. Pan Vaara był

gotów zniweczyć całą swoją przyszłość, byle tylko móc odkupić

krzywdę,

jaka

pani

wyrządził

swoimi

podejrzeniami!

— To... to pan wcale nie chce mnie aresztować? — wyjąkał inżynier.

— Nawet mi to do głowy nie przyszło! — przyznał komisarz i potrząsnął serdecznie jego dłonią. — Cała ta historia o Aimie, którą panu opowiedziałem, jest od początku do końca wyssana z palca. Podobnie jak bajeczka, którą 242

pan mi opowiedział, choć podziwiam pańską wyobraźnię.

Jest pan bardzo zdolnym człowiekiem, panie inżynierze, ale nade wszystko jest pan mężczyzną! Niewykluczone, że w otwartej walce mógłby pan zabić, nie należy pan jednak do mężczyzn, którzy ogłuszają przeciwnika i topią go w basenie. Pańska męska natura zbuntowałaby się całkowicie przeciwko takiemu czynowi. Poza tym jest pan zbyt dumny na to, by zacierać po sobie ślady. Mam rację? W sercu inżyniera o lepsze walczyły sprzeczne uczucia, ostatecznie jednak niewysłowiona ulga wzięła górę nad urażoną miłością własną. Inżynier bez słowa otworzył boczną szafkę swojego biurka i wyciągnął z niej identyczne pudełko z cygarami, jakie widzieliśmy u prezesa Rygsecka, i podsunął je zapraszająco bliżej komisarza.

— To prawda, że jestem starym, pomarszczonym grzybem! — odezwał się Palmu. — Przykro mi jednak patrzeć, kiedy dwoje młodych, pięknych ludzi cierpi bez powodu, choć idealnie do siebie pasują. Dlatego odegrałem tu dla was tę małą komedię. No, to zagadkę czerwonej księgi i sobotniej nocy możemy wreszcie uznać za całkowicie wyjaśnioną.

Inżynier Vaara stał już przy Airi Rykamó, otoczywszy ją swym pewnym, godnym zaufania ramieniem.

— Co pan teraz zamierza, panie komisarzu? — zaciekał się.

— Och, czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy — odpowiedział szybko Palmu. Lecz jego życzliwość już prysła i twarz komisarza znów spoważniała. — Zapomina pan chyba, panie inżynierze, że nigdy nie zdaję się całkowicie na psychologiczny rachunek prawdopodobieństwa. Ja żą-

243

dam faktów. Mój nos mi mówił, że to pan jest mordercą. Ale słuchając pańskiego przyznania się do winy, uśmiechałem się w duchu, dlatego że pan po prostu nie mógł zabić Brunona Rygsecka, ponieważ pańskie zeznanie nie w y j a ś n i ł o zagadki śmierci jego żony.

— Przecież wyjaśnienie, które przedstawił pan prezes Rygseck, wydaje się najzupełniej możliwe — zaproponował

inżynier.

— Ale pan widział, jak zaraz po wyważeniu drzwi w łazience rozbłysło światło! — odrzekł Palmu poważnym tonem.

— Nie chcę już dłużej zaprzeczać, że widziałem —

przyznał uczciwie inżynier. — Niechaj zatem panu będzie, Brunona zamordowano. Ale to przecież sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, żeby ktoś najpierw planował go otruć, a potem nagle zabił go w łazience.

— Już raz powiedziałem mojemu pomocnikowi — Palmu kiwnął głową w moją stronę — że śmierć pani Rygseck jest kluczem do rozwiązania całej zagadki. Poza tym pusty słoiczek po cyjankali odnalazł się w mosiężnym wazonie w holu. Po co Bruno Rygseck miałby go tam chować?

— Wsypawszy truciznę do absyntu, najzwyczajniej w świecie wyrzucił słoiczek byle gdzie — zaproponował

inżynier.

Komisarz jednak pokręcił głową.

— Nie! — odrzekł kategorycznie. — Wyjaśnienie nie jest takie proste. Ale wspomniałem o śmierci pani Rygseck i zaraz przyszedł mi do głowy Batler!

— Batler! — wzdrygnął się inżynier Vaara. — Zupełnie o nim zapomnieliśmy.

244

— Robię się już roztargniony — odrzekł Palmu — ale o Batlerze nie zapomniałem. Przyszło mi właśnie do głowy, że lokaj może wiedzieć, u kogo Bruno Rygseck wywoływał

swoje zdjęcia. Może tak na wszelki wypadek zechciałby pan zatelefonować do niego i o to zapytać? Jeżeli ja to zrobię, Batler bez zająknięcia powie, że o niczym nie wie.

Inżynier bezzwłocznie uniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Długo nikt się nie zgłaszał. W pokoju zrobiło się nagle tak cicho, że słyszeliśmy wszyscy długi, złowróżbny sygnał nie odebranego połączenia.

Wreszcie w domu Brunona Rygsecka ktoś podniósł

słuchawkę. Twarz inżyniera wyraźnie się zmieniła. Po krótkiej wymianie zdań odłożył słuchawkę na widełki i obrócił się do nas.

— Odebrała pani Amalia Rygseck — powiedział. —

B a t l e r z n i k n ą ł . Nie ma go w domu od wczorajszego wieczoru.

— Wobec tego musimy jak najszybciej sporządzić list gończy, podać jego rysopis, znaki szczególne i tak dalej —

odrzekł spokojnie Palmu. — Prędzej czy później wpadnie w nasze ręce. A teraz najlepiej będzie, jak już pójdziemy. Zdaje się, że dosyć wam dzisiaj napsułem nerwów.

Co rzekłszy, z nieobecną miną zgarnął z biurka pudełko cygar, które inżynier usłuźnie mu wcześniej podsunął, i wsadziwszy je sobie pod pachę, ruszył do drzwi. Wydaje mi się, że niezupełnie w tym celu pan Vaara je wyciągnął, nic jednak nie powiedział. Może dlatego, że w ogóle nie spostrzegł zniknięcia pudełka, bo gdy zamykaliśmy za sobą drzwi, Airi Rykamó podsunęła mu już usta do pocałunku.

Tyle na ten temat.

245

— Koncern Rykamó od tego nie zbiednieje — wytku maczył się Palmu, widząc mój karcący wzrok. — Poza tym angielski obyczaj nakazuje na odchodnym wsunąć gościowi pod pachę pudełko cygar. Nietrudno mi sobie wyobrazić, że inżynier Vaara odbył swego czasu studia w Anglii.

Wyraziłem głośną wątpliwość co do jego znajomości angielskich obyczajów. Wyszliśmy na ulicę, ale Palmu nie zdradzał najmniejszej ochoty, by niezwłocznie wrócić na komendę i sporządzić list gończy za Batlerem.

— Wszystko w swoim czasie — odrzekł z niewzruszonym spokojem. — Mój mózg pracuje wolno i lubię wyjaśnić wszystko po kolei. Inaczej mógłbym jeszcze o czymś zapomnieć. Pójdziemy teraz odwiedzić pana Laihonena.

A ponieważ panna Vanne mieszka na tej samej ulicy, w drodze powrotnej i z nią zamienimy kilka słów. Jeśli mnie pamięć nie myli, to aż na Tóóló*?

W lot pojąłem, do czego Palmu pije, i nie mając ochoty dłużej się z nim spierać, zaciągnąłem go na najbliższy postój i wepchnąłem do taksówki. Ale Palmu starym zwyczajem dalej biadolił, że od trzaskających drzwi tramwajów puchną mu uszy, i wieszczył mi na starość dziadowski kostur, bo rozbijam się po mieście dryndami na gumach i szastam pieniędzmi, których sam nie zarobiłem.

To wszystko mi mówiło, że coś — zapewne ucieczka Batlera, którą się ostatecznie zdemaskował — musiało wprawić komisarza w wyjątkowo dobry nastrój.

* Dzielnica leżąca w zachodniej części półwyspu, na którym lokuje się centrum Helsinek.

246

— Skoro Batler uciekł — zacząłem ostrożnie — to zupełnie nie pojmuję, dlaczego pan prezes Rygseck chciał

kupić milczenie pana komisarza?

Bo przecież było oczywiste, że oracja o możliwości za-proponowania komisarzowi intratnej posady stróża nocnego stanowiła bezczelną, choć przyzwolicie zawołaną próbę przekupstwa.

— Może rzeczywiście uważa, że mam talent organizacyjny? — przypuścił skromnie Palmu. — Ale co z twoją wyobraźnią, chłopcze? To nie przyszło ci jeszcze do głowy, że Batler jest nieślubnym synem prezesa Rygsecka, który chce go uratować przed więzienną celą?

Urażony zamilkłem. Uszczypliwości komisarza nie należą do najprzyjemniejszych.

— Apropos! — powiedział Palmu i tym razem trudno mi było wybaczyć mu tę wymowę. — Narzędzie zbrodni!

Co ci podpowiada twoja wyobraźnia?

— Mosiężny wazon w holu! — odgryzłem się. — Krępy mężczyzna z łatwością może go unieść i walnąć nim drugiego w baniak! Może Batler występował kiedyś w cyrku jako atleta?

— Gorąco, gorąco! — odrzekł Palmu z błyskiem rozbawienia w oku. — Obaj przecież widzieliśmy narzędzie zbrodni na własne oczy!

Po

czym

zamyślił

się,

wyciągnął

z

kieszeni

biało--niebieski sznurek Fazera i zaczął nim sobie okręcać palec.

— Panie komisarzu, czy to jest właśnie ten s z n u- r e k, po którym dojdziemy do kłębka? — spytałem drżącym z przejęcia głosem.

Palmu rzucił mi krótkie, życzliwe spojrzenie.

247

— Nie — odrzekł. — To zwykły sznurek Fazera do pakowania pomadek!

Przestałem się do niego odzywać.

W zaciętym milczeniu zapłaciłem za kurs, plując sobie w brodę, że ulitowałem się nad komisarzem i zafundowałem mu przejażdżkę. Humor mi się poprawił, gdy stwierdziłem, że pisarz Laihonen mieszka na drugim piętrze, a winda nie działa z powodu awarii. Komisarz zatrzymał się przy spisie lokatorów, zastanawiając się pewnie, czy w ogóle warto mu się fatygować pieszo.

— Wnieść pana na górę, panie komisarzu? — zapytałem życzliwie.

Palmu mruknął coś pod nosem i wszedł na schody.

Wnętrze mieszkania mocno mnie rozczarowało. Zawsze sądziłem, że sławie i chwale musi towarzyszyć oprawa godna ich miary. Okazało się jednak, że grubo się myliłem.

Pisarz żył i tworzył w zwyczajnym helsińskim mieszkaniu.

Sofę w jego pokoju, która nocą służyła mu chyba za legowisko, okrywała W3?tarta kapa. Właśnie z tej sofy podniosła się panna Vanne, gdy zażenowany Laihonen, czesząc ręką włosy, wprowadził nas do środka.

— Panna Vanne, tego, pomaga mi w pracy — zaczął

wyjaśniać przepaszająco i niezbornie. — No bo tego, przeczytała mój rękopis i... no i ma, hm, kilka rzeczowych uwag.

— Całkowicie pana rozumiem — uspokoił go życzliwie Palmu. — Nie wygadam się przed pańską matką, pro-248

szę się nie obawiać. Zdaje się jednak, że przeszkadzam państwu w pracy twórczej!

— Ależ bynajmniej, bynajmniej! — pospiesznie za przeczył pisarz. — Gotuję właśnie kawę, chętnie więc i panom proponuję filiżankę.

Palmu przyznał, że niezamożny urzędnik państwowy nie może sobie pozwolić na odrzucenie darmowego poczęstunku.

— Mam za to własne cygara! — rzekł i z dumą pokazał

pudełko zwędzone z pokoju inżyniera.

Najwyraźniej pisarz Laihonen nie dostrzegł w tym żadnej sprzeczności. Zniknął w kuchni i już po chwili dobiegł nas brzęk tłuczonej filiżanki, z czego wysnuliśmy wniosek, że zaraz dostaniemy kawę.

Panna Vanne siedziała w milczeniu. Jej piękne, ciemne oczy wpatrywały się w nas z wyczekiwaniem. Palmu jednak, będąc

człowiekiem

ostrożnym,

najpierw

przyjął

poczęstunek, a dopiero potem dopełnił nieprzyjemnego obowiązku.

— Cóż, panno Vanne! — zagaił po wypiciu trzeciej filiżanki i stwierdzeniu, że w czajniczku widać już dno.

— Z początku chciałem przesłuchać państwa osobno, po tem jednak pomyślałem, że brak zaufania to bardzo przykra rzecz. Uznałem więc, że pan Laihonen powinien się wszystkiego dowiedzieć, aby nie było później żadnych niejasności. A zatem — dlaczego mnie pani okłamała?

I dlaczego przedwczorajszą noc spędziła pani w domu Brunona Rygsecka?

Irma Vanne zagryzła wargę i odwróciła wzrok. Spojrzałem na nieszczęśliwą twarz pisarza i przyszedł mi na 249

myśl kieliszek szlachtetnego wina, do którego ktoś złośliwy wrzucił garść popiołu.

— Proszę odpowiedzieć! — ponaglił nieuprzejmie Palmu, gdy dziewczyna nadal się nie odzywała.

Irma Vanne sprawiała wrażenie, jakby próbowała zyskać na czasie.

— Domyślił się pan tego, bo spytał mnie, dlaczego nie zatelefonowałam do pana Laihonena, tylko wysłałam mu list

— odrzekła wykrętnie.

— Oczywiście — skwitował zniecierpliwiony Palmu. —

Jest pani kalkulującą, bardzo bystrą dziewczyną, na co wskazuje choćby sposób, w jaki skradła pani rękopis panu Laihonenowi. Musiało istnieć proste wytłumaczenie faktu, że rano nie skorzystała pani z telefonu, tylko zdecydowała się umówić z nim na spotkanie w tak niepewny sposób.

Jedynym sensownym rozwiązaniem tej zagadki było założenie, że po prostu nie mogła pani zatelefonować. Poza tym nie widzę powodów, by taić przed panią fakt, że znaleźliśmy pani odciski palców w pokoju gościnnym na popielniczce, obok tego samego łóżka, na którym wczoraj złożono zwłoki pani Alli Rygseck.

— Wiem — dziewczyna skinęła sztywno kędzierzawą głową. — Aimo mi powiedział, jak do tego doszło.

— Proszę zatem mówić, słucham! Dlaczego mnie pani okłamała? — głos komisarza zabrzmiał jak wizg denty-stycznej wiertarki.

W końcu dziewczyna uniosła głowę i spojrzała mu z przekorą prosto w oczy.

— Nie chciałam stawiać się w złym świetle w oczach pana Laihonena. Dopiero co go poznałam, poczytywałam

sobie jego przyjaźń za wielki honor i nie chciałam jej zmącić fałszywym podejrzeniem.

Zażenowany pisarz skłonił sztywno głowę, dotknął

nerwowo okularów i odchrząknął.

— Panno Vanne — powiedział z godnością. — Żadne podejrzenie nie mąci przyjaźni, jaka się zadzierzgnęła między nami. Jestem przekonany, że potrafi pani naturalnie wyjaśnić zaistniałe okoliczności. Proszę zatem wszystko powiedzieć panu komisarzowi. Jeżeli pani sobie nie życzy, abym tego słuchał, jestem gotów wyjść do drugiego pokoju.

— Ależ nie, nie trzeba! — Panna Vanne wyciągnęła swoją wąską dłoń. Oczywiście miała nieszczęśliwe. — Oczywiście, że pan musi wysłuchać mojego wyjaśnienia.

Wszystko bowiem ma swój początek w pańskim rękopisie.

Tak bardzo się o niego bałam. Być może pamięta pan, że w niedzielę wieczorem Bruno zabrał go ze sobą i zamknął się na koniec w swoim gabinecie. Na nic się zdało moje walenie pięściami w drzwi.

Ponieważ jednak myślę szybko, zaraz postanowiłam, że zabiorę rękopis z pokoju następnego dnia rano, kiedy Bruno pójdzie do łazienki. Plan był gotowy.

Zeszłam szybko po schodkach na sam dół do korytarzyka za sienią, zdjęłam łańcuch z tylnego wejścia do domu i zablokowałam zatrask, tak że drzwi tylko sprawiały wrażenie zamkniętych. Potem wróciłam na piętro i zeszłam dużymi schodami do holu, gdzie Bat-ler sprzątał właśnie po naszym spotkaniu. Poprosiłam go o papier i pióro, po czym skreśliłam szybko list do pana Laihonena, w razie gdybym z jakiegoś powodu nie zdołała jednak odzyskać rękopisu.

Wtedy razem poszlibyśmy do

251

Brunona, zanim strzeliłoby mu do głowy coś głupiego, na przykład go zniszczyć.

— Jest pani nader przezorna — stwierdził Palmu i nie zabrzmiało to jak komplement.

Oczy panny Vanne pociemniały.

— Potem życzyłam Batlerowi dobrej nocy i wyszłam

— ciągnęła swą opowieść. — Zaniiosłam list do skrzynki i gdy Batler wygasił światła, wróciłam przez tylne drzwi do domu. Na noc ukryłam się w pokoju gościnnym i po-legiwałam nawet w łóżku, ale byłam bardzo niespokojna i nie spałam dobrze. Po ósmej nie odważyłam się już zmrużyć oka. Wypaliłam w napięciu dwa papierosy. Wreszcie usłyszałam, jak Batler budzi Brunona. Takim łomotem można by postawić na nogi cały dom. Dla pewności od czekałam jeszcze chwilę po tym, jak usłyszałam, że Bruno schodkami zszedł do łazienki. Wtedy wyslizgnęłam się z pokoju i zamknęłam drzwi na klucz. I już miałam wejść do gabinetu Brunona, kiedy usłyszałam — tak było, choć nie wiem, czy mi pan uwierzy — usłyszałam, że w sypial ni k t o ś j e s t ! Usłyszałam kroki i trzask, jak gdyby ktoś cisnął czymś o podłogę.

— To pan Vaara rozbijał właśnie w drobny mak sprzęt fotograficzny gospodarza — wyjaśnił spokojnie Palmu.

— Inżynier uważał, że Bruno źle się nim posługiwał.

— Inżynier Vaara! — powtórzyła dziewczyna i zupełnie zbladła. — A więc to on?...

— Nie, inżynier nie ma z tym morderstwem nic wspólnego — uspokoił ją Palmu. — Proszę mówić dalej!

— Ale ja nic nie rozumiem — zaprotestowała dziewczyna, zaraz jednak kontynuowała: — Przestraszyłam 252

się tak bardzo, że przez dwie minuty byłam zupełnie jak sparaliżowana. Łamałam sobie głowę — co robić?! Kroki przeniosły się do gabinetu. Zbliżała się dziesiąta. Musiałam zdążyć na spotkanie z panem Laihonenem, zanim przyjdzie mu do głowy wdrzeć się do domu. Nie pozostało mi nic innego,

jak tylko zejść schodkami na dół i tylnymi drzwiami wyjść na zewnątrz. Za rogiem domu od razu spostrzegłam pana Laihonena, który już stał przy drzwiach piwnicy i pytał

o coś węglarzy.

— Czy kiedy mijąta pani łazienkę, drzwi były zamknięte? — spytał Palmu.

— Tak, zamknięte,

— A czy słyszała pani jakieś odgłosy ze środka? — głos komisarza był ostry i nagły.

Irma Vanne pokręciła przecząco głową, wpatrując się w niego, wciąż jakby sparaliżowana dziwnym strachem.

— Mamy uzasadnione powody, aby podejrzewać —

powiedział Palmu, akcentując każde słowo — że właśnie wtedy morderca przebywał w łazience. Dzielily panią od niego zaledwie dwa kroki i cienkie drewniane drzwi, a jednak pani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało. Pan no Vanne, niechże pani zrozumie, to niewiarygodne!

Raz jeszcze dziewczyna pokręciła przecząco piękną, kędzierzawą głową i spojrzała bezradnie na komisarza.

— Mogę powiedzieć panu jedynie to, co wiem — od rzekła skonsternowana. — Mogę jedynie pana zapewnić, że kiedy przemykałam się obok drzwi łazienki, niczego nie widziałam ani nie słyszałam. Pan... pan mi nie wie rzy, panie komisarzu? — głos dziewczyny zabrzmiał jak rozpaczliwe wołanie o pomoc.

253

Spojrzelismy na nią wszyscy trzej. I znów po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Bo kiedy jej słuchałem, w głowie zaświtała mi pewna myśl, możliwość, której wcześniej nie brałem wcale pod uwagę.

— Ja pani wierzę, panno Vanne! — wyszeptał pisarz Laihonen i z trudem przełknął ślinę. Podeszedł do dziewczyny i ujął w dłonie jej zimną, bezwładną rękę.

— Panno Vanne! — rzekł Palmu z całą życzliwością. —

Przechodziła pani obok łazienki Brunona Rygsecka akurat w chwili, gdy ktoś go w środku pozbawiał życia. Każdy normalny człowiek powie, że musiała pani wtedy słyszeć albo widzieć coś, co teraz z jakiegoś powodu pani przede mną ukrywa. A ja jestem normalnym człowiekiem. Już raz mnie pani okłamała. Dlaczego nie miałaby pani okłamać mnie ponownie?

Dziewczyna spuściła głowę.

— J a go nie zabiłam, jeżeli o to panu chodzi! — powiedziała zmęczonym głosem.

— Niczego takiego nie twierdzą — odrzekł Palmu urzę-

dowym tonem. — Nie chce pani więcej mówić. W porządku!

Jeszcze będzie pani mieć okazję uzupełnić swoje zeznanie, gdyby się pani namyśliła, teraz jednak moim obowiązkiem jest nakazać pani, aby natychmiast wróciła do swojego mieszkania i nie opuszczała go bez mojej zgody. Jeżeli złamie pani ten nakaz, będę musiał panią aresztować za...

— Za co? — przerwała mu z pasją dziewczyna. — Co pan ośmiela się mi zarzucać?

— Pomaganie mordercy Brunona Rygsecka — dokończył spokojnie Palmu.

254

Nie patrząc na nas, pisarz wyciągnął sztywno rękę do panny Vanne.

— Irmo, pozwoli pani, że odprowadzę ją do domu?

— odezwał się. — Wiem, że to jakieś koszarne niepo rozumienie. Ale ja pani wierzę! Ja pani wierzę, niech się dzieje co chce!

Palmu chrząknął, bo pewnie trochę się wzruszył.

— Może pan zostać z panną Vanne jako jej opiekun, panie Laihonen — powiedział bardziej uprzejmie. —

Oznacza to jednak, że będzie pan musiał pilnować, aby stosowała się do mojego nakazu. Nie wolno jej wychodzić z mieszkania pod żadnym pozorem, chyba że osobiście wyrażę na to zgodę. Rozumie pan chyba, że w każdej chwili może się wydarzyć coś, co pozwoli ostatecznie rozwiązać tę sprawę, a wtedy będę musiał natychmiast zawezwać pannę Vanne do siebie.

Skinieciem głowy pisarz potwierdził, że rozumie, choć nawet na nas nie spojrział. Pożegnaliśmy się z nim w przed-pokoju, gdzie pomagał dziewczynie włożyć płaszcz. I cała moja radość prysła, panna Vanne bowiem była nieprzy-zwoicie piękna.

— Nie mogę pojąć, co Batler może mieć wspólnego z tą dziewczyną — prychnąłem ze złością, gdy tylko wy szliśmy na ulicę. — Pan komisarz zawsze mówi o faktach.

A trudno chyba o lepszy fakt od tego, że Batler zapadł się jak pod ziemię.

Palmu stanął i zaczął się przyglądać przejeżdżającym samochodom.

— Bardzom ciekaw, jak długo pożyje to ich wzajem ne zaufanie — rzekł, puszczając moją uwagę mimo uszu.

— W swoich książkach pan Laihonen jest nader liberalny, ciekawe jednak, jak to z nim jest tak naprawdę. Prawie na pewno lada moment jego umysł zacznie drążyć przykre podejrzenie. Czy jednak mimo wszystko ich historia okaże się tą najpiękniejszą ze wszystkich baśni pod słońcem?

— Niech pan nie gada głupstw, komisarzu! — sapną łem gniewnie. Palmu poeta był nie do zniesienia.

Komisarz jednak zupełnie zignorował me lekceważące słowa. Westchnąwszy ciężko, ruszył niechętnie w stronę przystanku.

— Drzwi tramwajowe tak strasznie trzaskają — zaczął

biadolić. — Nie mogę przez to myśleć, a i bez tego robię się ostatnio trochę roztargniony. Gdyby tak ktoś zafundował mi kurs taksówką, mógłbym mu powiedzieć, na przykład, o pewnej m o ż l i w o ś c i , która właśnie w tej chwili przyszła mi do głowy.

— Jeżeli znów mnie pan oszuka, następnych kursów już nigdy nie będzie! — zagroziłem i wcale nie żartowałem.

No i znów wsiedliśmy do dryndy na gumach, aby wrócić w końcu do komendy. Było już wszak popołudnie i najwyższa na to pora.

— Gdybym prowadził tak rozrzutny tryb życia jak t y, jak nic czekałby mnie na stare lata dziadowski kostur

— mruknął Palmu z zadowoleniem. — Ale w końcu dosta jesz te swoje pieniądze za nic, a wiadomo: łatwo przyszło, łatwo poszło. No więc co tak naprawdę mniemasz o naszej pannie Vanne?

— To bardzo piękna dziewczyna — odrzekłem ostrożnie.

— Czyż cielesne piękno nie jest li tylko powierzchowne i przemijające? — zafilozofował Palmu i pogrążył się w myślach. — Nie zwróciło czasem twojej uwagi to, że jak na tak młodą dziewczynę, Irma Vanne jest nadzwyczaj przezorna,

zimnokrwista

i

zdecydowana?

Do

tego

wypowiada się zawsze nader oględnie. Co my tak naprawdę o niej wiemy? Tyle tylko, że pochodzi z dobrej rodziny.

— To prawda, panie komisarzu — przyznałem i streszczając w kilku słowach swoje życiowe doświadczenie, na które złożył się już niejeden gorzki zawód, dodałem zaraz:

— Nawet najpiękniejsze oczy mogą kłamać.

Palmu z aprobatą pokiwał głową.

— Weź zatem pod rozwagę ten jej charakter i zastanów się nad taką możliwością. Dziewczyna z determinacją godną lepszej sprawy zagięła parol na pisarza Laihonena, a uwzięła się na niego tak bardzo, że z zimną krwią wdraża w życie bardzo wymyślny plan, byle tylko się z nim spotkać i wzbudzić jego zainteresowanie swoją osobą. Ale oto na drodze staje Bruno Rygseck, który odbiera jej rękopis — już to z czystej złośliwości, aby go zniszczyć, już to z zazdrości, aby przeszkodzić dziewczynie w nawiązaniu znajomości z pisarzem. Ostatecznie wcale nie wiemy, jakiego rodzaju zażyłość łączyła ją z Brunonem. Zauważyłeś pewnie, że już na lunchu w Kamppi wypowiadała się na ten temat nader oględnie.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, aby założyć, że doszło między nimi do czegoś, co panna Vanne chciała za wszelką cenę

ukryć

przed

Laihonem

—

powiedziałem

zdecydowanym tonem.

257

— Za w s z e l k ą c e n ę ! — powtórzył przeciągle Palmu. — Panna Vanne spędziła noc w pokoju gościnnym w domu Brunona. Postanowiła odzyskać rękopis bez względu na koszty. To spryziula. Usłyszała kroki w sypialni.

Dlaczegoż jednak nie miałyby poczekać, aż zniecierpliwiony inżynier w końcu zejdzie z powrotem na dół? Nic łatwiejszego, niż przywarować w pokoju gościnnym z uchem przy drzwiach.

— Ale czas! — wtrąciłem. — Spotkała się z pisarzem już za pięć dziesiątą. Inżynier Vaara był wtedy jeszcze na piętrze.

— To oni twierdzą, że spotkali się za pięć dziesiątą —

odrzekł z naciskiem Palmu. — Pan Laihonen mówi to zapewne w dobrej wierze, sam jednak przecież przyznał

otwarciem, że jego zegarek chodzi jak popadnie. Dziewczyna bez trudu mogła mu wmówić, że przyszedł za wcześnie. Ale przestań mi wreszcie ciągle przerywać! Do czego zmierzam?

Jest mianowicie możliwe, że panna Vanne zabrała ten rękopis z gabinetu Brunona.

— Panie komisarzu! — pokręciłem głową z politowaniem. — Przecież tam go właśnie znaleźliśmy, na jego biurku!

— Capnęła rękopis — ciągnął spokojnie Palmu — i wybiegła. Ale może na korytarzu przy łazience wpadła na Brunona, który wyszarpnął go jej i zagroził, że od razu go zniszczy? Miał przecież kaca, no i był zły. Dziewczyna wpadła w rozpacz, bo wiedziała, jak wiele ta książka znaczy dla pisarza. J e ż e l i jednak to ona zabiła Brunona, nie mogła zabrać rękopisu ze sobą, gdyż jego zniknięcie zostałoby zauważone, a wtedy panna Vanne musiałaby 258

przyznać, że spędziła noc w domu Brunona. Dlatego odniosła rękopis z powrotem do gabinetu.

Taksówka stanęła łagodnie przy komendzie w Rynku.

Słuchałem słów komisarza z takim przejęciem, że nawet nie spostrzegłem, jak nam minęła podróż. Szybko zapłaciłem za kurs i Palmu z trudem wygramolił się z auta.

— A absynt? — spytałem podejrzliwie.

— Sam rusz trochę głową! — rzucił mi niegrzecznie Palmu i wmaszerował do budynku. — Obiecałem ci w końcu tylko, że umilę ci przejażdżkę pewną możliw o ś c i ą .

Słowa dotrzymałem, więc daj mi teraz święty spokój!

Czasem trudno mi się oprzeć wrażeniu, że Palmu jest po prostu podły.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że komisarz już wcielał w życie plan, który o mały włos nie okazał się tragiczny w skutkach. Mnie również wyznaczył w nim pewną rolę, dlatego tak mi właśnie wtedy odpowiedział. Dlatego tak wiele rzeczy pozostało niedopowiedzianych.

Ale Palmu robił się roztargniony. I prawie od razu po wejściu do naszego pokoju popełnił błąd.

Tak, komisarz Palmu popełnił błąd. I niewiele brakowało, a przypłaciłby go życiem.

i4-

Dostaję klucz od gabinetu i mam opowiadać bajki.

• Pan prezes Rygseck krąży po mieście, zaś Amalia Rygseck uprawia malarstwo. • Pożyczam jej pistolet i niosę skrzynkę kucharki. • Aimu Rykamó jest małomówny, a inżynier Vaara ma osobliwe zdanie na mój temat. • Katastrofalny kufel. • Na scenę powraca Batler i komisarz traci nerwy. • Irma Vanne wychodzi z domu.

Komisarz Palmu szybko przewertował dokumenty, które podczas naszej nieobecności zdążyły się spiętrzyć na jego biurku. Wśród nich znalazła się notatka z pewnej rozmo wy telefonicznej.

>

— Proszę, proszę — odezwał się — zgłosiła się pani Amalia Rygseck z prośbą o zwrócenie klucza od gabinetu.

Ależ jestem roztargniony. Mam go ciągle w kieszeni!

Sięgnął do kamizelki, wyjął klucz i z krytyczną miną zważył go w dłoni.

W tejże chwili do środka zajrzał Kokki, który chciał

sprawdzić, czy już wróciliśmy. Palmu łagodnie go skłął, żeby nie przeszkadzał mu w myśleniu, i detektyw zaczął się taktownie wycofywać. Komisarz jednak go zatrzymał.

— Kokki, chodź no tu! — przywołał go. — Ustaw swo jego chłopaka, żeby miał na oku kamienicę panny Vanne.

Dziewczyna ma areszt domowy i jeżeli będzie próbować 260

gdzieś wyjść, natychmiast dowieziecie ją tu do mnie. Już ja ją nauczę stosować się do nakazów!

— A ten list gończy za Batlerem? — odważyłem się przypomnieć po wyjściu Kokkiego.

Poirytowany Palmu potrząsnął głową.

— Diabli nadali, człowiek nie może w spokoju prze myśleć nawet jednej sprawy do końca! — warknął. — Bat lerem sam się zajmę, bo ty dostaniesz za chwilę ważne zadanie!

Ponownie zważył klucz w dłoni, a potem mi go wręczył.

— Wbijesz sobie dobrze do łepetyny zalecenia, które ci teraz dam — przykazał surowo. — Masz je wypełnić ściś le co do joty. Od tego wiele zależy. Po pierwsze, oddasz ten klucz starszej pani Rygseck, zanim jednak to zrobisz, zabierzesz z szuflady biurka w gabinecie czerwoną księgę.

Potem ją zapakujesz, przepisowo zapieczętujesz, tak jak to się robi ze wszystkimi dowodami, i dostarczysz mi ją tutaj, do rąk własnych. Zabraniam ci do niej zaglądać, bo to nie jest odpowiedni widok dla młodego człowieka.

Mam nadzieję, że zdołasz utrzymać łapska przy sobie.

Skinąłem w milczeniu głową i czekałem na dalsze instrukcje.

— Pani Amalii możesz powiedzieć, że mamy nadzie ję szybko zamknąć sprawę, gdy tylko złapiemy Batlera

— ciągnął Palmu. — Możesz jej też śmiało powiedzieć, że ustaliliśmy, iż panna Vanne spędziła noc w pokoju gościn nym i wie coś o morderstwie, gdyż w chwili popełnienia zbrodni przechodziła akurat pod drzwiami łazienki. A po tem pójdziesz sobie pooddychać świeżym powietrzem i zażyjesz trochę ruchu.



Palmu z zadowoleniem zlustrował moją twarz.

— Chcę mianowicie — ciągnął — abyś odwiedził na-stępnie Aima Rykamó, Airi Rykamó oraz inżyniera Vaarę.

Wyjaśnisz, że nikt już nie musi obawiać się przykrości związanych z istnieniem czerwonej księgi, gdyż ta jest w moich rękach. Powiesz im też, że teraz z kolei Irma Vanne jest podejrzana, bo spędziła noc w pokoju gościnnym i tak dalej. Na samym końcu zaś pójdziesz do panny Vanne, pokażesz jej zapieczętowaną paczkę z czerwoną księgą i powiesz, że idziesz z nią właśnie do mnie. Tylko pamiętaj!

Masz przekazać im moje słowa o s o b i ś c i e , tak by nie doszło do żadnych nieporozumień!

— No, ale przecież komisarz sam powiedział wcześniej, że w czerwonej księdze nie ma zdjęcia panny Vanne —

wtrąciłem nieco wzburzony.

— No i co z tego? — uciął Palmu. — Co to ma do rzeczy? Masz zaraz na jednej nodze wypełnić moje zalecenia i tyle! Jest mi najzupełniej obojętne, jak rozpoczniesz rozmowę, byle tylko każda z wymienionych osób usłyszała to, co ci przed chwilą powiedziałem. W końcu jeszcze się nie zdarzyło, by ci kiedykolwiek odebrało mowę.

To ostatnie zdanie miało być uszczypliwe.

— Czyli panu komisarzowi chodzi teraz o to, żebym czym prędzej wypaplał wszystkim wszystko, co tylko wiem o czerwonej księdze i udziale panny Vanne w tej sprawie? — spytałem zdruzgotany. — Ale co to da? Pa nie komisarzu, przecież oni uznają mnie za skończonego idiotę, jeżeli nie pytany zacznę trąbić na prawo i lewo o przebiegu śledztwa!

— Chyba aż tak bardzo nie rozminą się z prawdą —

skwitował Palmu z całym spokojem. — No, dalej, już cię nie ma! Mam tu jeszcze inne sprawy na głowie.

Nie zaprzeczę, że wyszedłem z pokoju wściekły. A najbardziej jątrzyło mnie to, że Palmu na pewno miał w tym wszystkim jakiś ukryty cel, którego nie potrafiłem odgadnąć.

Mimo to postanowiłem wypełnić jego zalecenia jak najskrupulatniej. Zacząłem od tego, że mam zażyć trochę ruchu na świeżym powietrzu, więc pomaszerowałem żwawo w stronę Kaivopuisto.

Gdy wychodziłem z komendy, słońce chyliło się już ku zachodowi, a nad jesiennym morzem unosił się złowróżbny, rdzawy opar.

Na podwórzu przed domem Brunona Rygsecka stał

luksusowy samochód. Była to duża czarna limuzyna, a za kierownicą siedział ubrany w uniform szofer o ostrej i nieprzyjemnej twarzy. Gdy zmierzałem przez podwórze do drzwi wejściowych, mężczyzna wysiadł i otworzył!

drzwiczki przed prezesem Gunnarem Rygseckim, który bardzo powoli wykuśtykał z domu, wspierając się na lasce ze srebrną gałką. Prezes poznał mnie i mimochodem odpowiedział na powitanie, co było dla mnie niemalym zaszczytem. Mój widok chyba go zaskoczył, ale bez słowa pozwolił szoferowi podprowadzić się do limuzyny, która już po chwili zniknęła za bramą.

Otworzyła mi starsza pani Rygseck we własnej osobie.

Odniosłem wrażenie, że oderwałem ją od malowania, gdyż miała na sobie zaplamiony fartuch, a na jej palcach dostrzegłem ślady farby. Policzki kobiety jarzyły się jak 263



■

dwie czerwone plamy, pani Amalia była podekscytowana i poruszała się zdumiewająco żwawo.

— Był tu właśnie mój brat — powiedziała — co pan za pewne sam zauważył. Daje mi wolną rękę w kwestii urzą dzenia domu. Wkrótce zamierza wyjechać na jakiś czas za granicę. Chciał, bym zabrała się z nim, bo wiadomo panu może, że ma zszargane nerwy, a poza tym choruje na nogi i ciężko mu się poruszać o własnych siłach.

Amalia Rygseck wyraziła powątpiewanie, czy komisarz Palmu ma jakiegokolwiek prawo rekwirować czerwoną księgę, w końcu jednak zgodziła się dać mi jakiś papier i kawałek sznurka, bym mógł ją zapakować. Następnie przepisowo zapieczętowałem pakunek i poprosiłem kobietę, by własnoręcznym podpisem potwierdziła zawartość paczki oraz datę i godzinę jej przekazania policji. Niepewnymi, rozchwianymi literami zapisała na pakunku swoje imię i nazwisko, a potem zapytała, czy podjęto już nadzwyczajne środki w celu ujęcia Batlera.

— Pan mi pewnie nie uwierzy — powiedziała — ale mam dziwne poczucie, że jestem śledzona. Kiedy byłam w mieście, cały czas męczyła mnie świadomość, że ktoś za mną chodzi. Podejrzewam, że ten człowiek kręci się tu gdzieś niedaleko! On nie ma dobrych zamiarów. Nie zdziwiłabym się, gdyby ukradł klucze od domu. Mimo to zamierzam spędzić tutaj noc i zaskoczę go, niech no tylko spróbuje tu wejść. Mnie to on już nie oszuka!

Wykorzystałem sposobność i powiedziałem, że w sprawę jest zamieszana także panna Vanne. Noc spędziła w domu i komisarz podejrzewa, że dziewczyna wie o tym morderstwie dużo więcej, niż mówi.



Starsza pani Rygseck wyglądała na zdumioną.

— Ale to przecież było od razu po niej widać! — zachnęła się, kiwając kilkakrotnie głową. — Bruno miał dziwną obsesję na punkcie zbierania wokół siebie cudaków i podejrzanych typów. Co prawda ta lafirynda jest córką radcy górniczego Vannego, ale wystarczy tylko spojrzeć na tę jej wypacykowaną gębę i wymalowane oczy, żeby wiedzieć, co o takiej myśleć.

Osąd był surowy, lecz obrona czci panny Vanne nie należała do moich obowiązków. Ośmieliłem się żartobliwie zapytać, skoro o malowaniu mowa, co też gospodyni maluje, wskazując na jej umazane palce. Zeszliśmy na dół do sali, gdzie Amalia Rygseck pokazała mi owoce popołudniowej sesji.

Wspominałem już obraz, który zdobił całą boczną ścianę pomieszczenia. Teraz ściekała po nim świeża farba, pani Amalia bowiem — z wyraźnym przerostem chęci nad talentem — domalowała stroje frywolnym zbieracz-kom jabłek.

Piękne

dzieło

sztuki

zostało

bezpowrotnie

zniszczone.

— Nie wie pan pewnie, że w młodości parałam się czasem malarstwem — rzekła kobieta, patrząc z dumą na dzieło rąk swoich. — To drogi obraz i teraz można go wreszcie bez wstydu pokazywać ludziom.

Zachodzące słońce wypełniło salę czerwoną poświatą.

W domu panował ziąb, gdyż po ucieczce Batlera nie palono w piecu, a jesień była chłodna. Po plecach przeszły mi ciarki i to nie tylko z powodu artystycznych dokonań Amalii Rygseck. Zaczęło mnie męczyć dziwne, złe przeczucie.

265

Pomyślałem, że w domu robi się coraz ciemniej. Pomy-

ślałem o Batlerze, który mógł się przyczaić gdzieś niedaleko, czekając na dogodny moment. Starsza pani Rygseck chyba czytała w moich myślach.

— Szkoda, że nie mam żadnej broni — powiedziała.

— Będę w domu zupełnie sama, bo kucharka dzisiaj wra ca do siebie.

Zaofiarowałem się, że poproszę komisarza, aby przydzielił jej jakiegoś policjanta do pilnowania domu. Mój pomysł nie przypadł jej do gustu.

— Policjanta! — prychnęła, nie kryjąc głębokiej po gardy.

Zaczerwieniłem się w imieniu całej policyjnej profesji.

Poczułem przemożną chęć zaimponowania kobiecie. Tyle razy Palmu drwił z mojego nawyku noszenia broni, tym razem jednak byłem zadowolony, że mam pistolet. Wyciągnąłem go i żartowałem, że mogę go jej pożyczyć na noc.

Widok pistoletu nie zrobił jednak na starszej pani żadnego wrażenia. Bez wahania chwyciła go kościstą, poplamioną od farby dłonią i zaczęła nim z ciekawością obracać.

— Jak się z tego strzela? — zapytała.

Wyjąłem magazynek, wyjaśniłem jej działanie pistoletu, wsunąłem magazynek z powrotem i przeładowałem.

— Teraz wystarczy tylko pociągnąć za cyngiel —

rzekłem.

— Takie małe gówienko! — zdziwiła się pani Amalia i wyjęła mi pistolet z ręki. — Aż nie chce się wierzyć, że toto może wypalić, jak pociągnę za cyngiel.

I p o c i ą g n ę ł a z a c y n g i e l !

266

Wystrzał zagrział głucho w pustym domu. Z lufy trysnął ogień i centymetr od czubka mojego buta w podłodze pojawiła się elegancka, zgrabna dziurka.

— Och, przepraszam! — starsza pani Rygseck była wyraźnie zaskoczona.

— Proszę mi to oddać! — rzekłem nieco drżącym głosem.

Od strony łazienki dobiegł mnie jakiś hałas, w drzwiach sali stanął stolarz i oświadczył, że jeżeli w domu ma być strzelanina, to on od razu idzie w diabły. Amalia Rygseck odrzekła mu wyniośle, że nikt go nie zatrzymuje. Ma tylko najpierw naprawić drzwi.

Ale pistoletu już mi nie oddała. Nie chciałem jej rozjuszać, gdyż mogło to doprowadzić do kolejnego przypadkowego wystrzału, pozostało mi już więc tylko pokazać pani Amalii, jak zabezpieczyć i odbezpieczyć broń. Z całą surowością pouczyłem ją jednak, że naruszenie prawa do obrony koniecznej jest także czynem karalnym i że nie ma prawa strzelać do Batlera, choćby nawet w nocy zakradł się do domu. Wolno jej co najwyżej oddać strzał w powietrze.

Nie wiem, czy mi uwierzyła, ale cóż więcej mogłem zrobić.

Z zapieczętowaną czerwoną księgą pod pachą wyszedłem z domu. Na podwórzu spotkałem kucharkę w kapeluszu z piórkiem i czarnych rękawiczkach. Z wysoko uniesionym czołem i pałającymi ze złości policzkami zeszła z kuchennych schodów, niosąc drewnianą skrzynkę.

— Pan prezes Rygseck mnie zwolnił! — zwierzyła się szczerze. — Przyszedł prosto do kuchni i

z pracy, ot tak, bez dania racji. Mam już dziś się wynieść z domu, tak mi powiedział. Co ten mały, zrzedliwy kuternoga sobie wyobraża, że kim on niby jest? Nasz pan był jednak zupełnie inny, niech sobie ludzie mówią, co chcą. Zresztą i tak nie zostałabym tu ani chwili dłużej z tą starą jędzą, co się przysła szarogęsić, choćby mi dopłacali! Dość w tym domu straszło i bez niej.

Kucharka nie pozostawiła we mnie żadnej wątpliwości co do swych najgłębszych uczuć. Dla pewności zapisałem sobie jej nowy adres, w razie gdyby Palmu chciał ją jeszcze o coś zapytać. Jako że jestem z natury uczynny, pomogłem kobiecie zanieść skrzynkę na przystanek tramwaju, gdzie się z nią pożegnałem, kierując się w stronę mieszkania Aima i Airi Rykamó.

Przy chodniku przed kamienicą stała czarna, luksusowa limuzyna. Szofer w uniformie rzucił mi zza kierownicy lodowate spojrzenie.

Drzwi otworzył Aimo Rykamó. Miał bardzo zatroskaną minę i zapytał wprost, czy nie mógłbym go odwiedzić kiedy indziej. Przypomniałem sobie jednak rozkaz komisarza i wtargnąłem do środka.

Za biurkiem siedział prezes Rygseck, który na mój widok zabębnił palcami o blat. W pokoju był również doktor, który stwierdził zgon pani Alli Rygseck. Teraz obracał

nerwowo w dłoniach metalowy młoteczek, którym lekarze stukają pacjentom w kolana, żeby sprawdzić wrażliwość ich nerwów. Przez głowę przebiegła mi myśl, że może jednak prezes Rygseck wziął sobie do serca uwagę komisarza o pierwszych objawach otępienia wczesnego u Aima Rykamó.

268

Cała trójka wpatrywała się we mnie z poirytowaniem, zupełnie jakbym im przerwał ważną rozmowę. Speszyłem się oczywiście, wyjąkałem więc szybko, że komisarz Pal-mu prosił mnie o przekazanie, że śledztwo jest na dobrej drodze.

Wobec panny Vanne zastosowano areszt domowy, gdyż jest prawdopodobne, że wie coś o morderstwie. Komisarz wierzy, że skłoni ją do zeznań, gdy tylko złapiemy Batlera.

Zawiesiłem głos, lecz nikt nie wyrzekł ani słowa. Prezes Rygseck nie spuszczał ze mnie ciężkiego spojrzenia.

Dopowiedziałem więc, że niosę pod pachą czerwoną księgę. Niosę ją właśnie komisarzowi Palmu, nie przysporzy już zatem nikomu żadnych przykrości.

Nie miałem im więcej nic do powiedzenia, poza tym, że wychodzę. Żaden choćby słowem nie wyraził żalu z tego powodu. Zaczęło mnie dręczyć niejasne odczucie, że niewłaściwie wypełniłem zleczone mi zadanie. Ale nie było rady. Ruszyłem w stronę pałacu koncernu Rykamó, gdyż Aimo mnie zapewnił, że jego siostra została w pracy po godzinach. Wyraził także przypuszczenie, że spotkam tam też jeszcze inżyniera Vaarę.

I nie pomylił się. Airi Rykamó i inżynier Vaara pracowali razem w jego pokoju, choć pozostali

pracownicy biura poszli już na obiad. Oni również nie wyglądali na szczególnie uradowanych moim widokiem. Uważali chyba, że cała ta sprawa już ich nie dotyczy, i zdaje się, że nie mieli wielkiej ochoty na wspomnianie swojego w niej udziału.

Inżynier Vaara zapowiedział, że gonią go terminy. Przez to całe zamieszanie wywołane ostatnimi wydarzeniami 269

nie załatwiono wielu pilnych spraw. Nie dałem jednak za wygraną i po raz trzeci streściłem historię panny Vanne, a że miałem już w tym wprawę, poszło całkiem gładko, jak z nastawionej płyty.

— Sądziłem, że nieodłącznym elementem pracy policji jest dyskrecja — skwitował ironicznie inżynier. — Czy macie rzeczywiście w zwyczaju rozgłaszać wszem wobec najnowsze ustalenia dochodzeń?

Dotknął mnie tym i zbił z tropu. Airi Rykamó powiedziała na to, że nie wierzy, by Irma mogła zrobić coś takiego, i że jej zdaniem dziewczyna w ogóle nie była w typie Brunona. Mimo to w jej głosie zabrzmiała cicha nutka satysfakcji. Takie są kobiety.

Inżynier Vaara wyciągnął rękę. Trudno było się pomylić co do wymowy tego gestu. Zanim jednak odpowiedziałem na pożegnanie, szybko wskazałem na trzymaną pod pachą paczkę i powiedziałem, że to czerwona księga Brunona Rygsecka, którą niosę właśnie komisarzowi, tak by już nigdy nie przysporzyła nikomu żadnych nieprzyjemności.

Airi Rykamó spaşowiała, jak gdyby uznała moje słowa za osobistą wycieczkę. Inżynier spojrział na mnie z politowaniem i pokręcił głową.

— Z pana i Aima byłaby dobrana para! — rzekł zagadkowo, domyślam się jednak, że miał na myśli ośpienie wczesne.

Z biura wychodziłem więc, jeśli to w ogóle możliwe, w jeszcze gorszym nastroju niż z mieszkania Aima i Airi Rykamó. Zaczynałem być już naprawdę zły na Palmu i podejrzewać, że celowo mnie ośmiesza.

Drzwi mieszkania panny Vanne otworzył pisarz Laiho-nen. Podjąłem próbę wejścia do środka, lecz zatrzymał mnie bezceremonialnie i łypnął na mnie podejrzliwie.

— Cii! — uciszył mnie. — Panna Vanne śpi. Po przy-

ściu dostała okropnego bólu głowy, co zresztą wcale mnie nie dziwi, bo pański przełożony zachował się wobec niej jak ostatni gbur. Dałem jej przed chwilą proszek i naprawdę nie chciałbym jej budzić, jeżeli nie przychodzi pan do niej z naprawdę ważną sprawą!

— Wszystko jedno — burknąłem, bo miałem już po dziurki w nosie wpychania się tam, gdzie mnie wcale nie chcą. — W końcu sama dobrze wie, o co ją podejrzewamy.

A teraz komisarz kazał mi jeszcze jej przekazać, że niosę mu pod pachą czerwoną księgę Brunona Rygsecka, tak że nikt już nie będzie mieć przez nią żadnych przykrości. Proszę to jej przekazać, kiedy się obudzi. To wszystko, co miałem jej powiedzieć.

Zakończywszy swoje sprawozdanie, zatrzasnąłem drzwi przed samym nosem zdeorientowanego pisarza i niech żałuje, kto nie widział jego miny. Zbiegłem po schodach w błogiej nieświadomości, zupełnie nie pamiętając, że Palmu przykazał mi zdać sprawę każdemu osob i ś c i e . Ale sam jest sobie winien, bo nie przedstawił mi swojego planu ani nie wyjaśnił celu mojej misji. A niewiele brakowało, by skutki tego niedopatrzenia okazały się tragiczne. Później mu to zresztą powiedziałem, ale bronił się, twierdząc, że gdybym znał cel swojej misji, nie zachowywałbym się z należytą naturalnością.

Najlepiej jednak opowiedzieć wszystko po kolei.

271

Zbiegłem więc po schodach zły jak osa i głodny jak wilk.

Po drugiej stronie ulicy kręcił się jeden z chłopaków Kokkiego i obserwował wejście do klatki schodowej panny Vanne. Podeszedłem do niego i powiedziałem mu, żeby nie robił z siebie bałwana i nie paradował akurat pod jej oknami.

W odpowiedzi sklął mnie i kazał mi nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Był zmarznięty, głodny i zaraz zapytał, czy mam pożyczyć papierosa.

Stańto na tym, że poszliśmy coś przekąsić do pobliskiej kawiarni, z której przez okno mogliśmy obserwować wejście do klatki panny Vanne. Wypiliśmy po kuflu piwa, obgadując swoich przełożonych, tak że po półgodzinie humor miałem już trochę lepszy i mogłem ruszyć w drogę, czyli wrócić do pokoju Palmu w komendzie miejskiej przy Rynku.

Nad miastem zapadał już zmrok i w pokoju komisarza paliło się światło. Palmu siedział w milczeniu za biurkiem, na którym w wyłożonym ściereczką koszyczku dostrzegłem resztki jedzenia. A na ławie pod ścianą, zgarbiony i szary na twarzy, siedział — Batler!

Nie miał założonych kajdanek, lecz z jego niewesołej twarzy wyzierało przygnębienie. Drżał od

każdego stuknięcia i na pierwszy rzut oka było widać, że nerwy bezbłędneho lokaja nie są już wcale takie żelazne.

Położyłem zapieczętowaną czerwoną księgę na biurku przed komisarzem.

— Widziałeś się ze wszystkimi? — zapytał Palmu.

— Sprawa załatwiona — odrzekłem krótko i po chwili wahania dodałem, aby nie kłamać wprost: — Panną Vanne opiekował się pan Laihonen!

272



Palmu zamyślił się i spojrzał na zegarek. W pokoju zapanowała absolutna cisza.

— Prezes Rygseck krąży po mieście — powiedziałem.

— Wychodził właśnie od siostry, kiedy do niej zaszedłem.

A gdy dotarłem do mieszkania Aima Rykamo, prezes też już tam był. I doktorek Rygsecków.

Palmu ściągnął usta i bezgłośnie zagwizdał, po czym wymienili z Batlerem szybkie, pytające spojrzenia.

— Prezes bez powodu zwolnił z pracy kucharkę — do-dałem sztywno. — Starsza pani Rygseck zamierza sama spędzić noc w domu. Podejrzewa, że jest obserwowana i że ktoś ją śledzi, gdy wychodzi z domu.

— Bo śledzi! — skwitował Palmu. — Dość mam już zwłok w tej diabelnej sprawie.

Tak mnie tym zdumiał, że nie mogłem utrzymać języka za zębami.

— To pan komisarz myśli... obawia się... że ten... że ta trucizna była jednak przeznaczona dla niej?

Palmu uciszył mnie, unosząc dłoń z kciukiem skierowanym w dół. Zupełnie ogłupiały usiadłem na swoim miejscu i patrzyłem na przemian to na niego, to na Batlera.

W pokoju panowała tak głęboka cisza, że słyszałem wyraźnie przez dwie ściany ciężkie tykanie zegara w dyżurce. Na Rynku rozbłysły już latarnie. Czułem, jak powoli podnosi mi się ciśnienie. Palmu zrobił ze mnie swojego chłopca na posyłki. Przez niego nie jadłem obiadu.

A teraz musiałem jeszcze siedzieć w pokoju i wybałuszać oczy jak osioł, nie wiedząc zupełnie, co się dzieje.

— Na co my czekamy?!—wykrzyknąłem nagle.

273

Palmu podskoczył na krześle, a przerażony Batler prawie wyrzwał głową w ścianę.

Ku mojemu zdumieniu komisarz się nie wściekł, na co skrycie liczyłem. Zerknął tylko na zegarek. Zaczynał tracić cierpliwość, przeczuwał bowiem, że coś jest nie tak.

— Czekamy, aż morderca zrobi kolejny ruch — odpo wiedział spokojnie. — Czekamy, aż straci nerwy i zacznie działać, a wtedy się zdemaskuje. To jedyny sposób.

— Ale dlaczego? — indagowałem.

— Bo się boi, nie rozumiesz? — Palmu nie stracił jeszcze całkiem cierpliwości, ale sam był wyraźnie niespokojny, bo odzywał się do mnie jak do człowieka. — Wie już teraz to, co my. Czuje, że pętla się zaciska, i denerwuje się coraz bardziej.

To szybki zabójca, decyduje się w mig i działa błyskawicznie.

Nie rozumiem więc, dlaczego teraz zwleka?

Jeszcze chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Palmu nie mógł

już dłużej opanować strachu. Szarpnął słuchawkę i wykręcił

numer do mieszkania Irmy Vanne.

— Tu Palmu! — rzucił ze złością, gdy usłyszał zgłoszenie. — Chcę rozmawiać z panną Vanne... Śpi?... Niech sobie śpi, proszę ją obudzić... Proszek? Proszek? Jaki proszek, do diabła ciężkiego?!

— Spała już wtedy, kiedy ja tam byłem! — wtrąciłem niewinnie.

Palmu zamarł.

— A więc jej nie w i d z i a ł e ś ? — stwierdził

raczej, niż zapytał, a jego głos zmroził mi krew w żyłach.

— Nie jākaj się, człowieku!! — ryknął do słuchawki. — Już 274

godzinę temu?!... I to tam?! Jasne z modrym, odpowiesz mi pan za to!

Rzucił słuchawkę na widełki i nacisnął guzik. W wy-ludnionym korytarzu rozegł się dzwonek alarmowy i od strony dyżurki dobiegły nas ciężkie kroki biegnących mężczyzn.

Palmu miał twarz ziemistą, jego grube wargi drżały.

Zdołał jednak nad sobą zapanować.

— Irma Vanne godzinę temu wyszła z domu i skiero wała się do domu Brunona Rygsecka! — powiedział gło sem napiętym jak struna. — Nie ma czasu do stracenia!

Który bałwan miał jej pilnować?!

Odpowiedziałem mu na to pytanie, gdy już zbiegaliśmy po schodach z Batlerem depczącym nam po piętach.

— Kamienica musi mieć drugie wyjście! — rzekł i za cisnął zęby.

Nie było czasu na dłuższe wyjaśnienia. Czarne auto ruszyło z jękiem syreny, lecz Palmu nie był skory do żartów i kazał ją zaraz wyłączyć. Mimo szaleńczej prędkości miałem wrażenie, że jedziemy długo. Błdzi ze strachu przechodnie uskakiwali przed pędzącym samochodem aż pod ściany kamienic.

Wreszcie, szorując po asfalcie, auto znieruchomiło na podjeździe pod domem Brunona Rygsecka. Od cienia pod ścianą oderwał się Kokki z przyklejonym do ust papierosem i w zdumieniu patrzył, jak Palmu pospiesznie gramoli się z wozu.

— Bez nerwów, panie komisarzu! — rzekł uspokaja jąco. — Po wyjściu kucharki nikt więcej z domu nie wychodzi!

275

— Osioł, bałwan! — zaczął go gromić wściekły komisarz. — Naprawdę wpuściłeś dziewczynę do środka?!

— A, pannę Vanne? — odrzekł Kokki z niezmaconym spokojem. — Jasne, że ją wpuściliśmy. Przecież pan komisarz kazał nam tylko pilnować starej i zawiadomić, gdy wyjdzie z domu.

Nagle w mej głowie rozbłysła myśl stara jak świat, dziedziczona po przodkach sekretna wiedza, potwierdzona w praktyce tysiące razy.

— M o r d e r c a w r a c a n a m i e j s c e z b r o d n i !

— wyrzekłem głosem drżącym ze strachu.

Lecz Palmu nie miał teraz czasu, by się mną przejmować.

— Spróbujemy niepostrzeżenie wejść do domu! — po wiedział. — Batler, klucze! Dwóch ludzi do pilnowania drzwi kuchennych! Kokki, ty zostajesz przy głównym wejściu! Jeżeli usłyszycie, że coś się dzieje, wpadacie do środka! Nie możemy dłużej zwlekać!

Razem z Batlerem przemknęliśmy chyłkiem za komisarzem na tyły domu, starając się nie robić hałasu. Było już prawie ciemno. Bezlistne drzewa rysowały na niebie swe posępne kontury, a okna sali rzucały na ogród świetliste kwadraty. Dotarliśmy już prawie pod tylne drzwi, gdy nagle z wnętrza domu dobiegł głuchy huk wystrzału.

— Drzwi, na Boga, otwieraj drzwi! — rozkazał szeptem Palmu.

Całkiem blisko usłyszeliśmy piskliwy wrzask kobiety, a zaraz po nim przerażający, głuchy łoskot.

Wsunąłem klucz do zamka i szarpnąłem za klamkę.

Palmu przepchnął się pierwszy, ja wpadłem do środka zaraz za nim.

276

W korytarzyku paliło się światło. Na jego końcu stała Amalia Rygseck i miotając ochryplym głosem obłąkańcze słowa, waliła pięścią i kopała w drzwi łazienki. Usłyszawszy hałas, kiedy przez tylne drzwi wpadliśmy nagle do domu, obróciła się w naszą stronę i ujrzałem jej twarz.

U j r z a ł e m j e j t w a r z ! I cała ta sprawa przestała stanowić dla mnie zagadkę.

Była to bowiem przerażająca, do niepoznaki wykrzywiona twarz wariatki. Amalia Rygseck wybuchnęła po-twornym śmiechem i tocząc pianę z ust, uniosła pistolet —

mój pistolet! — i wycelowała w Palmu.

Pchnąłem komisarza na ścianę, sam zaś rzuciłem się przed niego, przyjmując kulę na siebie. Rozbłysk ognia z lufy poraził mi oczy, a grzmot wystrzału do cna mnie ogłuszył, wtedy jednak nie poczułem nawet bólu, tylko potężne uderzenie w bark. Całym ciężarem ciała spadłem na dłoń z pistoletem, przewracając i przygniatając kobietę do ziemi. Kokki zlatywał właśnie ze schodów od strony holu i po chwili spadł mi na głowę. Potworny, piekący ból przeszył

mój bark na wskroś i pociemniało mi w oczach.

W ostatnim moim przytomnym wspomnieniu Palmu dobija się do drzwi łazienki, wołając płaczliwie:

— Panno Vanne, panno Vanne, proszę już stamtąd wyjść!

A potem pierwszy raz w życiu straciłem przytomność.

W sali gromadzi się tłum i zostaje bohaterem. • Pan prezes prosi o wybaczenie, a Amalia Rygseck mówi, że jedzie za granicę. • Komisarz Palmu przyznaje, że jest roztargnionym głupcem. • Śmierć pani Alli Rygseck zostaje wyjaśniona i pisarz Laihonon proponuje zmianę

miejsca. • Człowiek tworzy zwierzę na swój obraz i podobieństwo. • Opowieść Irmy Vanne i bigos dla psychiatrów. • Tajemnicza matka pisarza i zagadka narzędzia zbrodni.

Obudził mnie świdrujący ból. Tors miałem obnażony i ktoś w nieprzyjemny sposób obmacywał mój bark. Gdzieś z oddali dobiegł mnie głos komisarza:

— Kokki potknął się na schodach i o mały włos nie skręcił chłopakowi karku. To i wiele innych rzeczy potrafię jeszcze zrozumieć, ale już za nic nie pojmuję, skąd ta kobieta miała pistolet!

— Ode mnie — wyszeptałem i otwarłem oczy.

Moją pierwszą myślą była zaskakująca konstatacja, że w sali zgromadził się prawdziwy tłum. Zupełnie nie mogłem pojąć, skąd nagle się wziął doktorek Rygsecków, grzebiący pincetą w moim barku, i dlaczego przygląda się temu wszystkiemu, z miną badawczą i zatroskaną, pan

278

prezes Gunnar Rygseck. Od stolika z napojami oderwał się Aimo Rykamó i przytknął mi do ust szklaneczkę.

— Niechże pan spróbuje! — powiedział. — Kropelka koniaku jeszcze nikomu nie zaszkodziła! — A widząc moją niepewną minę, uznał za konieczne dodać: — Proszę się nie bać! Sam już trochę pociągnąłem z tej samej butelki.

Poza tym w sali była panna Vanne. Siedziała w fotelu, wciąż jeszcze bardzo blada. Obok niej klęczał na podłodze pisarz Laihonen, trzymając ją za ręce i jękając zapewnienia, że już nigdy, przenigdy nie zostawi jej samej.

Doktorek polał mi bark kolodionem. Zapieкло, a brzegi rany zasklepiły się nagle tak obrzydliwie, że musiałem jęknąć. Bardzo tym uradowany lekarz przystąpił sprawnie do bandażowania.

Amalia Rygseck siedziała pod ścianą, z dala od reszty.

Była teraz zupełnie spokojna i patrzyła przed siebie obojętnym wzrokiem. Na nadgarstkach miała kajdanki, ale skrzy-

żowane ręce trzymała potulnie na podolku. Kokki stał oparty niedbale o ścianę, zachowując pełen szacunku dystans.

Doktorek skończył, wstał i skinął wymownie prezesowi Rygseckowi, który podszedł do siostry.

— Chodź, kochana Amalio — zagadnął ją spokojnie, jak gdyby nigdy nic. — Zdaje się, że na nas już czas. Jesteś pewnie bardzo zmęczona.

— To prawda, Gunnarze, jestem bardzo zmęczona! —

poskarżyła się pani Amalia nieobecny głosem i podniosła się z fotela. — Miałam w ostatnich dniach za dużo trosk.

— Proszę się nie bać, dostała zastrzyk uspokajający! —

szepnął mi doktorek, bo instynktownie się wzdrygnąłem, gdy Amalia Rygseck ruszyła w moją stronę.
Strach 279

był silniejszy ode mnie i patrzyłem na nią wielkimi oczami, jak królik na gigantycznego węża.

— Jest pan grzecznym chłopcem! — odezwała się pustym, dziwnie bezosobowym głosem i poklepała mnie po brodzie skutymi rękami. — Przykro mi, że ten przypadkowy wystrzał skończył się dla pana tak niefortunnie. Mam nadzieję, że szybko pan wydobrzeje. Wyjeżdżam teraz z bratem za granicę. Gunnar potrzebuje odpoczynku i opieki.

Mnie zresztą te wszystkie wstrząsające wydarzenia także bardzo wyczerpały.

— Chodź już, droga Amalio! — ponaglił ją łagodnie prezes Rygseck. — Pan Kokki obiecał nas odwiedzić. Nie możemy kazać mu na siebie czekać.

— Nie denerwuj się tak, Gunnarze! — zachnęła się pani Amalia. — Wiem, wiem, jestem już starą kobietą i muszę odpocząć. Może już nigdy więcej się nie spotkamy, ale niechże pan nie wierzy w to, co będą panu o mnie opowiadać

— zwróciła się znów do mnie. — Ludzie przeważnie są bardzo niedobrzy dla starych bogatych kobiet. Proszę, aby pan absolutnie nie dawał ucha plotkom, którymi ktoś próbowałby zszargać moje imię. Wiem, że mogę na pana liczyć. W końcu pożyczył mi pan nawet własny pistolet.

Prezes Rygseck wziął ją delikatnie pod rękę i wspierając się na swojej lasce, wykuśtykał z sali. Aimo Rykamó podtrzymywał ciotkę z drugiej strony. Pochód zamykali doktorek i Kokki.

Lecz prezes Rygseck wrócił jeszcze do sali, już sam.

Pochylił się szybko nade mną i uściśnął mi dłoń.

— Żywię ogromną nadzieję, że kiedy pan już wydobrzeje, zechce odwiedzić mnie w moim biurze — rzekł.

280

Twarz miał żałośnie starą i zwiędniętą. — To ja jestem winien temu wszystkiemu. Do ostatniej chwili nie chciałem wierzyć, że sprawy zaszły aż tak daleko. Bruno mówił, że trzeba ją zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, ja jednak nie mogłem ścierpieć podobnej myśli. W końcu to moja siostra, najstarsza z naszego rodzeństwa. Dziś pan komisarz Palmu mnie ostrzegł, a wtedy przeczułem prawdę. Mieliśmy zamiar jeszcze dziś wieczór zawieźć ją do zakładu, choćby siłą.

Spóźniliśmy się. Czy pan mi wybaczy?

Nijak nie mogłem pojąć, co miałbym mu wybaczać, bo jeśli mogłem tu kogoś winić za swój postrzelony bark, to wyłącznie siebie samego. Jednak z całego serca zapewniłem pana prezesa, że jak najbardziej go rozumiem i oczywiście mu wybaczam.

Prezes Rygseck raz jeszcze uściśnął moją dłoń i powoli wykuśtykał z sali. Był zgarbiony i złamany, żaloszny cień człowieka.

* * *

Po jego wyjściu ciężka atmosfera w sali wyraźnie zelżała.

Jak gdyby spowijający nas ponury koszmar nagle się rozproszył, i światło lamp wydało mi się zaraz dużo jaśniejsze.

Mam też poważne obawy, że koniak odrobinę zamącił w mej obolałej głowie.

— Wielu widziałem w życiu twardogłowych bałwanów...

— zaczął bezdusznie Palmu, uznał jednak, że nie warto nawet kończyć zdania, westchnął więc tylko ciężko. — No, ale nie ma tego złego, bo choć raz ci się do czegoś ten twój twardy łeb przydał — stwierdził po chwili. — Kokki runął

na ciebie ze schodów jak długi

281

i gość o słabszej łepetynie miałby co najmniej wstrząs mózgu.

— To bohater! — rzekła piękna i wciąż blada Irma Vanne, po czym uklękła przy mnie i cmoknęła mnie miękko w policzek. Oczy miała jeszcze czarne od strachu, lecz usta przypominały czerwony kwiat.

Pan Laihonen chrząknął i zaczął nerwowo dotykać okularów. Chyba nie spodobał mu się sposób, w jaki potraktowała mnie panna Vanne.

— I po kiego diabła rzuciłaś się przede mnie?! — zła jał mnie Palmu życzliwie, pomagając włożyć przestrzeloną w barku marynarkę. — Przecież mogłeś zginąć! Jesteś jeszcze młody, przed tobą całe życie, a mnie, starego, roz targnionego głupca, nie byłoby przecież nikomu szkoda, choćbym nawet dostał kulę w brzuch. Tego wieczoru nigdy sobie nie wybaczę. A i panna Vanne zawdzięcza życie wyłącznie swojej inteligencji i szybkości.

— Ale co się tak naprawdę stało? — spytałem.

— Byłem rozkojarzony — przyznał się Palmu. — Cały czas myślałem wyłącznie o Amalii Rygseck i nawet mi do głowy nie przyszło, że panna Vanne złamie mój kate-goryczny zakaz wychodzenia z domu. Chciałem zmusić morderczynię do wykonania jakiegoś ruchu, który by ją zdradził, a Kokki ze swoimi ludźmi mieli nie spuszczać jej z oczu i zawiadomić mnie natychmiast, jeśli tylko wyszła z

domu. Dlatego też nie przywiązywałem wielkiej wagi do obserwacji mieszkania panny Vanne i wydałem jedynie zdawkowe instrukcje. I nawet nie przyszło mi do głowy nakazać Kokkiemu, żeby mnie informował, kto odwiedza starszą panią Rygseck. Okropne roztargnienie, mój 282

chłopcze! Nie nadaję się już do niczego. Co najwyżej na stróża nocnego, jak słusznie ocenił pan prezes Rygseck.

— Nie rozumie pan? — do wyjaśnień włączyła się panna Vanne. — Pan komisarz użył mnie jako przynęty. Wcale nie podejrzewał, że go okłamałam. Chciał tylko, aby pan uwierzył, że wiem coś o morderstwie, by mógł pan to w sposób naturalny przekazać morderczyni. Sama zresztą byłam bardzo nieszczęśliwa i rozgoryczona, bo sądziłam, że naprawdę mnie podejrzewa. Dlatego uciekłam z kamienicy tylnym wyjściem, bo chciałam jakoś się przyczynić do ujawnienia mordercy i oczyścić z zarzutów.

— A wtedy ten młody osioł ostatecznie położył cały mój plan na łopatkę — Palmu znów zaczął mi ubliżać.

— Nie dość, że pożyczył morderczyni pistolet, to jeszcze okłamał mnie, że widział panią w mieszkaniu, całą i zdrową pod opieką pana Laihonena.

Dłużej już nie mogłem tego zdzierżyć.

— To wszystko pana wina! — krzyknąłem czerwony jak indyk. — Po co kazał mi pan biegać po całym mieście i robić z siebie błazna?! Co czerwona księga miała wspólnego z całą tą sprawą?!

— Ależ drogi przyjacielu! — odrzekł mi na to Palmu.

— Przecież to oczywiste, że czerwona księga powinna była trafić do moich rąk. Był to idealny pretekst, by wyśłać cię do pieczary smoka z bajeczką na przynętę.

— Ale Aimo Rykamó! — krzyknąłem. — A inżynier Vaara! I panna Rykamó! Po co mi pan kazał po nich wszystkich biegać?

— Och, ruch fizyczny wychodzi młodym ludziom tylko na dobre — odrzekł nonszalancko Palmu. — Chciałem, 283

aby minęło trochę czasu, nim zajdziesz do panny Vanne i na własne oczy stwierdzisz, że naprawdę jest bezpieczna.

Pojmujesz chyba, że groziło jej śmiertelne niebezpieczeń-

stwo, skoro chwilę przedtem powiedziałeś morderczyni, że nasza młoda przyjaciółka wie coś o całej sprawie. Zresztą z tego samego powodu Batler uciekł z domu!

— Smok... śmiertelne niebezpieczeństwo... morderczy ni... Batler! — wyjąkałem. — Panie komisarzu, ja chyba jednak rzeczywiście doznałem wstrząsu mózgu. Proszę o jeszcze jedną szklaneczkę koniaku!

Irma Vanne w mig spełniła moją skromną prośbę, choć komisarz łypnął na mnie podejrzliwie.

— Chcesz powiedzieć, że ciągle jeszcze niczego nie rozumiesz? — zdziwił się. — Przecież powiedziałem ci już dawno temu, że śmierć pani Rygseckowej zdradziła mordercę. I dlaczego Batler tak bardzo się przeraził mojej sugestii, że ktoś mógł sądzić, iż lokaj Brunona Rygsecka p o d p i j a mu a b s y n t? Batler nie jest głupi. W lot pojął

ostrzeżenie, zresztą już wcześniej miał swoje przeczucia, więc czym prędzej zmył się z domu. Problem w tym, że sam nie miał na początku czystych intencji. Podejrzewał najpierw inżyniera Vaarę, co zresztą było naturalne, i sądził, że niewinnym szantażykiem zapewni sobie znośną stałość. Dopiero śmierć pani Rygseckowej otworzyła mu oczy.

— Panie komisarzu! — rzekłem z beznadzieją w głosie.

— Skoro jest już pan taki strasznie uprzejmy, to niechże pan mi wreszcie wytłumaczy, w jaki sposób śmierć pani Rygseckowej mogła wszystko wyjaśnić! Przecież ona zginęła zupełnie przypadkowo, bo trucizna nie była przeznaczona dla niej!

284

— A skąd ci to przyszło do głowy? — zdumiał się Pal-mu. — Ależ oczywiście, że trucizna była przeznaczona dla niej! Dla kogóż by innego? Założenie, że dwie różne osoby postanowiły uśmiercić Brunona Rygsecka akurat w tym samym czasie, jest zbyt naciągane. Kazałem ci zatem odpowiedzieć sobie na pytanie, kto s k o r z y s t a ł na śmierci pani Rygseckowej. Ze wszystkich osób zamieszanych w tę sprawę można to było powiedzieć tylko o Amalii Rygseck. Nie pozostało mi więc nic innego, jak przyjąć, że to ona jest morderczynią, i jakim bądź sposobem zmusić ją do zrobienia fałszywego kroku.

— Ale w jaki sposób Amalia Rygseck skorzystała na śmierci pani Rygseckowej? — indagowałem.

Komisarzowi było już za mnie wstyd.

— Pani Rygseckowa potwierdziła, że Amalia Rygseck siedziała z nią w sali, gdy popełniono morderstwo. Dała jej alibi, ale i podpisała na siebie wyrok śmierci, bo morderczyni pojęła, że popełniła błąd.

Prawdopodobnie poblądłem, bo Palmu spojrział na mnie współczująco i podjął wyjaśnienie:

— Amalia Rygseck była bowiem morderczynią tak przebiegłą i zdecydowaną, jaką tylko może być osoba chora psychicznie. Zaplanowała wszystko bardzo chytrze i sądziła, że jej kalkulacje są bezbłędne. Dlatego też wzięła sobie do towarzystwa panią Rygseckową, aby nie być sama w domu, gdy zostanie spostrzeżona śmierć Brunona.

Niespodziewanie zjawił się inżynier Vaara, ale poszedł

na piętro, więc nie przeszkadzał jej w ciągu tych kilku rozstrzygających minut. Bo więcej morderczyni nie po trzeba było. Wyszła na chwilę spokojnie z sali, zeszła do 285

łazienki, ogłuszyła Brunona i wepchnęła do wody. Potem zrobiła na posadzce smugę mydłem i zaciągnęła zasuwkę drzwi od zewnątrz.

— A sznurek? — przerwałem mu wywód. — Skąd wzięła sznurek?

— Przypuszczam, że starsze panie jej pokroju zawsze noszą w torebce jakąś nie dokończoną robótkę — odpowiedział Palmu. — Gdyby nawet komuś przyszło do głowy ją przeszukać, nie zwróciłby uwagi na kawałek sznurka. Ale Amalia Rygseck nawet nie przypuszczała, że mogłoby dojść do rewizji. Sądzę, że zgasiła światło w łazience zupełnie bez zastanowienia. Ale równie dobrze mogła być tego świadoma i zrobiła to celowo, bo drażni ją zbędne palenie świateł.

Starsze osoby często się denerwują na widok włączonej bez potrzeby lampy. Przypuszczam, że nie dostrzegła nawet związku między oświetleniem a morderstwem, ale dla świętego spokoju kazała Batlerowi usunąć wszystkie ślady przed przyjazdem policji. Kiedy jednak sprawa oparła się o ten włącznik, Amalia Rygseck zlekka się nie na żarty Nie pozostało jej nic innego, jak tylko powiedzieć, że cały czas siedziała w sali z panią Rygseckową. Dlatego wtrąciła się do mojej rozmowy ze świeżo upieczoną wdową, zmuszając ją niejako do zapewnienia jej alibi. Panią Rygseckową coś tknęło, ale była to kobieta bezwzględna, której nie gryzły wyrzuty sumienia. Śmierć Brunona dawała jej same korzyści i zamierzała je wszystkie wyzyskać, szantażując Amalię Rygseck. Miała wszak w rękę wymarzony atut. Tak przynajmniej sądziła.

— A więc to dlatego na rodzinnej naradzie zażądała domu Brunona! — powiedziałem.

286

— Rano obie panie Rygseck wyszły razem z domu —

ciągnął Palmu. — Nigdy się nie dowiemy, o czym rozmawiały, niemniej Amalia Rygseck musiała zdać sobie sprawę, że świeżo upieczona wdowa już do końca życia nie zostawi jej w spokoju. Wieczorem wróciła do domu Brunona wcześniej i wsypała cyjankali do butelki z absyntem. Już rano była o nim mowa. Kobieta musiała wiedzieć, że pani Rygseckowa go lubi. Postąpiła bardzo sprytnie.

— Ale skąd wzięła truciznę? — przerwała Irma Vanne.

— Przypuszczam, że mogła zabrać słoiczek ze sobą już w niedzielę wieczorem — odpowiedział Palmu. — Przecież zjawiała się na przyjęciu u Brunona zaraz po tym, jak ten otrul

jej kotkę. Słoiczek z trucizną stał gdzieś na widoku, a spostrzegawczość obecnych w sali osób — proszę mi wybaczyć, panno Vanne — na pewno nie była wtedy najlepsza. Mogło się też zdarzyć, że trucizna została na noc w sali. Obie panie Rygseck przybyły rano do domu, gdy Batler sprzątał, niewykluczone więc, że pani Amalia schowała go do torebki, aby nie wzbudzał niepotrzebnego zainteresowania policji podczas nieuchronnego dochodzenia.

Sam jednak skłaniałbym się ku owemu niedzielnemu wieczorowi, bo już wtedy Amalia Rygseck postanowiła zabić Brunona, a nie miała jeszcze gotowego planu. Może z początku zamierzała go otruć, ostatecznie jednak wybrała wariant prostszy i mniej niebezpieczny.

— Ale dlaczego... dlaczego postanowiła zabić Brunona?

— spytałem.

Komisarz Palmu potarł brodę swoją grubą dłonią i odrzekł z wahaniem:

— To długa historia!

287

— Jeśli o mnie chodzi, to moglibyśmy się przenieść w jakieś przyjemniejsze miejsce — wtrącił szybko pisarz Laihonen. — Moja matka jest jeszcze na wsi!

— To rzeczywiście bardzo ponury dom! — rzekła panna Vanne, a jej szczupłym ciałem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. — Chodźmy gdzieś indziej. Muszę się wszystkiego dowiedzieć! Inaczej w nocy nie zmrużę oka!

— W hotelu Helsinki jest taki bardzo przyjemny klubik

— odezwał się Palmu nieobecny głosem. — Pamiętam, że spędziłem tam kiedyś miły wieczór, kiedy rozwiązywaliśmy zagadkę innego morderstwa. Gdybym nie był jedynie niezamożnym

urzędnikiem

państwowym,

zapro-

ponowałbym...

— Pozwoli pan, że będę gospodarzem — wtrącił usłuż-

nie pan Laihonen. — Przy okazji pozwolę sobie mieć do pana komisarza dość szczególną prośbę.

Nikt nie wyraził sprzeciwu. I choć miałem dziurę w barku, co prawda niegroźną, wołami by mnie nie odciągnięto od reszty towarzystwa. Bo ja również miałem chyba wreszcie prawo dowiedzieć się wszystkiego od początku do końca!

Batler został samotnym panem i władcą w posępnym domu Brunona Rygsecka. Podczas drogi wyjaśniło się, że pod wieczór lokaj sam zgłosił się do komisarza i otwarcie opowiedział o swoim udziale w sprawie. Uprzytomniwszy sobie, że przekreślił włącznik, istotnie uznał, że to inżynier Vaara jest mordercą, i czekał tylko na sposobną chwilę, by zacząć go szantażować. Jednak śmierć pani Rygseckowej napędziła mu takiego stracha — tak się przynajmniej zarzekał — że poprzysiągł sobie, iż do koń-

288

ca życia będzie uczciwym obywatelem. Tak bardzo się jednak bał Amalii Rygseck, że nie odważył się wcześniej powiedzieć komisarzowi o swoich wnioskach. Doskonale zdawał sobie sprawę, że morderczyni nie będzie można skazać bez obciążających dowodów, których nie było.

Wyjaśniło się również, skąd w sali wziął się nagle pan Laihonen, gdy ocknąłem się z omdlenia. Po telefonie komisarza zaczęło go dręczyć złe przeczucie, więc czym prę-

dziej udał się do domu Brunona Rygsecka i przybył tam w samą porę, by zająć się panną Vanne, która ze strachu odchodziła od zmysłów.

Wreszcie rozsiedliśmy się wygodnie w klubie. Gdy posililiśmy się już wybornym jedzeniem, pan Laihonen, nasz przemiły gospodarz, uniósł wreszcie kieliszek czerwonego wina i zagaił:

— A więc, panie komisarzu! Chyba nie chce nam pan powiedzieć, że Bruno Rygseck został zamordowany, bo otruł kota swojej ciotki? Ja w każdym razie byłbym się użyć podobnego motywu w powieści detektywistycznej.

Palmu skosztował wina i skrzywił się, choć usiłował

przecież zrobić zachwyconą minę — odebrał bowiem proste wychowanie i nie nauczył się nigdy rozkoszować atramentowym smakiem win. Szybko odstawił kieliszek i na jego tłustej twarzy zapełgał figlarny uśmiezek.

— Odłóżmy książki na bok — powiedział. — Niechże pan sobie natomiast wyobrazi, że jest pan stary, samotny i brzydki. Ma pan pieniądze, ale nie może pan za nie ku pić miłości ani przyjaźni. Nienawidzi pan życia i każde go, kto potrafi się śmiać i beztrosko grzeszyć, a jedynym pana przyjacielem jest to małe zwierzątko, które kocha 289

pana bezwarunkowo i uważa pana za swojego boga. Aż nagle pojawia się ktoś — jedna z tych osób, których pan oczywiście nienawidzi — i z czystej złośliwości zabija to pańskie małe zwierzątko. Czy wtedy i panu *nie* zaświtałaby w głowie myśl o morderstwie?

— Brawo! — wykrzyknęła panna Vanne i klasnęła w dłonie. — Kiedy byłam małą, mieliśmy w domu starego pudła...

— Ejże! — odrzekł pisarz ze zmarszczonym czołem. —

To jeszcze nie wystarczy, by zabić człowieka!

— To prawda, nie wystarczy! — przyznał otwarcie komisarz. — Jednak ów kot jest pod wieloma względami bardzo owocnym punktem wyjścia do rozważań na temat tej sprawy. Po pierwsze, jego śmierć stanowiła niejako ostateczne, publiczne wypowiedzenie wojny, którą od pewnego czasu toczyli już cicho ze sobą Bruno Rygseck i jego ciotka. Widząc martwe truchło swojej kotki, Amalia Rygseck zdała sobie sprawę, że Bruno *wie*, co robi, i że się jej nie boi. Poza tym jednak jest jeszcze pewna kwestia, której być

może

nie

wziął pan pod uwagę, a

mianowi-cie: Człowiek s t w a r z a z w i e r z ę na swój obraz i podobieństwo!

Zadumaliśmy się wszyscy chwilę nad tym niezwykłym spostrzeżeniem.

— Rozumiem! — rzekł wreszcie pisarz Laihonen. — To głęboka myśl.

Ja nie zrozumiałem, lecz Palmu pospieszył z wyjaś-

nieniem:

— Ostatecznie nikomu nie było żal tego kota. Prezes Rygseck uważał go za miauczącego potwora, a Aimo Ry-290

kamo opowiadał, że ciotka karmiła go żywymi ptakami. Do czegoś takiego zdolna jest wyłącznie osoba, która nie jest całkowicie normalna. I nie ulega wątpliwości, że Amalia Rygseck uczyniła z tego kota ucieleśnienie złych mocy drzemiących w najgłębszych zakamarkach jej duszy. Bruno jako jedyny w całej rodzinie przejrzał ją na wylot. Może dlatego, że sam był z gruntu zły. Nie był jednak chory psychicznie. Amalia Rygseck natomiast padła ofiarą przera-

żającego dziedzicznego obciążenia. Jej brat to przeczuwał, ale robił, co mógł, by ukryć to przed światem. Ostatecznie jego siostra była wpływową akcjonariuszką koncernu.

Dlatego też odrzucał propozycje Brunona, by umieścić ciotkę w szpitalu, nim zrobi komuś krzywdę. Amalia Rygseck z kolei bynajmniej nie zamierzała ułatwiać mu zadania i żądała zamknięcia Brunona w jakimś zakładzie, gdyż swoim postępowaniem kalał dobre imię rodziny.

— Niezła rodzinka! — podsumował cierpko pisarz Laihonen.

— Bruno zatem jako jedyny w i e d z i a ł ! — ciągnął

Palmu, nie zwracając na niego uwagi. — Otruł jej kota, wy-powiadając wojnę, więc Amalia Rygseck postanowiła go zabić. Podobne postanowienie wskazywało jednoznacznie na chorobę psychiczną, ale sposób, w jaki tego dokonała, oraz jej późniejsze posunięcia mówiły o zdecydowaniu i przebiegłości. Niewykluczone, że prezes Rygseck przeczuł

prawdę, lecz chciał wyjaśnić sprawę bez niczyjej pomocy.

Dlatego właśnie doprowadził do umorzenia śledztwa. Śmierć pani Rygseckowej była dla niego okrutnym zaskoczeniem.

Ciągle jednak się wahał. Potrzebował czasu, próbował więc nakłonić mnie, bym na razie patrzył na

sprawę przez palce, dopóki sam nie zwróci się do lekarzy i nie upewni co do stanu psychicznego siostry. Ostrzegłem go przecież i posłuchał mnie. Prezes Rygseck planował, że już dziś wieczór zawiezie siostrę do szpitala. Morderstwo bowiem jest czynem brzemennym w skutki. Kto raz zabił, zabije ponownie, aby uniknąć zdemaskowania, i tak też było w naszej sprawie. A gdy obłąkany morderca nie zostanie zdemaskowany, trawiąca go choroba może się przerodzić w morderczą manię. Nikt już nie był bezpieczny przy Amalii Rygseck. I dlatego nie zbaczałem z obranego kursu! Irma Vanne ponownie zadrżała, a oczy jej całkiem poczerniały.

— Po dokonaniu zbrodni — ciągnął Palmu z twardym błyskiem w oku — Amalia Rygseck spostrzegła, że popełniła błąd i zagraża jej zdemaskowanie, a wtedy jej psychika ostatecznie się wykoleiła. Z pozoru zachowywała się jak osoba normalna, prawdopodobnie jednak wyłącznie kosztem nadludzkiego wysiłku. Niemal na pewno planowała usunięcie Batlera, zaczęła namiętnie porządkować dom, zamalowywać obrazy, kazała naprawić drzwi łazienki, pokłóciła się z kucharką, tak że prezes Rygseck musiał ją odprawić, by pozbyć się świadka, wreszcie kategorycznie zażądała ode mnie zwrotu klucza od gabinetu, słowem — zachowywała się z maniakalną popędliwością, jak gdyby pragnęła ukryć stan wewnętrzznego wrzenia. A decyzje podejmowała naprawdę błyskawicznie. Usłyszawszy, że panna Vanne wie coś o morderstwie, n a t y c h m i a s t pożyczyła pistolet od naszego młodego przyjaciela i zaplanowała nowe morderstwo, równie przemyślane jak dwa poprzednie.

292

Komisarz Palmu umilkł i zwilżył usta czerwonym winem.

— Może panna Vanne opowie nam teraz o swoim udziale w tych wydarzeniach — taktownie wtrącił pisarz Laihonen. — Oczywiście jeżeli masz ochotę — dodał, ściskając serdecznie dłoń dziewczyny.

— Nigdy nie zapomnę tych chwil! — zaczęła Irma Vanne, a pisarz pospiesznie napełnił jej kieliszek. — Jak już mówiłam, byłam urażona i rozgoryczona, kiedy pan komisarz bez żadnych wyjaśnień zamknął mnie w areszcie domowym. Kiedy więc Amalia Rygseck zatelefonowała do mnie z propozycją, byśmy wspólnie przeszukały dom i pokój Batlera, od razu się zapaliłam do tego pomysłu.

Uzgodniliśmy z panem Laihonenem, że gdyby ktoś o mnie pytał, powie, że rozboleła mnie głowa i śpię, po czym wy-mknęłam się z domu przez podwórze, bo nietrudno było spostrzec, że na ulicy stoi strażnik.

— Kokki, ten Kokki! — zagrzemiał Palmu, lecz detekty-wa na szczęście nie było z nami.

— Kiedy jednak wyszłam na ulicę — podjęła opowieść panna Vanne — bałam się wziąć taksówkę, przesłam więc całą długą drogę powoli piechotą, cały czas analizując tę przerażającą historię. Kiedy doszłam do domu, zapadał już zmrok i owładnęło mną nagle tak potworne uczucie, że już się zawahałam, czy w ogóle wchodzić do środka. Wzięłam się jednak w garść, ale miałam się na baczności. Od razu spostrzegłam, że pani Amalia jest bardzo zdenerwowana i zachowuje się dziwnie. Kiedy przeglądałyśmy rzeczy lokaja, powiedziała mi, że Batler uciekł, ale ona podejrzewa, że nocą wróci po coś do domu. Przeszukiwa-293

łyśmy dom prawie godzinę i chyba zaczęłam coś przeczuwać.

Kiedy więc nagle powiedziała, że słyszy kroki w piwnicy, i wepchnęła mnie na schody prowadzące z holu do korytarza przy łazience, zaczęłam się bać i rozmyślać gorączkowo, jak by uciec. Przy łazience zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że stoi na schodach i mierzy z pistoletu prosto w moją głowę.

W okamgnieniu wszystko zrozumiałam, rzuciłam się na oślep do łazienki i zamknęłam drzwi od środka, bo na szczęście były już naprawione. Strzeliła za późno i wydaje mi się, że to ostatecznie pomieszało jej w głowie. Zaczęła walić pięściami i kopać w drzwi, wyrzucając przy tym z siebie okropne słowa. W łazience panowały egipskie ciemności i bałam się tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu. Ale na szczęście panowie wbiegli wtedy do środka i gdy pan komisarz chwycił

mnie w ramiona, kiedy ledwo żywa wyszłam z łazienki, poczułam się jak w niebie.

Palmu chrząknął i trochę się zaczerwienił. — To prawdziwe szczęście, że Amalia Rygseck zdecydowała się zaczekać do zmroku — odezwał się komisarz, starając się pokryć zmieszanie. — Zamierzała oczywiście powiedzieć, że wystrzał był przypadkowy. Usłyszaliście z piwnicy podejrzane odgłosy i w ciemności pistolet nagle wypalił. Aby uwiarygodnić tę historyjkę, wcześniej o mały włos nie przestrzeliła stopy temu młodemu bałwanowi, gdy tylko pożyczył jej pistolet. Miała więc wiarygodnego świadka, który potwierdziłby potem, że nie umiała obchodzić się z bronią. I pomyślcie tylko, cóż to byłby za skandal, gdyby opinia publiczna zwąchała, że kobieta dostała pistolet od policjanta!

294

Nie miałem ochoty tego komentować, a pozostali również taktownie się nie odzywali. Komisarz dostrzegł kuszący kieliszek obok filiżanki z kawą i przestał wreszcie miotać obelgi pod moim adresem.

— I co z nią teraz będzie? — zapytał pisarz Laihonen.

— Jaką dostanie karę?

— Resztę swojego życia spędzi odizolowana od świata, tak jak jej ojciec, nestor Rygseck — odpowiedział Palmu.

— Tylko tyle wiemy na pewno, resztą bowiem zajmą się dyskretnie najlepsi prawnicy koncernu Rykamó. To jed nak dla nas rzecz najważniejsza. Policja nie jest przecież narzędziem zemsty. Naszym jedynym celem jest wykrycie przestępcy, by nie zagrażał już społeczeństwu. I tak się teraz stanie. To nie moja rzecz i nie mam nawet ochoty roztrząsać, w jakim stopniu Amalia Rygseck odpowiada za swoje czyny. Najlepsi psychiatrzy w tym kraju będą z tego mieli niezły bigos.

Palmu ujął kieliszek, ogrzał go w dłoniach i z manierą znawcy powąchał promienną, złocistą ciecz.

Nie dziwię się wcale, że nie chciał dłużej zaprzatać sobie głowy sprawą Amalii Rygseck, bo choć to ja wyszedłem w niej na idiotę, nie można było zaprzeczyć, że także on w roztargnieniu popełnił

poważny błąd i nie było wcale jego zasługą, że skutki owego błędu nie okazały się tragiczne i nieodwracalne. Koniec końców wszystko skrupiło się na mnie i kiedy o tym pomyślałem, znów zaczęło mnie paskudnie rwać w barku.

Pan Laihonen upił trochę ze swojego kieliszka, zerknął

nieśmiało na Irmę Vanne i odchrząknął.

295

— Panie komisarzu! — zaczął. — Miałbym do pana ogromną prośbę!

Moje serce poszło na dno brzucha jak kamień, bo od razu się domyśliłem, że pisarz poprosi zaraz komisarza Palmu o zgodę na opisanie całej tej sprawy w jednej ze swych powieści. I wreszcie do mnie dotarło, że przecież to jest właśnie ta długo przeze mnie poszukiwana historia, w której i mnie przypadłaby rola bohatera, bo chyba jednak nikt nie zaprzeczy, że to ja dostałem kulą w bark, czym zapewne wybawiłem komisarza od niechybnej śmierci. Co prawda Bruno Rygseck nie był szczególnie sympatyczny i kiepsko się nadawał na głównego bohatera, a i ród Rygsecków miał

niejedno za uszami, ale przecież mógłbym uczynić z nich ciekawe studium kulturowe, ukazujące degenerację światka burżuazji.

Ale słowa pisarza natychmiast przywróciły mi spokój. —

Słyszał pan może, panie komisarzu — zaczął — że całkiem niedawno w domu Brunona Rygsecka obiecałem Irinie, to jest, hmm, panie Vanne, że już nigdy nie zostawię jej samej.

I sprawa wygląda tak, że najwyraźniej będę musiał danego słowa dotrzymać, co oznacza, że gdy jutro moja matka wróci ze wsi, przyjdzie mi się okropnie tłumaczyć, w jaki sposób poznałem pannę Vanne. Szczerze mówiąc, nie wierzę, abym potrafił wiarygodnie to wszystko jej wyjaśnić, i dlatego jest dla mnie rzeczą niebywalej wagi, aby zechciał pan, panie komisarzu, dla uniknięcia wszelkich niedomówień i rozwiania na samym początku ewentualnych, hm, podejrzeń, swoim autorytetem poprzeć moje słowa.

296

— Niechże pan da spokój! — przeraził się Palmu i uniósł obronnie rękę.

Wtedy jednak Irma Vanne położyła swoją wąską dłoń na ramieniu komisarza i spojrzała na niego błagalnie swoimi wielkimi, pięknymi oczami. I by nie przedłużać już tej historii — jakiś czas potem komisarz Palmu mimowolnie zawarł znajomość z siejącą postrach matką pana Laiho-nena, dochodząc do wniosku, że to bardzo mądra i inteligentna kobieta. Pani Laihonen bowiem zwierzyła mu się, że ma już po dziurki w nosie wiecznego sprzątanego popiołu z dywanu, nieprzespanych nocy i dzwoniących w kółko do drzwi amatek autografów i żywi już tylko nadzieję, iż jakaś porządna

dziewczyna

zaopiekuje

się

wreszcie

jej

lekkomyślnym synem i weźmie go do galopu. I tak też się stało.

Jednak rozwijanie tej dygresji nie zmieściłoby się już w niniejszej książce. Tymczasem więc siedzieliśmy jeszcze sobie w miłym towarzystwie, a wtedy przypomniał mi się pewien drobiazg, o którym na śmierć zapomniałem.

— Panie komisarzu! A narzędzie zbrodni? — spytałem.

— Jeszcze pan słowem o nim nie wspomniał.

— Chodzi ci o broń, którą Amalia Rygseck pozbawiła przytomności Brunona Rygsecka? — Palmu spojrzał na mnie załamany i pokręcił głową z politowaniem. — Przecież to jeden z pierwszych przedmiotów, na których spoczął nasz wzrok, gdy tamtego ranka weszliśmy do sali! Ciężki i gruby jak maczuga!

— Co to było?

— Parasol, ma się rozumieć! Parasol Amalii Rygseck!

Nie powiedziałem już więcej ani słowa.



MU

Opieka redakcyjna

Waldemar Popek

Redakcja Weronika

Kosińska

Korekta

Barbara Górską, Aneta Tkaczyk, Małgorzata Wójcik Projekt okładki i stron tytułowych Ewa

Bajek

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki

© Mikael Andersson/Nordicphotos/Corbis/Fotochannels Redakcja techniczna

Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book Lux 80 g vol. 1,8

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2011

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl e-mail:
księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+ 48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: Drukarnia Skleniarz, Kraków

Table of Contents

[Rozpoczni](#)